#167 03/2020
cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 12 930 indeks 211060 #167 03/2020

Piotr Lisiewicz
GDY BEFSZTYK NOJIEGO BYŁ NAJWIĘKSZYM ZMARTWIENIEM POLAKÓW

Olga Doleśniak-Harczuk
NIEMCOM WOLNO JUŻ (SIĘ) ZABIJAĆ

NOWE PAŃSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

ILUSTRACJA NA PODSTAWIE FOT. ADOBE STOCK

Jak dzisiejsza opozycja sprzedaje suwerenność Polski

WSPÓŁCZESNA TARGOWICA

Gwiazdowie, prof. Nowak, Wildstein o zdradzie

ISSN 1895-4960
9 771895 496001 03

eprasa.pl 39be4e0533

TEMAT NUMERU ▼ 4–16

fot. Małgorzata Armo/Gazeta Polska

Jak cynizm i głupota Tuska zmieniły polską politykę / 4

IDEE ▼ 18–24

fot. ADOBE STOCK

Ateistyczny ślub marzeń / 18

HISTORIA ▼ 26–61

fot. NAC

Gdy befsztyk Nojiego był największym zmartwieniem Polaków / 26

KULTURA ▼ 62–67

fot. Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska

Nowe oblicze Chrystusa / 62

ŚWIAT ▼ 70–98

fot. Xiao Yijiu/PAP

Chiński Czarnobyl / 70

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z prof. Andrzejem Nowakiem rozmawia Piotr Lisiewicz
Jak cynizm i głupota Tuska zmieniły polską politykę 4

Joanna Duda-Gwiazda i Andrzej Gwiazda
Znowu spisek magnatów 10

Ryszard Czarnecki
Zdrada Polski – towarzyszka narodowych dziejów... 13

Dawid Wildstein
Zdrada, rzecz dobra 14

IDEE

Małgorzata Matuszak
Ateistyczny ślub marzeń 18

Tomasz P. Terlikowski
Potępienie bezbożnego konsumpcjonizmu 22

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Gdy befsztyk Nojiego był największym zmartwieniem Polaków 26

Dariusz Jarosiński
Towarzysze i towarzyszka z bezpieki 32

Paweł Warot
Sumienna agentka „Helena" 38

Agnieszka Kowalczyk
Słychać było tylko dzikie wycie... 42

Ewa Polak-Pałkiewicz
Co w sercu, to i w gębie – a płochliwa nie jest 48

Jan Lechoń
Warszawa niepodległa. Stolica Stefana Starzyńskiego 54

Z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim rozmawiał Ryszard Czarnecki
Powinniśmy szukać sojuszników wśród sąsiadów 57

KULTURA

Magdalena Molak
Nowe oblicze Chrystusa 62

Sylwia Kołodyńska
Miłość to śmierć, czyli „Halka" Trelińskiego 66

ŚWIAT

Hanna Shen
Chiński Czarnobyl 70

Olga Doleśniak-Harczuk
Niemcom wolno już (się) zabijać 74

Antoni Rybczyński
Psy wojny Putina na Czarnym Lądzie 78

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 86

oprac. Antoni Rybczyński
Ilu jest w Rosji siłowików i ile zarabiają 88

Stefan Czerniecki
Manila – czy było warto? 92

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Gdzie zaczyna się zdrada ojczyzny
NA POCZĄTEK 3

Marcin Wolski
Zdrada niejedno ma imię
PAPKULTURA 17

Małgorzata Matuszak
Czym jest... Wielki Post
KATECHIZM INTELIGENTA 25

Marek Kalinowski
Szalone drony Jokera
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 68

Krzysztof Budka
Salvini trafił w sedno. Czy w Brukseli kogoś to obchodzi?
SŁOWEM O GOSPODARCE 69

Ryszard Czarnecki
Pasjonujące prawybory, czyli jak to się robi w Ameryce
CZARNECKO TO WIDZĘ 83

Olga Doleśniak-Harczuk
Manifest Extra Mocny
Z GLOBALNEGO TYGLA 84

Tomasz Sakiewicz
Powrót publicznej medycyny
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Krzysztof Karnkowski, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Tomasz Terlikowski, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 29 58
prenumerata@panstwo.net

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
09 1240 1024 1111 0010 4263 9001

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 39be4e0533

Katarzyna Gójska

Gdzie zaczyna się zdrada ojczyzny

Dzisiejsza opozycja w zamian za pomoc w odzyskaniu władzy zdecydowała się zapłacić niezależnością Rzeczypospolitej. Jednym słowem uznała, że to kwestia drugorzędna wobec jej politycznych ambicji.

„Unia nie atakuje Polski, tylko PiS", „opozycja z Unią bronią Polaków przed działaniami PiS" – to najnowsze wytłumaczenie, jakie większość polityków nie tylko Platformy – z Kidawą-Błońską na czele – lecz także Lewicy oraz ludowców serwuje opinii publicznej jako usprawiedliwienie swojej aktywności, skoncentrowanej na organizowaniu ataków instytucji UE na nasz kraj. Obłuda tych stwierdzeń robi wrażenie – oczywiście żadna z unijnych sił czy agend nie może atakować PiS, bo to tylko partia polityczna. Żeby jej zaszkodzić, czyli doprowadzić swoimi działaniami do zmniejszenia jej popularności społecznej, trzeba po prostu zaatakować Polskę. Nie do PiS adresowane są choćby fundusze na drogi czy te wspierające politykę rolną. One są dla obywateli, zatem jeśli ktoś mówi o ich ograniczeniu, to wprost uderza w interes ich beneficjentów.

Rozszyfrujemy znaczenie drugiego przytoczonego już wytłumaczenia. Obrona Polaków przed Prawem i Sprawiedliwością to w istocie obrona przed ich własnym wyborem. Kilka miesięcy temu odbyły się w naszym kraju wybory, których demokratycznego przebiegu nikt nie kwestionuje. Rzesza obywateli RP w liczbie dającej wedle prawa samodzielną większość w Sejmie wskazała Prawo i Sprawiedliwość – mimo wielu debat w PE nad stanem praworządności, obsesyjnych szarż Timmermansa, straszenia raz wyrzuceniem, innym razem wyprowadzeniem z Unii. Zatem dokonując wyboru składu parlamentu, polscy wyborcy mieli pełną świadomość propozycji programowych złożonych przez partię Jarosława Kaczyńskiego, wiedzieli, iż nie budzą one entuzjazmu w wielu europejskich stolicach, a mimo wszystko uznali, że to właśnie one są dla nich najkorzystniejsze. A skoro tak jest, to działania totalnej opozycji określane skrótowo słowem „zagranica" są w swej istocie wymierzone przede wszystkim przeciwko demokracji w Polsce. Bo to właśnie wolny wybór większości dokonany w wyborach jest źródłem tego, co PO, Lewica i PSL z politykami europejskiego mainstreamu określają mianem „zła".

Ale poza próbą zakwestionowania demokratycznego wskazania obywateli RP wszystkie te aktywności godzą w rdzeń interesu naszego państwa. W suwerenność. Trudno doprawdy wyobrazić sobie, że zaangażowani w to politycy opozycyjni nie rozumieją gry, w której uczestniczą. Dla znakomitej większości jest ona czytelna całkowicie. Mają świadomość, iż pomoc „zagranicy" – gdziekolwiek na świecie by następowała – nie jest pro publico bono. Zawsze ma cenę. I w tym konkretnym przypadku też tak jest. Walutą, w której zostanie ona uiszczona, będzie suwerenność Polski. Dzisiejsza opozycja w zamian za pomoc w odzyskaniu władzy zdecydowała się zapłacić niezależnością Rzeczypospolitej. Jednym słowem uznała, że to kwestia drugorzędna wobec jej politycznych ambicji. I teraz czas na kluczowe pytanie, które stawiamy wielokrotnie na stronach najnowszego „Nowego Państwa": czy zgoda na utratę części suwerenności własnej ojczyzny w zamian za pozademokratyczne i zewnętrzne wsparcie w walce o władzę jest przekroczeniem granicy, za którą rozpoczyna się przestrzeń działań określanych jako zdrada? Jeśli nie, to co nią jest? ■

DZIAŁANIA TOTALNEJ OPOZYCJI OKREŚLANE SKRÓTOWO SŁOWEM „ZAGRANICA" SĄ W SWEJ ISTOCIE WYMIERZONE PRZEDE WSZYSTKIM PRZECIWKO DEMOKRACJI W POLSCE.

eprasa.pl 39be4e0533

JAK CYNIZM I GŁUPOTA TUSKA ZMIENIŁY POLSKĄ POLITYKĘ

Cienka linia pomiędzy prowadzeniem tego rodzaju politycznej gry a zdradą przekraczana jest przez opozycję za każdym razem, gdy zamiast tworzyć i popularyzować program, dzięki któremu mogłaby wygrać następne wybory, ucieka się do taktyki „zagranica". Sam język polski nam podpowiada: zagranica, czyli przekraczamy pewną granicę. Przekraczamy ją, gdy odwołujemy się do zewnętrznych czynników, które mają zastąpić wybory w Polsce, werdykt demokratycznego, polskiego suwerena. Ci, którzy sobie tak poczynają, łamią konstytucję. Występują przeciwko jej fundamentowi, woli narodu wyrażonej w demokratycznych wyborach. Wystarczy porównać zachowanie opozycji w Polsce z zachowaniem opozycji w jakimkolwiek innym europejskim kraju. Wyobraźmy sobie polityków opozycji w Niemczech, Francji albo Holandii, którzy odwołują się do UE przeciwko własnemu rządowi z taką gwałtownością, zapalczywością, wściekłością. Wykorzystują każdy instrument UE, by obalić rząd we własnym kraju i kompromitować go, jak tylko się da... Jest to nie do pomyślenia, nie mieści się w jakichkolwiek standardach polityki europejskiej. Opozycja w Polsce robi to, co jest niedopuszczalne w demokratycznych krajach Europy Zachodniej – z prof. **ANDRZEJEM NOWAKIEM** rozmawia **PIOTR LISIEWICZ**.

FOT. MAŁGORZATA ARMO/GAZETA POLSKA

epfasa.pl 39be4e0533

▶ „Nasz kraj ma obecnie najgorsze stosunki z Polską od końca II wojny światowej" – powiedział niedawno Siergiej Andriejew, ambasador Rosji w Warszawie, w rozmowie z rosyjskim portalem RBC. Co oznaczają te słowa?

Najpierw przychodzi mi na myśl refleksja historyczna. Pod koniec II wojny światowej Związek Sowiecki miał doskonałe stosunki z „Polską". Ustanawiał tu władzę, jaką chciał, w oparciu o swoją agenturę, więc chyba to nie były złe stosunki – Bolesław Bierut jako władza w Warszawie? Powód, dla którego można łączyć Związek Sowiecki z roku 1945 i Federację Rosyjską z roku 2020 jest prosty: Federacja Rosyjska i jej obecna elita z prezydentem Putinem na czele wybrali świadomie pełne utożsamienie Rosji ze Związkiem Sowieckim, a konkretnie ze zbrodniczym dziedzictwem Stalina. W szczególności z jego aspektem zewnętrznym, imperialnym, czyli z dumą z podbojów, z kontroli narzucanej sąsiadom i bezwzględnego jej egzekwowania przez ambasadorów, którym najwidoczniej pan Andriejew zazdrości: ambasadorów, którzy mogli zmieniać nie tylko decyzje polityczne marionetek podporządkowanych Stalinowi w Warszawie, Sofii, Budapeszcie czy Berlinie Wschodnim, lecz mogli nawet dokonywać wymiany tych marionetek, zgodnie z wolą swoich zwierzchników z Moskwie. Tęsknota za tymi czasami, świadome nawiązanie do nich, znajduje się, jak widać, u podstaw dzisiejszej polityki historycznej Moskwy i to właśnie ona jest źródłem wypowiedzi pana Andriejewa. A co ważniejsze – jest źródłem działań jego zwierzchnika, czyli Władimira Władimirowicza Putina.

▶ A co ta wypowiedź ambasadora Andriejewa mówi nam o naszej polityce wschodniej? Jeszcze parę lat temu władze zachwalały nam ocieplenie stosunków i pojednanie z tą właśnie Rosją.

Też przypominam sobie te poczynania rządu PO i PSL w stosunkach z Federacją Rosyjską. Nie tylko z niesmakiem, lecz też w poczuciu głębokiego wstydu za to, co robił wtedy premier Donald Tusk i wykonawca jego poleceń minister Radosław Sikorski. Ta polityka wymagała tak silnego zaciskania oczu, że musiało to być chyba wręcz bolesne. Przypomnijmy, że tzw. reset w stosunkach polsko-rosyjskich w latach 2007 i 2008 zaczął się od bezprecedensowej, szokującej wręcz opinię międzynarodową wizyty premiera Tuska u Putina na początku 2008 roku, kiedy nikt już do Rosji nie jeździł, bo zaczynała się tam ostatnia faza wyborów prezydenckich.

▶ Przypomnijmy, jaka była wówczas sytuacja międzynarodowa.

Działo się to w czasie, kiedy wiadomo było, że Rosja wykorzysta wizytę Tuska jako środek nacisku, szantażu wobec Ukrainy. Tak było, i to co do dnia: Tusk pojechał do Moskwy, żeby zademonstrować, że potrafi rozmawiać z Putinem, czego „nie potrafił" prezydent Lech Kaczyński. A Moskwa tego samego dnia odcięła dopływ gazu na Ukrainę, demonstrując: widzicie, Polacy już nie są z wami, nie są z Ukrainą. I możemy zacząć rozmawiać z Polakami o podziale Ukrainy. Stało się to w chwilę później, wiemy to również z relacji premiera Tuska ze szczytu w Bukareszcie w 2008 roku, kiedy Putin miał zaproponować polskiemu premierowi rozbiór Ukrainy.

▶ O co chodziło Putinowi?

Oczywiście był to element jego gry. To, że po takim zachowaniu Tusk kontynuował politykę zbliżenia z Rosją, udawania, że nie tylko wszystko jest w porządku, lecz wkrótce może być wręcz znakomicie w stosunkach z Moskwą, świadczy, powiem wprost, o wyjątkowym cynizmie i głupocie tamtej ekipy, jeśli idzie o politykę zagraniczną Polski. Tak zniszczono zdrowy konsensus, który mimo wszystko towarzyszył polskiej polityce wobec Moskwy. Kiedy wiadomo było, że na agresywne poczynania Moskwy – a było wiele przykładów takich poczynań – nie można odpowiadać podziałem w polskiej polityce i uśmiechami wobec władz Federacji Rosyjskiej, tylko trzeba reprezentować wspólne stanowisko, respektujące nasze interesy i naszą wrażliwość polityczną.

▶ Dało się wówczas wyczuć dezorientację nawet u niektórych publicystów „Gazety Wyborczej".

Przypomnijmy także, że w momencie tamtego resetu Federacja Rosyjska miała już na koncie deklarację nowej zimnej wojny, ogłoszoną przez prezydenta Putina na konferencji w Monachium w 2007 roku. To było szokujące opinię światową przemówienie, w którym Putin powiedział, że Zachód jest wrogiem. I to wtedy Donald Tusk deklaruje, że to nie szkodzi, że będziemy rozmawiać z tym, kto ogłasza się wrogiem Zachodu, będziemy uśmiechać się do niego!

▶ I to nie była pusta deklaracja.

Przypomnę następne momenty, bo ubolewam nad tym, że media nie odświeżają tego, co składa się na ów rekordowy jednocześnie cynizm i głupotę w ówczesnej polityce Donalda Tuska i Radosława Sikorskiego. W 2009 roku, kiedy Donald Tusk przyjmował tak uroczyście na sopockim molo premiera Putina, rozpoczynały się właśnie manewry „Zapad", przeprowadzane przez armię Federacji Rosyjskiej, w czasie których jednym z oficjalnych i ogłoszonych również polskim obserwatorom celów było ćwiczenie taktycznego ataku nuklearnego na Warszawę. To można sprawdzić w każdym sprawozdaniu z tamtych manew-

eprasa.pl 39be4e0533

rów. To był również moment, w którym rozpoczynał się w Rosji proces historyków, którzy badali funkcjonowanie „archipelagu Gułag". Uznano, że tego typu działania, kompromitujące dla dziedzictwa stalinowskiego, mają być penalizowane, nie wolno tego robić.

▶ Nasze władze mówiły wtedy o otwarciu Rosji na Europę.

To był właśnie przełom sierpnia i września 2009 roku, kiedy Radosław Sikorski w „Gazecie Wyborczej" ogłosił, że Federacja Rosyjska nigdy nie była tak bliska standardom demokratycznym i wolnego świata, jak w tym momencie. Przypomnijmy także, że właśnie wtedy na Westerplatte premier Putin wygłosił mowę usprawiedliwiającą i faktycznie uzasadniającą pakt Ribbentrop–Mołotow. To była szokująca mowa, ale zaciśnięto oczy, żeby udawać, że nic się nie stało. W Polsce media kontrolowane przez PO niemal w 100 procentach stworzyły wrażenie, jakby Putin nic złego nie powiedział. Czy mam mówić, co było dalej? Co działo się ze śledztwem w sprawie Katynia? Nie mówię o Smoleńsku, mówię o Katyniu. Przypomnijmy, że prokuratura Federacji Rosyjskiej, ta sama, której oddano dochodzenie w sprawie tragedii smoleńskiej, w kwestii Katynia orzekła w tym czasie (lata 2010–2011), że nie wiadomo, co się stało z oficerami polskimi, którzy zaginęli w roku 1940. „Nie wiemy, co się z nimi stało" – dosłownie powtórzono tę formułę Stalina z rozmowy z Władysławem Sikorskim z 1942 roku. Nie użyto wprawdzie formuły, że może uciekli do Mandżurii. Ale rosyjska prokuratura i rosyjski wiceminister sprawiedliwości w odpowiedzi na sprawę, która toczyła się wtedy w Strasburgu, stwierdzili, że nie można ustalić ich losów, nie wiadomo, co się z nimi stało, więc nie może być mowy o ich rehabilitacji. Nie wiadomo nawet, czy zostali skazani. Wobec takiego systematycznego poniżania Polski, ofiar stalinowskich zbrodni i prawdy historycznej, podtrzymywanie tamtego resetu było – powtórzę to trzeci raz – skrajnym cynizmem i głupotą jednocześnie. Nierozliczenie tego jest jednym z największych błędów Prawa i Sprawiedliwości.

▶ Gdy patrzymy na Polskę sprzed 10 lat i obecną, w tym w szczególności skutki naszej postawy wobec Moskwy, przypominają się słowa ze wspomnień Henryka Józewskiego: „Swój sukces Rosja zawdzięcza umiejętności budowania siły z procesów rozkładowych i ludzkiego upadku... Z podźwignięciem się człowieka... nastąpi zmierzch sowieckiej Rosji". To było napisane jeszcze przed pontyfikatem Jana Pawła II. I wobec Rosji dzisiejszej również działa.

Niestety, trwałym dziedzictwem polityki rosyjskiej, budowanej nie od roku 2005, 2007 czy 2010, ale metodami głęboko zakorzenionymi co najmniej od XVIII wieku, jest systematyczne niszczenie możliwości porozumienia się pomiędzy Polakami w imię racji stanu. I budowanie w Polsce własnej, prorosyjskiej partii – taka jest istota działania polityki rosyjskiej od wieków. Mimo że w Polsce, po doświadczeniach wieku XVIII, XIX i XX, nie jest łatwo zbudować partię otwarcie prorosyjską.

▶ Mamy w tej chwili próby budowania partii rosyjskich w Polsce właściwie po wszystkich stronach sceny politycznej.

Oczywiście. Tak jest nie tylko w Polsce, lecz także w skali europejskiej czy światowej. Znakomicie rozwijające się partie prorosyjskie widzimy na prawicy, często na skrajnej prawicy, w wielu państwach Europy. Można wskazać ugrupowania, które w Putinie widzą nowego zbawcę chrześcijańskiej Europy czy chrześcijaństwa w ogóle, co jest wręcz szyderczym bluźnierstwem, bo trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej oddalonego od ideałów chrześcijaństwa niż Władimir Putin.

▶ Jest też prorosyjska lewica.

Duża część lewicy widzi w Rosji jedyny kraj, który przeciwstawi się „największemu wrogowi ludzkości", czyli imperializmowi amerykańskiemu. Nawet jeśli Rosja nie reprezentuje już do końca komunistycznych ideałów, to nadal jest główną siłą antyamerykanizmu. Popatrzmy na przykład Francji. Z jednej strony mamy Marine Le Pen, która uśmiecha się do Putina, i środowiska stojące jeszcze bardziej na prawo od niej, widzące w Putinie jakiegoś chrześcijańskiego eschatona. Z drugiej strony mamy Mélenchona, trockistę, który myśli jak najlepiej o Putinie ze względu na jego antyamerykańską rolę. A w centrum mamy prezydenta Macrona, który w imię pewnej tradycyjnej, francuskiej nadziei na szczególne stosunki między Paryżem a Moskwą, choć także pewnego podskórnego antyamerykanizmu, buduje kolejną wersję resetu z Putinem.

▶ Jak to się ma do sytuacji w Polsce?

Ktoś mógłby powiedzieć, że w Polsce odpowiednikiem Macrona jest Donald Tusk i jego formacja. Ale tak nie jest. Powodem, dla którego nie można postawić na jednej płaszczyźnie zachowania byłego premiera Polski z obecnym prezydentem Francji, jest to, że Polska graniczy z Rosją i jest bezpośrednio zagrożona rosyjskim ekspansjonizmem w jego aktualnej fazie. Francja może grać w miarę bezpiecznie w swojej zarówno naiwnej, jak i cynicznej polityce zagranicznej, w której jest gotowa płacić takimi krajami jak Polska, Litwa, Łotwa, Estonia czy Ukraina w zamian za szczególne stosunki z Władimirem Putinem, które pozwolić mają Francji dźwignąć się na jakąś wyższą pozycję mocarstwową, by móc porównywać się ze Stanami Zjed-

eprasa.pl 39be4e0533

noczonymi. Takie brednie można sobie roić z Paryża, ale z Warszawy za dobre stosunki z Putinem płacić można wyłącznie interesami Polski. Taka jest różnica między resetem Macrona a tym, co robił Tusk. I tak wróciliśmy do polskiej partii rosyjskiej. U nas te sympatie prorosyjskie są rozproszone pomiędzy skrajnych lewaków, centrum, które reprezentuje Donald Tusk i obrońcy jego polityki (z Adamem Michnikiem na czele) oraz częścią obozu narodowego. Gdy chodzi o to centrum, centrowy mainstream zachodni nie jest już dziś tak przychylny Rosji. Dlatego Tusk i Sikorski przedstawiać muszą swą politykę sprzed 10 lat jako już nieaktualną, ale wtedy „racjonalną", tłumaczyć, że wtedy była inna sytuacja niż dziś. A dla mnie cynizm i głupota pozostają cynizmem i głupotą. I przy tej opinii pozostanę.

▶ Mówiąc o cynizmie i głupocie, wywołał Pan temat tego, czym jest zdrada w dzisiejszej postawie rządzących państwem przywódców, ale także całych politycznych obozów. Gdzie jest granica między „innym stanowiskiem" czy „poglądem", na przykład na politykę zagraniczną, a ewidentną zdradą?

Musimy niestety wziąć pod uwagę, że część opinii publicznej w Polsce, formatowana przez dwadzieścia kilka lat oglądania TVN-u czy czytania „Gazety Wyborczej", po prostu zatraciła wrażliwość na takie pojęcia jak zdrada czy tożsamość narodowa. I myślę tutaj o milionach odbiorców. Bo mówimy o dominujących przez zdecydowaną większość III RP nadawcach medialnych. To, co robiły „Gazeta Polska" i kilka innych mediów, to były małe wysepki dysydenckie w morzu tej absolutnie jednolitej papki ideologicznej. Dlatego część ludzi już po prostu nie rozumie, czym jest interes polityczny państwa polskiego, nie łączy tego z własnym interesem, polegającym choćby na obronie wspólnoty politycznej, która chroni naszą kulturę, nasz język, naszą pamięć historyczną. Wobec tych milionów ludzi, którzy tego wszystkiego nie rozumieją, trudno nawet wysunąć oskarżenie o zdradę, bo tego typu pojęcie jest dla nich niezrozumiałe.

▶ Ale jak potraktować podobną postawę w przypadku polityków sprawujących władzę?

Są ludzie, którzy w sposób absolutnie świadomy, rozumiejąc doskonale, na czym polega interes Polski, będąc w stanie to pojąć, są gotowi złożyć ten interes na ołtarzu własnego sukcesu politycznego. I to jest szczyt cynizmu. Nie mówię tu o ludziach, którzy robią to w imię jakiejś ideologii. Ale w imię własnego sukcesu (na przykład w walce o stanowisko w Unii Europejskiej) są w stanie zrobić wszystko, z zaszkodzeniem Polsce włącznie. Sztandarowym przykładem takiego absolutnego cynizmu w polityce jest Donald Tusk. To jest człowiek, który osiągnął szczyt cynizmu politycznego. I chwali się tym. Jego postawa zachęca innych. Szczególnie uderzające jest to w przypadku człowieka, który sprawował urząd premiera w Polsce i został nagrodzony za zdobyte podczas pełnienia tej funkcji Himalaje cynizmu najwyższymi orderami i najwyższymi stanowiskami – poza Polską. Róbmy tak samo, a może uda nam się osiągnąć choćby połowę albo i jedną dziesiątą kariery naszego cynika-rekordzisty. Oczywiście tacy cynicy używani są do realizacji interesów cudzych – czy to Rosji, czy Niemiec.

▶ Wspomniał Pan o zatraceniu przez miliony Polaków poczucia interesu państwa, jeśli nie tożsamości narodowej. Profesor Piotr Grochmalski powiedział o tym tak: „Skala zawłaszczenia Polski przez media z niemieckim kapitałem to coś, co nie zostało jeszcze do końca zeskanowane i wyjaśnione. To szokujące, ale Niemcy przejęli nasz język. Zaczęli go instrumentalnie zmieniać, nadawać mu charakter taki, by realizował niemieckie cele strategiczne. Wprowadzili wiele pojęć, które niewiele mają wspólnego z naszą wspólnotą, budują inną filozofię i logikę naszego społeczeństwa. Snuto przy tym opowieść, że kapitał nie ma znaczenia. Że to wszystko jest otwarte, trzeba się zdać na międzynarodowe regulacje, międzynarodowe prawo, etykę dziennikarską".

To bardzo bolesny temat, bo myślę, że nie ma drugiego takiego kraju w Europie, a w każdym razie kraju zbliżonego do Polski w potencjale i znaczeniu, w którym media zostałyby w takim stopniu oddane kapitałowi i wpływom sąsiedniego, silniejszego państwa. Fakt, że praktycznie wszystkie dzienniki lokalne – a nie lekceważyłbym tego typu mediów czytanych przez miliony ludzi, zwłaszcza w średnim i starszym wieku – są własnością niemieckiej spółki, oznacza, że dociera do nich jednolity przekaz, formułowany ostatecznie przez naszego sąsiada, z którym nasze interesy nie zawsze są przecież zgodne. Podobnie jest, gdy chodzi o główne portale internetowe, które są czy to niemiecką, czy niemiecko-szwajcarską własnością. Ich przekaz jest bardzo konsekwentny, agresywny i jednostronny, gdy chodzi o politykę. Stanowi wręcz krystaliczny przykład propagandy politycznej, której celem jest zniszczenie tej siły politycznej w Polsce, która broni interesu narodowego. Jest to po prostu wojna tych mediów z rządem w Polsce.

▶ Gdy chodzi o postawę polityków wobec Rosji, łatwiej nam zauważyć, co jest zdradą Polski. Natomiast w stosunkach z Berlinem to jest bardziej rozmyte, jesteśmy przecież razem w NATO i UE. Czy obrona „wolności" i „praworządności" za niemieckie pieniądze jest zdradą czy innym poglądem?

eprasa.pl 39be4e0533

Myślę, że warto rozróżnić politykę Rosji i Niemiec. Niemcy są krajem silniejszym niż Polska i mają inne interesy niż my. Nasze interesy będą się wiele razy zderzać. Nie są natomiast fundamentalnym wrogiem, który chciałby doprowadzić do całkowitego podporządkowania Polski, co zresztą nie byłoby możliwe ze względu na ich słabość militarną. Musimy bronić swoich interesów w zderzeniu także z takimi dużymi graczami w UE, w jej ramach, zawierając taktyczne sojusze z innymi państwami, które służą realizacji naszego interesu narodowego, interesu Polaków. Taki sojusz taktyczny możemy zresztą zawierać w niektórych przypadkach także z Niemcami, na przykład wobec wyjątkowo aroganckiej niekiedy polityki Paryża.

▶ Mieliśmy taką sytuację, gdy rząd pani premier Szydło obradował wspólnie z niemieckim rządem w Berlinie.

Myślę natomiast, że cienka linia pomiędzy prowadzeniem tego rodzaju politycznej gry a zdradą przekraczana jest przez opozycję za każdym razem, gdy zamiast tworzyć i popularyzować program, dzięki któremu mogłaby wygrać następne wybory, ucieka się do taktyki „zagranica". Sam język polski nam podpowiada: zagranica, czyli przekraczamy pewną granicę. Przekraczamy ją, gdy odwołujemy się do zewnętrznych czynników, które mają zastąpić wybory w Polsce, werdykt demokratycznego, polskiego suwerena. Ci, którzy sobie tak poczynają, łamią konstytucję. Występują przeciwko jej fundamentowi, woli narodu wyrażonej w demokratycznych wyborach. Wystarczy porównać zachowanie opozycji w Polsce z zachowaniem opozycji w jakimkolwiek innym europejskim kraju. Wyobraźmy sobie polityków opozycji w Niemczech, Francji albo Holandii, którzy odwołują się do UE przeciwko własnemu rządowi z taką gwałtownością, zapalczywością, wściekłością. Wykorzystują każdy instrument UE, by obalić rząd we własnym kraju i kompromitować go, jak tylko się da... Jest to nie do pomyślenia, nie mieści się w jakichkolwiek standardach polityki europejskiej. Opozycja w Polsce robi to, co jest niedopuszczalne w demokratycznych krajach Europy Zachodniej. Ci politycy szkodzą już nie własnemu rządowi, lecz własnemu państwu i jego obywatelom. Słyszeliśmy niedawno polityka opozycji, który z wyraźną nadzieją w głosie mówił: jak to jest, skoro są już przypadki koronawirusa na Ukrainie i Białorusi, to kiedyż wreszcie będą u nas? Kiedy ten wirus wreszcie uderzy w Polskę i pokaże niekompetencję tego rządu? To już szaleńcza zapiekłość: skoro społeczeństwo polskie wspiera ten rząd, to trzeba zaszkodzić temu społeczeństwu, tej „hołocie", która nie chce zagłosować na „słuszne" partie. To jest choroba polityczna, którą stara się w Polsce podtrzymywać Władimir Putin.

▶ Prof. Ryszard Legutko mówił w wywiadzie dla „Nowego Państwa": „Słowo »targowica« pojawia się często w publicystyce jako symbol jednoznacznej, skrajnie oburzającej zdrady. Tymczasem nie wyglądało to tak ani wtedy, czyli pod koniec XVIII wieku, ani później, ani dziś". A więc to rozmycie nie jest wynalazkiem tylko naszych czasów.

Ci, którzy dotarli do targowicy, a raczej do Petersburga, powoływali się na bardzo wzniosłe racje ideowe. Pisali do carycy Katarzyny o prawach i wolnościach Polaków – zagrożonych przez reformatorów, autorów Konstytucji 3 maja. I ta argumentacja trafiała do dziesiątków tysięcy szlachty, czyli ówczesnego narodu politycznego. W momencie wkroczenia wojsk rosyjskich nie była to większość, lecz duża część społeczeństwa, zaczadzona propagandą, że oto odbierana jest nam wolność. Nie przez carycę Katarzynę, lecz przez króla i większość sejmową. Czyli nienawiść do własnej władzy tak silna, by odwoływać się do czynników zewnętrznych występowała i wtedy, i dziś. Obyśmy nie musieli przeżywać takiego przebudzenia, jakie miała większość targowiczan w roku 1793 i 1794. Mam na myśli sejm w Grodnie, wprowadzający II rozbiór Polski. I później potrzebę walki o niepodległość w momencie, gdy walki tej wygrać już się nie dało.

▶ Czytając Kodeks karny, można odnieść wrażenie, że do obecnej rzeczywistości się on nie stosuje. Paragrafów dotyczących zdrady jest kilka. Ten mówiący o zdradzie dyplomatycznej stwierdza: „Kto, będąc upoważniony do występowania w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej w stosunkach z rządem obcego państwa lub zagraniczną organizacją, działa na szkodę Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10". I jak tego paragrafu dziś użyć? Mówiąc trochę żartobliwie, ostatnio tylko raz słyszałem o zawiadomieniu o przestępstwie przeciwko państwu. Adwokat marszałka Tomasza Grodzkiego zawiadomił prokuraturę, że Tomasz Duklanowski, piszący o łapówkach marszałka, chce usunąć przemocą konstytucyjny organ.

To mówi nam sporo o części środowiska prawniczego, które prawa nadużywa w sposób skrajnie tendencyjny. Natomiast jeśli zdroworozsądkowo spojrzeć na cytowane przez pana paragrafy, to jednak gdy któryś z polityków wzywa instytucje europejskie do tego, by zabrać fundusze Polsce, pozbawić finansowania różne programy inwestycyjne w Polsce z pieniędzy europejskich (które przecież nie biorą się z Księżyca, lecz m.in. ze składki polskich podatników), jeśli ktoś wzywa – na złość rządowi – by one nie mogły wrócić do Polski, to ten ktoś bezspornie szkodzi Polsce i milionom Polaków. I myślę, że wobec takich ludzi paragraf ten powinien zostać zastosowany. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Joanna Duda-Gwiazda i Andrzej Gwiazda

ZNOWU SPISEK MAGNATÓW

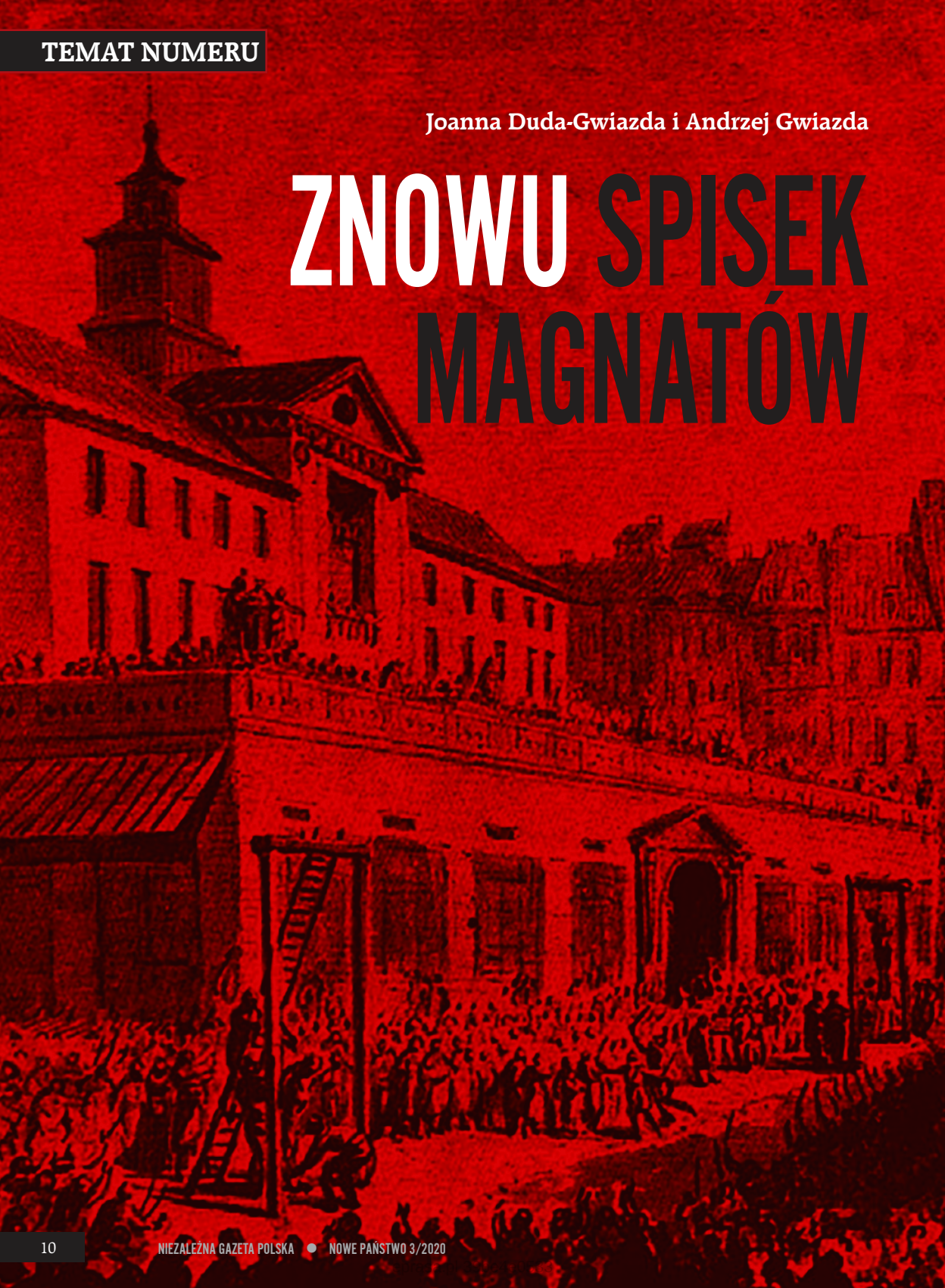

Wystarczyła zmiana rządu, by państwo, w którym „pieniędzy nie ma i nie będzie” zmienić w państwo, które stać na kosztowne programy społeczne, zrównujące nas z rozwiniętymi krajami Europy. By zlikwidować skrajne ubóstwo i praktycznie zlikwidować bezrobocie. By roczne zyski Orlenu z poziomu 0,34 mld skoczyły do 5,7 mld zł, by LOT przynoszący wielomilionowe straty mógł kupić niemieckie konkurencyjne linie lotnicze. Wystarczyły 4 lata, by Polska, z poziomu poklepywanego po plecach unijnego popychadła, została uznana za jedno z kluczowych państw UE. Determinacja antypisu, aby zatrzymać dobrą zmianę, wydaje się nam szaleństwem, ponieważ oceniamy sytuację z punktu widzenia patriotów. Z punktu widzenia zdrajców, czyli ich prywatnych interesów, jest to działanie racjonalne.

Ilustracja Jan Piotr Norblin/Wikipedia

W Polsce targowica jest powszechnie uznawana za symbol zdrady. Była to zdrada jawna i możemy ją dokładnie zanalizować. Jest modelowym przykładem zdrady ojczyzny powielanym do dzisiaj przez następców. Z perspektywy niemal 230 lat możemy ocenić prawdziwe przyczyny i tragiczne skutki targowicy. Warto zwrócić uwagę na sposób uzasadnienia prośby o zewnętrzną interwencję. Nawet zwroty językowe wydają się przeniesione metodą kopiuj-wklej.

Przyjrzyjmy się bliżej targowicy

Był to spisek trzynastu magnatów zawiązany 27 kwietnia 1792 roku w Petersburgu. Tekst konfederacji liczący 40 stron napisał gen. Wasilij Popow. Zacytujmy ważniejsze fragmenty: „[...] pod nieudolnym panowaniem despoty Stanisława Augusta, nie szanuje się wolności i praw szlacheckich”, „A że Rzeczpospolita podbita i w rękach ciemiężców moc całą mająca, własnymi się z niewoli dźwignąć nie może siłami, nic jej nie zostaje, tylko uciec się z ufnością do wielkiej Katarzyny”... Kiedy wojska rosyjskie wkraczały na tereny Rzeczypospolitej, ambasador Jakow Bułhakow wysłał notę o... „przyjacielskiej, sąsiedzkiej pomocy”.

Atak nastąpił w czasie głębokich reform państwa. Rosja i polscy zdrajcy nie mogli zwlekać. Gdyby demokratyczna, nowoczesna Rzeczpospolita okrzepła po wprowadzeniu Konstytucji 3 maja, podporządkowanie jej Moskwie byłoby o wiele trudniejsze lub niemożliwe.

Analogie do współczesności są uderzające.

Nawet uzasadnienie gwałtownego ataku na sprawny i kompetentny rząd PiS przypomina targowicę – „nieudolne panowanie despoty [Jarosława Kaczyńskiego]... nie szanuje się wolności i praw szlacheckich”.

Dzisiaj Polska też jest w czasie głębokich reform. Wystarczyła zmiana rządu, by państwo, w którym „pieniędzy nie ma i nie będzie”, zmienić w państwo, które stać na kosztowne programy społeczne, zrównujące nas z rozwiniętymi krajami Europy. By zlikwidować skrajne ubóstwo i praktycznie zlikwidować bezrobocie. By roczne zyski Orlenu z poziomu 0,34 mld skoczyły do 5,7 mld zł, by LOT przynoszący wielomilionowe straty, w kilka lat zaczął przynosić tak wielkie zyski, że mógł kupić niemieckie konkurencyjne linie lotnicze. Wystarczyły 4 lata, by Polska, z poziomu poklepywanego po plecach unijnego popychadła, została uznana za jedno z kluczowych państw UE.

Determinacja antypisu, aby zatrzymać dobrą zmianę, wrócić do przeszłości, żeby było, jak było, aby elity rządzące państwem w wyniku zdrady Okrągłego Stołu wróciły do władzy, wydaje się nam szaleństwem, ponieważ oceniamy sytuację z punktu widzenia patriotów. Z punktu widzenia zdrajców, czyli ich prywat-

89e4e0533

nych interesów, jest to działanie racjonalne. Polska jest coraz silniejsza gospodarczo, politycznie i militarnie, naród odzyskuje suwerenność. Jest to ostatni moment, aby odwrócić bieg wydarzeń. Po dokończeniu reformy wymiaru sprawiedliwości zmiany będą nieodwracalne. Ponieważ oszukiwanie Polaków jest coraz trudniejsze, o czym dalej napiszemy, ostatnią nadzieją złej zmiany jest sianie chaosu, wzniecanie burd i awantur, jawne kłamstwa, brutalne, wulgarne ataki na sympatyków PiS. Polityków PiS trudniej sprowokować, ale coraz częściej słychać głosy, że władza za słabo reaguje na łamanie prawa.

▶ Stan przemocy sądowej

Nie wszyscy Polacy doceniają cud, jakim było zwycięstwo PiS w 2015 roku. Domagają się jeszcze szybszej poprawy i skuteczniejszej likwidacji patologii, ponieważ PiS rządzi już drugą kadencję. Większość zgłaszanych problemów dotyczy działania sądów i samorządów. Wojewodowie reprezentujący władze państwowe mają ograniczone pole manewru w samorządach, w których potworzyły się kliki i układy trudne do wyplenienia. Samorządy robią, co chcą i nie respektując prawa stanowionego przez Sejm, odwołują się do sądów niweczących wysiłki PiS. Przywracane są nazwy ulic honorujące komunistycznych zdrajców, sądy unieważniają decyzje komisji Jakiego, zwracając kamienice złodziejom, przywracają emerytury byłym ubekom. Ten stan można nazwać przemocą sądową. Kolejne grupy zawodowe wysuwają nierealne roszczenia płacowe lub wszczynają jawny rokosz. Odporność rządu na kłamstwa i hejt jest godna podziwu. Ministrowie spokojnie prostują kłamstwa, odpierają zarzuty. Miejmy nadzieję, że wyborcy to doceniają.

Czy tych wszystkich ludzi, którzy łamiąc prawo i zasady etyki, ograbiają wspólnotę narodową i osłabiają państwo można nazwać zdrajcami? Chciwość, głupota, owczy pęd stanowią okoliczność łagodzącą. Ale większość inspiratorów destrukcji ładu społecznego działa w złej wierze, z premedytacją zabezpiecza swoje interesy i zasługuje na miano zdrajcy.

▶ Wróćmy do historii

„Wielka Encyklopedia PWN" z 1969 roku: „Zdrada Ojczyzny jest jednym z najcięższych przestępstw przeciwko państwu. Według art. 79 konstytucji PRL zdrada ojczyzny polega na szpiegostwie, osłabianiu sił zbrojnych lub przejściu obywatela na stronę wroga".

PRL naszą ojczyzną nie był. Jeśli przywrócimy pojęciu ojczyzna Polaków właściwe znaczenie, komunistyczna definicja zdrady otwiera pole do interesującej analizy. Z definicji (szpiegostwo) wszyscy donosiciele, tajni współpracownicy UB i SB, którzy inwigilowali środowiska antykomunistyczne, są zdrajcami ojczyzny. Osłabianie sił zbrojnych to działanie przeciwko Armii Krajowej i innym organizacjom, które stawiały sobie za cel obronę narodu przed represjami ze strony władz PRL. Przejście na stronę wroga dotyczy wszystkich pracowników UB i SB, również „niewinnych" sekretarek i pracowników technicznych. Zarzut rzekomo krzywdzącego stosowania odpowiedzialności zbiorowej jest fałszywy.

Pierwszą masową organizacją niezależną od rządzącej partii PZPR była „Solidarność". Pierwszy wyłom w totalitarnym systemie został dokonany. Władza odpowiedziała stanem wojennym. Generał Jaruzelski nie zdradził swoich mocodawców w Moskwie. Reprezentował władze okupujące Polskę. Był wrogiem, nie zdrajcą. „Solidarność" zdradziły miejscowe polskie elity. Lech Wałęsa członków „Solidarności" oszukał. Ukrywał swoje kontakty i podporządkowanie władzy. Realizował plany powstrzymania wolnościowych dążeń Polaków. Do dzisiaj pełni tę haniebną rolę. W okresie transformacji ustroju likwidowano polski przemysł i PGR, dziesiątki tysięcy ludzi traciły pracę, dach nad głową, wpadało w skrajną nędzę. Wałęsa i inni byli przywódcy „Solidarności" firmowali te działania. Miliony ludzi pracy w najtrudniejszym dla nich okresie nie miały żadnej ochrony ze strony władz państwa i związków zawodowych. Elity III RP zdradziły ludzi pracy i w nagrodę przeniosły się do Brukseli. Róża Thun i Janusz Lewandowski nadal bez trudu zdobywają mandaty w parlamencie europejskim.

▶ Zachować pamięć o ideach „Solidarności"

Najpoważniejszym problemem przy wychodzeniu z tej moralnej i materialnej zapaści spowodowanej zdradą elit jest akceptacja zdrady. Przyczynił się do tego Kościół, nawołując do przebaczenia, nie wiadomo komu i nie wiadomo czego. Jest to sprzeczne z warunkami przebaczenia, których uczyliśmy się na lekcjach religii – wyznanie winy, skrucha, zadośćuczynienie i postanowienie poprawy.

Przedstawiony tu przebieg transformacji jest przygnębiający również dlatego, że media głównego nurtu nie informowały o rzeszy ludzi, którzy zbierali informacje, organizowali protesty w obronie miejsc pracy, opracowywali programy rozwoju gospodarczego i społecznego. Decydującą rolę w powstaniu mediów niezależnych odegrał Tomasz Sakiewicz, rozwijając Strefę Wolnego Słowa. Powstanie Telewizji Republika było przełomem. Przetrwała pamięć o zasadach i ideach „Solidarności". Z poziomu „Gazety Wyborczej", która kreowała fałszywy obraz rzeczywistości, wciąż obecny nurt patriotyczny i kreatywność Polaków nie były widoczne. Wynik wyborów w 2015 roku i następujący po nim rozwój kraju wywołał zdumienie, a nawet zgorszenie. Nie tak miało być. To się nie miało prawa wydarzyć. Ale się wydarzyło i nadal trwa. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Ryszard Czarnecki

Zdrada Polski – towarzyszka narodowych dziejów...

Niestety, zdrada narodowa – czy to się komuś podoba, czy nie – jest pojęciem, które w Polsce ma tradycję setek lat, a nie kilku dekad komunizmu.

PPR, PKWN, UB itd. narodziły się przecież z SDKPiL (Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy) i KPP. Gdy poseł Leszek Moczulski, przywódca KPN, w Sejmie I kadencji rozszyfrował skrót PZPR jako „Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji", mówił o politycznych dzieciach i wnukach tych, którzy działali na rzecz Polski – a raczej „Polszy" – jako 17. republiki Związku Sowieckiego. A przecież zanim powstał „czerwony carat", był „biały carat" (by użyć określenia Jana Kucharzewskiego), któremu służyli na różnych szczeblach zdrajcy, którzy szansę osobistej kariery w imperium Romanowów przedkładali nad lojalność wobec wspólnoty narodowej, z której pochodzili. To byli zdrajcy, oddający Polskę Wschodowi (Rosji) w różnych jego odmianach: carskiej czy potem komunistycznej.

Od strony zachodu Polski zdrajcami byli ci, którzy sami się germanizowali i gorliwie germanizowali własnych rodaków. Hakata (od nazwisk ideologów zniemczania Polaków – Hansemanna, Kennemanna i Tiedemanna – miała przecież zastępy usłużnych Polaków z krwi, ale już zniemczonych, którzy wybierali silne państwo istniejące i choć obce, to przyjmowane za swoje, lepsze dla nich od państwa własnego, ale nieistniejącego na mapie. To wiek XX, XIX, ale przecież w XVIII narodziło się złowrogie pojęcie targowicy – Konfederacji Targowickiej stworzonej przez Polaków, a nawet polskich arystokratów, którzy wybrali służbę Rosji i rwali Sienkiewiczowskie sukno Rzeczpospolitej, tak jak ich antenaci sto parędziesiąt lat wcześniej sprzedawali Polskę Szwedom.

Polska historia to dzieje heroizmu, poświęcenia, oddawania własnego życia i zdrowia, a także majątku na rzecz Najjaśniejszej Rzeczpospolitej, dzieje cierpień i tortur, niewoli i wygnania – ale ten bohaterski awers miał swój rewers. Rewers zdrady. Rewers sprzedawania Ojczyzny za judaszowskie srebrniki. Rewers służenia obcym. Nie przypadkiem Józef Piłsudski mówił: „Idźcie swoją drogą, służąc tylko Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym". W jednym wezwaniu, apelu Komendanta, który kochał Słowackiego – ale musiał znać słowa innego wieszcza, Norwida, który wzywał, by: „Nie kłaniać się okolicznościom, a prawdom kazać, by za drzwiami stały" – pojawiał się jednocześnie i wątek służby Ojczyźnie (i tylko Ojczyźnie!), miłości do niej, i jednocześnie pogardy dla tych wśród nas, którzy dla własnych korzyści obcym służą.

A przecież tradycja zdrady w Polsce – i zdrady Polski – sięga czasów dawniejszych niż szwedzki Potop i rosyjska targowica czy wysługiwanie się Prusom germanizującym rodaków w Wielkopolsce, na Kujawach i Pomorzu. To przecież także okres średniowiecza – i to wczesnego, gdy przegrywający na ziemiach polskich wewnętrzną walkę o władzę książęta czy możnowładcy antyszambrowali na obcych dworach, aby zewnętrzne ośrodki państwowe, obce trony i dynastie uczynić arbitrami polskich spraw i polskich porachunków. Tak było.

Gdy dzisiaj widzimy tych, którzy wykorzystują demokratyczny mandat, aby opluwać własny kraj i aby sprzymierzać się przeciwko niemu na arenie międzynarodowej, ba, żądać dla niego kar finansowych, zabierania funduszy, okładania sankcjami, ingerencji z zewnątrz – to przecież też wiemy, iż „to wszystko już było".

Można rzec, że żyjemy w nieustającym „déjà vu". Zmieniają się granice Polski, władza i ustroje, przemijają wieki i dynastie, lecz zdrada narodowa jest częścią polskich dziejów, kartą czarną, przez to krwawą, kartą rozgrywaną przez obcych, czymś realnym. Skoro cytowałem Norwida, to zacytuję również współczesnego wieszcza Zbigniewa Herberta, który przecież nie przypadkiem pisał: „I niech cię nie opuszcza siostra twa pogarda – oni zwyciężą". Tak, szpicle, zdrajcy – to widmo krąży nad Polską tak, jak widmo komunizmu, zdaniem Marksa, krążyło nad Europą. Pozostaje mieć nadzieję, że wielki poeta Herbert nie miał racji: ONI jednak nie zwyciężą... ■

eprasa.pl 39be4e0533

Dawid Wildstein

Zdrada, rzecz dobra

Platforma Obywatelska nie tylko akceptuje możliwość zdrady interesu narodowego i uznanie pierwszeństwa korzyści innych państw – ona z tego uczyniła swój główny atut.

eprasa.pl 39be4e0533

Platforma zdążyła nas już nauczyć, że nie przywiązuje zbytniej wagi do kwestii takich jak „suwerenność", „interes narodowy" czy „polska racja stanu". Najboleśniejszy tego przykład mieliśmy podczas tragedii smoleńskiej, gdy – w imię zachowania władzy – zgodziła się na całą grę, jaką dla Polski przyszykował wtedy Putin. Wielokrotnie pokazywała także swoją daleko idącą (delikatnie rzecz ujmując) usłużność względem Berlina, czy to podczas słynnego hołdu berlińskiego ze strony Sikorskiego, czy wtedy, gdy Kopacz gotowa była zgodzić się na każde słowo Merkel w kwestii przyjęcia emigrantów. Mogłoby się wydawać, że podane przykłady to już dużo. Mogłoby się wydawać dziwne, że jakakolwiek partia w Polsce gotowa była posunąć się tak daleko. Ale, jak to bywa w przypadku Platformy Obywatelskiej, nie wolno nie doceniać tej partii. I to, co pokazała przez ostatnie kilka lat, będąc w opozycji, udowadnia, że jest ona w stanie posunąć się dalej.

▶ Słabsza i groźniejsza

W paradoksalny sposób okazało się, że słaba PO jest dużo bardziej niebezpieczna. Używając dość ostrego porównania – wcześniej była to po prostu grupa magnatów, którzy prywatny interes przedkładali nad dobro wspólnoty, jaką – w teorii – mieli reprezentować. W związku z tym byli gotowi zdradzić polską rację stanu. Tylko że po pierwsze za odpowiednią cenę, po drugie – chcieli zachować przy tym możliwie dużą dozę autonomii, a więc i władzy. To z konieczności (bo przecież nie z idei) powodowało, że w niektórych kwestiach potrafili być mimo wszystko asertywni – bo nie chcieli tracić wpływów, pieniędzy, pozycji. Dziś zaś mamy do czynienia nie z magnatami, a z podrzędnymi lokajami, którzy w zamian za darmową kolację zrobią, co im się każe. I, trzymając się porównania, nie obchodzi ich, czy będą zarządzać wielką posesją czy obskurnym pokojem – byle mogli przetrwać. To zresztą konieczna ewolucja tej partii. Kolejne przegrane wybory z rzędu, utrata przynajmniej na dwie kadencje dostępu do władzy, widmo porażki w zbliżających się wyborach prezydenckich – totalna opozycja walczy teraz o być albo nie być. Zwłaszcza że prędzej czy później pojawi się dla niej konkurencja, która może ją pożreć. Musi więc w sposób stały utrzymywać możliwie jak największą mobilizację swojego elektoratu. A tutaj ma tylko dwa aktywa. Konsekwentne dzielenie społeczeństwa, wzbudzanie w nim nienawiści, pasożytowanie na ludzkiej potrzebie czucia się lepszym, bycia ponad, na elemencie aspiracyjnym. Tyle że to paliwo jest na wyczerpaniu. Bo po pierwsze – ile można bredzić o dyktaturze, nazizmie, faszyzmie, reżimie itd.? Po drugie – ten element, bazujący tak naprawdę na wspomnianej już kwestii aspiracji (jestem lepszy, więc zasługuję na więcej, jestem wart więcej), musi być związany z możliwością wygranej partii. Nawet jeśli to zwycięstwo nie powoduje, że przeciętny wyborca PO cokolwiek dostaje, to przynajmniej oferuje symboliczną kompensację, poczucia przynależności do tych, którym się udaje. Ciężko coś takiego uzyskać, regularnie ponosząc klęski.

▶ Zdrada – najważniejszy atut PO

Zostaje więc drugi aktyw, dużo bardziej realny – czyli rzeczywiście potężne wsparcie ze strony establishmentu Unii Europejskiej. Jest to wciąż bardzo istotny argument polityczny w Polsce, która, wbrew bredniom totalnej opozycji, jest nadal silnie euroentuzjastyczna (co ciekawe, dużo bardziej niż tzw. kraje starej Unii), której społeczeństwo, zresztą słusznie, postrzega akcesję do UE jako element poprawy jakości życia i siły państwa. Jednak ten aktyw też jest na wyczerpaniu – również z powodu coraz wyraźniejszego zdenerwowania „mocodawców", którym nie podoba się to, że ich sługa nie jest w stanie wciąż uzyskać władzy w Polsce, a więc reprezentować w sposób właściwy ich interesy. Lojalność lokaja to rzecz bardzo ważna, ale jeśli lokaj ten, niezależnie od wierności, nie jest w stanie wywiązywać się ze swoich powinności, to staje się bezużyteczny. Ostatnią wizytę Macrona w naszym kraju, podczas gdy jeden z najważniejszych sojuszników totalnej opozycji w Polsce w sposób wręcz zaskakujący okazywał szacunek aktualnemu rządowi, należy także intepretować jako sygnał ostrzegawczy wysłany do PO: „wasza niekompetencja zaczyna nas drażnić". Wszystkie te wymienione wyżej elementy powodują, że Platforma Obywatelska i związane z nią środowiska poddane są niesłychanej presji. Jeszcze mocniej usiłują zaznaczyć, że w momencie teoretycznej zmiany rządu będą po prostu przedłużeniem interesów Berlina i najważniejszych graczy z Brukseli, a nie reprezentantami Polski i jej racji stanu. W ten sposób Platforma Obywatelska nie tylko akceptuje możliwość zdrady interesu narodowego i uznanie pierwszeństwa korzyści innych państw – ona z tego uczyniła swój główny atut. Ale nie tylko dynamika polskiej sceny politycznej i wewnętrzne problemy mają wpływ na sposób działania Platformy. Rośnie też analogiczna „presja" na jej najważniejszych partnerów na Zachodzie. Ten wzrost jest jednoznacznie skorelowany z potężnymi przemianami zachodzącymi w obrębie głównych państw członkowskich Unii. Mowa tu o powolnej, lecz bardzo wyraźnej utracie władzy i pozycji przez dotychczasowe elity UE. O coraz mocniejszym kwestionowaniu dotychczasowych „oczywistości" i „prawd objawionych", dzięki którym elity te rościły sobie prawo do nadrzędnej pozycji. Elity te zrozumiały, iż ich władza nie musi trwać wiecznie. A jedyną odpowiedzią, jaką znalazły, jest jeszcze silniejsza próba narzucenia w Unii swojej wizji człowieka i państwa. Wizji,

FOT. SHEMETOV MAXIM / PAP/ITA-R-TASS

eprasa.pl 39be4e0533

która ma, najprościej rzecz ujmując, tłumaczyć, czemu decyzja urzędnika z Brukseli ma być z zasady mądrzejsza niż to, co proponuje demokratycznie wybrany polityk na przykład z Polski.

Międzynarodówka elit

Ta wizja przychodzi w „sukurs" Platformie Obywatelskiej. Podobnie jak towarzyszące tej filozofii najważniejsze trendy ideologiczne spływające do nas z Zachodu. Okazują się one idealne, aby usprawiedliwiać większą lojalność względem ponadnarodowych, technokratycznych instytucji niż własnej ojczyzny. Najprościej rzecz ujmując, chodzi tutaj o model tożsamości, która jest płynna. U jej źródła stoi przekonanie, że nowoczesny człowiek zdołał wyrwać się z dotychczasowych ram opisujących ludzką egzystencję, które teraz traktuje wręcz jako rodzaj krępujących go więzów z przeszłości. Jest w stanie redefiniować siebie i swoją egzystencję. W konsekwencji nie ma już jednej ustalonej tożsamości, a jednostka wręcz powinna możliwie swobodnie przekraczać kolejne style życia. Wszystko jest płynne, nie wolno nam się ograniczać, nowe wyzwania i nowe zjawiska pokazały nam już, jak stary sposób patrzenia na świat okazał się zawodny. Czas na nowych ludzi, którzy rozumieją to, co globalne, którzy są w stanie spojrzeć szerzej niż wcześniejsze pokolenia. Ten sposób opisu człowieka, jego tożsamości i powinności, zostaje też „wyposażony" w element aspiracyjny. Czyli znów – to, że wyznajesz dany światopogląd, świadczy o tym, że należysz do tych lepszych, do elity. Że wyzwoliłeś się z przesądu, z zabobonu, że masz prawo do niesienia kaganka oświaty wśród tłumu tych, którzy wciąż nie dorośli do nowej rzeczywistości. Oczywiście nie będzie żadnej próby „wejścia między lud". Cel jest inny – chodzi o to, by wciąż móc się odróżniać. Na tej zasadzie ciemnogród musi istnieć, żeby można było się wciąż porównywać. Żeby zawsze można było wskazać na innego człowieka i stwierdzić: nie jestem taki jak on. Nie wierzę już w stereotypy o przynależności narodowej, w jakiekolwiek granice i więzi tradycji, jestem kosmopolitą. Tworzy się więc swoista międzynarodówka elity. Ludzi, których łączy tylko to, czym już nie są. Którzy za swój podstawowy powód do dumy, za główny element tożsamości uznają negację. To, że są lepsi, że rozumieją więcej – jest w ich poczuciu warunkowane rezygnacją i odrzuceniem tego, co było. W tej sytuacji zdrada względem tego, co nas stworzyło i określiło, jest koniecznym etapem dojrzewania intelektualnego.

Przykrywka dla konsumpcji

W tej sytuacji na „pierwszy ogień" idzie właśnie tożsamość narodowa. W warstwie intelektualnej mamy kolejne odezwy, mimo ewidentnie przeczącym temu faktom, oznajmiające koniec państw narodowych albo w ogóle narodów. Ale jeszcze ważniejsze jest lansowanie określonego, atrakcyjnego stylu życia, który ma być argumentem za wspomnianym odrzuceniem zabobonów. Mamy więc nowego bohatera, wzór do naśladowania. Bogatego, imprezującego członka nowej arystokracji, swobodnie poruszającego się w najróżniejszych środowiskach, bon vivanta, który czuje się tak samo dobrze w Paryżu, jak i w Nowym Jorku, czerpiącego garściami przyjemność z każdego z tych miejsc etc. To zjawisko występuje także w Polsce, wystarczy przypomnieć kampanię „Paryż, Londyn, Nowy Jork – moje Trójmiasto". U nas także elity swoją wyższość widzą w tym, gdzie zjadły i zrobiły zakupy. Warto przypomnieć wielki autorytet PO, TVN i „Wyborczej", Marcina Króla, który w przypływie szczerości oświadczył, że przeciętny PiS-owiec nie jest w stanie zrozumieć Unii Europejskiej, bo nie wie, jak to jest jeść ostrygi w Bretanii i pić wino w Toskanii. Przykładów tego typu jest multum. Pokazują one, że niezależnie od ilości mądrych słów i podniosłych treści, cały ten konglomerat ideowy jest sprzedawany (i skutkuje) gloryfikacją prymitywnego konsumpcjonizmu, podbitego dodatkowo poczuciem wyższości względem tych, których na to po prostu nie stać. Pokazuje, jak bardzo ci, którzy chcą siebie widzieć jako nową jakość, są tak naprawdę przesiąknięci postkolonialnymi kompleksami i marzeniami o tym, że dobry Pan obdaruje ich szklanymi paciorkami. Zresztą bardzo często tak w praktyce kończą się najbardziej wzniosłe idee lewicowe – jako odpowiednio intelektualnie obudowane foldery reklamowe. W tej sytuacji to, co nazwalibyśmy zdradą narodową, nie istnieje albo znów – jest stanem pożądanym. Bo albo uznamy, że zbiorowość taka jak naród jest anachronizmem, względem której nie mamy żadnych powinności, albo uznamy, że zdrada jej w imię „wyższych ideałów" bądź postępu jest sytuacją właściwą. Co ciekawe, ten nowy „model człowieka" wcale nie jest niczym nowym. W słynnym dialogu „Państwo" Platon w bardzo podobny sposób opisuje styl życia, który chcieli w Atenach wprowadzić sofiści. Zwraca uwagę na to, że taki człowiek w ciągu jednego dnia chce być muzykiem, potem kulturystą, a jeszcze kiedy indziej poetą. Że jest jak ktoś ubrany w najbardziej kolorowy i różnobarwny płaszcz. Tylko, jak konstatuje Platon, błyskawicznie okazuje się, że taki człowiek tak naprawdę niewiele ma, niewiele wie i niewiele umie. A jego przekonanie o swojej wielkiej wartości jest wprost proporcjonalne do tego, jak łatwo jest nim manipulować. Patrząc na to, jak sprawnie i dziś główne państwa zachodnie są w stanie, pod przykrywką najbardziej lewicowych i kosmopolitycznych haseł, realizować swoje jak najbardziej narodowe interesy, wykorzystując chociażby kompleksy elitek z Europy Środkowo-Wschodniej, gotowych zrobić wszystko za grant z Berlina – można stwierdzić, że mimo upływu tysięcy lat opis filozofa ze starożytnej Grecji jest aktualny. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Marcin Wolski

Zdrada niejedno ma imię

Zdrada! Dla dziejopisów bywała często bardziej atrakcyjna niż wierność i choć sprowadzała się do prostej czynności przejścia na pozycje przeciwnika, występowała w ogromnej liczbie wariantów, mimo że jej efekty można sprowadzić do dwóch – przynosiła sukces i korzyść zdradzającemu, albo wręcz przeciwnie. Oczywiście bywało i tak, że wróg korzystał z usługi zdrajcy, po czym rozkazywał przykładnie go stracić, aby nikomu w jego własnym obozie nie przyszła ochota dokonać czegoś podobnego.

Nie da się skonstruować sylwetki typowego zdrajcy, którego jako wzorzec można by eksponować w Sevres, albo innej targowicy. Zdradzali mędrcy i durnie. Tchórze i bohaterowie. Nieudacznicy i ludzie sukcesu. Najwięksi z ateńczyków – zwycięzca spod Maratonu Miltiades i spod Salaminy Temistokles – po wygnaniu ich przez własnych rodaków (w obawie przed rosnącą popularnością) wylądowali ostatecznie w obozie Persów, których wcześniej byli pogromcami. Najczęstszymi motywami zdrady bywały pieniądze (powiada antyczne przysłowie, że nie ma takiej fortecy, której nie zdobyłby osioł obładowany workami pieniędzy), zemsta, strach, szantaż albo kalkulacja polityczna. Bywały też względy osobiste – spór Hieronima Radziejowskiego z królem zaczął się od tego, że (jak twierdził zainteresowany) Jan Kazimierz uwiódł mu żonę. Później zaczęły się procesy, na koniec magnat musiał uciekać z kraju i szukać obcej protekcji (znalazł ją u Szwedów!). Od kobiety zaczął się konflikt Bohdana Chmielnickiego z Danielem Czaplickim, który zaowocował powstaniem kozackim i zapoczątkował upadek Rzeczypospolitej. Zemsta i kalkulacje dynastyczne kierowały wizygockim księciem Justynem, który w VIII wieku zwrócił się o pomoc do Tarika ibn Zijada i zaprosił muzułmanów do Europy. Dwadzieścia lat potem dotarli nad Loarę. Zdrada z całą pewnością przyśpiesza historię i pozwala jej iść na skróty. Kto wie, jak długo broniłoby się 300 Spartan w wąwozie Termopilskim i czy bez pieniędzy Związku Pruskiego (bagatela 190 tys. złotych węgierskich) oblegany przez Polaków, a broniony przez czeskich najemników Malbork pozostałby niezwyciężony? Oczywiście bywali zdrajcy obrotowi (jak choćby Bogusław Radziwiłł), parokrotnie zmieniający stronę barykady, a także zdrajcy wielokrotni, motywujący swe działania racją stanu. Tu bezkonkurencyjnym mistrzem pozostaje książę Talleyrand – zdradził wszystkich – Kościół, króla, rewolucję, Napoleona – choć, jak twierdził, robił to wszystko, aby ocalić Francję (o kasie jako dżentelmen nie wspominał). I faktycznie ocalił ją!

A jak traktować zdrajców, którzy zdradziwszy swych zwierzchników, z pomocą wroga dokonywali przewrotu, zdobywali władzę, a potem długo sprawowali ją ku pożytkowi społecznemu? „Zwycięzców się nie sądzi". Przegranych jak najbardziej. Przykładem nasza targowica – podobno chodziło o uratowanie Złotej Wolności w Rzeczpospolitej. Targowica przegrała haniebnie. Gdy Rzeczpospolitej zabrakło, nastało samodzierżawie, gdzie nawet magnat nie miał swobód, które przysługiwały w wolnej Polsce byle szlachetce. W tym sensie targowiczanie odegrali role użytecznych idiotów, ułatwiając wrogom Polski to, na co ci od dawna ostrzyli zęby. Gdy idzie o poziom ślepoty politycznej, wzorcowa pozostaje postać posła Suchorzewskiego, który gotów był zabić własne dziecko, byleby nie dopuścić do uchwalenia Konstytucji 3 maja.

I tu dochodzimy do oczywistej oczywistości, której nie biorą pod uwagę współcześni „totalsi" pielgrzymujący do obcych dworów. Jest nią kwestia ceny. Podobnie jak targowiczanie nie zdają sobie sprawy, że w wypadku powodzenia ich inicjatywy nie „będzie, jak było". Zapraszając obcych do rozstrzygania polskich spraw, wyrzekają się suwerenności raz na zawsze. Oby nie musieli żałować i odkupywać swoich win jak kolejne pokolenia targowiczan. („Ja już jestem Rosjaninem – wyznawał najbogatszy ówczesny magnat Szczęsny Potocki".) Ale kto przyzna się, że lepsze życie w wolnej Polsce, choćby pod PiS-em, od stanowiska nadzorcy jednego z landów w bezideowej, poprawnej politycznie Europie!? ■

eprasa.pl 39be4e0533

Małgorzata Matuszak

ATEISTYCZNY ŚLUB MARZEŃ

Na stronach propagujących śluby humanistyczne przeczytać można, że decydują się na niego osoby utożsamiające się z humanistycznym systemem wartości oraz te, które poszukują nieszablonowości, piękna i głębi w ceremonii. Kto konkretnie decyduje się na taki nowoczesny „ślub"?

fot. ADOBE STOCK

Współczesne społeczeństwo bardzo się zmienia. Laicyzuje. Inne jest w związku z tym podejście do kwestii sakramentów, w tym sakramentu małżeństwa. Dla wielu ludzi pojęcie „ślub" przestaje być tym, czym w istocie swej jest – zatraca swe odniesienie do Boga i do religii. Coraz częściej jako alternatywę dla ślubu kościelnego podaje się ślub humanistyczny, zyskujący, szczególnie w krajach zachodnich, coraz większą popularność. W Szkocji na przykład liczba zawieranych ślubów humanistycznych przekroczyła liczbę tych katolickich.

„Rytuał przejścia"

„Humanizm to demokratyczny, nieteistyczny i etyczny światopogląd, ruch społeczny i intelektualny oparty na przekonaniu, że człowiek w pełni samodzielnie kształtuje swój obraz świata, system wartości i swoje życie oraz samodzielnie nadaje mu sens", czytamy na stronie Towarzystwa Humanistycznego. Humaniści szczycą się tym, że najważniejszymi dla nich wartościami są: wolność jednostki, kult życia twórczego i etycznego, rozum jako wyraziciel wyjątkowości człowieka, równość kobiety i mężczyzny, afirmacja tolerancji i różnorodności, wezwanie do doskonalenia się człowieka, zaangażowanie społeczne czy optymizm. Wartości to rzeczywiście szczytne, ale czy naprawdę zbiór ten można uznać za wyczerpujący? Czy wymienia wartości w istocie swej dla człowieka najważniejsze? Czy tak pojmowany humanizm w istocie jest humanizmem?

W wielu krajach Europy Zachodniej światopogląd humanistyczny uzyskał oficjalny statut alternatywy wobec religii. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że alternatywa ta przeradza się w nową religię, w której Boga po prostu zastąpiono Człowiekiem, właśnie tym przez duże „C".

Ceremonie humanistyczne, praktykowane głównie w krajach zachodnich, m.in. w Wielkiej Brytanii, Holandii, Norwegii, USA, Australii, traktowane są przez humanistów jako „rites de passage" – rytuały przejścia. Należą do nich choćby ceremonia nadania imienia, czyli świecki odpowiednik chrztu dziecka, czy też ślub humanistyczny, mający zastąpić ślub kościelny. Ceremonie humanistyczne, czyli świeckie rytuały przejścia, kierowane są do osób niereligijnych, które odczuwają potrzebę celebracji jakiegoś ważnego momentu w ich życiu, lub też dla tych, którzy uważają siebie za osoby wierzące, jednak „oferty Kościoła rzymskokatolickiego" nie uznają za w pełni satysfakcjonującą. Humanistyczne rytuały przejścia różnią się od religijnych tym, że kon-

epr_ppl39be4e0533

centrują całą swą uwagę na Człowieku. Tym też chlubią się Humaniści – uważają siebie za „ludzi afirmujących Człowieka, jego potencjał twórczy i stwórczy, i w Człowieku upatrują początek i koniec świata dzieł i wartości", sam humanizm postrzegają zaś jako system wartości, który wzywa człowieka do indywidualnego spełnienia poprzez kultywowanie życia twórczego i etycznego. Humanistyczne rytuały przejścia cechuje także, wedle ich propagatorów, odróżniające je od rytów religijnych bogactwo i ładunek aksjologiczny.

Przede wszystkim: kreatywność

Humanistyczne ceremonie w swym wymiarze zewnętrznym są specyficznym rodzajem teatru, który – w zależności od rodzaju „rite de passage" – przyjmuje określoną postać, dotyczy bowiem konkretności – sytuacji życiowej i ludzi, jego funkcją jest zaś kreacja społeczna i wspólnotowa faktów, które zaistniały wcześniej jako intymne lub prywatne. Jest to więc teatr najbliższy życiu, co podkreślają humaniści. Ślub jest zatem rytuałem przejścia w nową rolę społeczną, a współczesny jego wyraz stanowi właśnie ślub humanistyczny.

Jak zatem on wygląda? W tym względzie panuje zupełna dowolność. Zwolennicy i organizatorzy ślubów humanistycznych podkreślają, że są one w pełni spersonalizowane. Przyszli małżonkowie mogą zaplanować tę uroczystość wedle swojej wizji i wykazać się przy tym niesamowitą kreatywnością, także odnośnie do wyboru miejsca, w którym chcą przeżyć te ważne dla nich chwile. Można na przykład, jak uczyniła to jedna z par, która poznała się i zakochała podczas wycieczki rowerowej po Warszawie, wziąć ślub na rowerach w ogrodach uniwersyteckich. Można też, jak kolejna z par, zorganizować ślub w warszawskim kinie „Muranów", gdzie państwo młodzi po obejrzeniu filmu odegrali scenę, w której zawarli małżeństwo. Pełna dowolność panuje również w odniesieniu do słów wypowiadanej przysięgi – każdy układa ją sobie sam i może zawrzeć w niej to, co jemu wydaje się ważne. I wypowiedzieć ją w obecności tych, których wybrał. Można oczywiście wzorować się na tekście przysięgi wypowiadanej w USC bądź kościele, ale tekst przysięgi może przypominać również przemówienia rodem z komedii romantycznych. Od pobierających się osób zależy także, w co będą ubrani, chociaż, jak widać na zdjęciach z tego typu imprez, prym w tym względzie wiodą tradycyjne białe suknie i klasyczne garnitury. Standardem w tych niestandardowych ślubach jest także wymiana obrączek między małżonkami.

Dla kogo ślub humanistyczny?

Na stronach propagujących śluby humanistyczne przeczytać można, że decydują się na niego osoby utożsamiające się z humanistycznym systemem wartości oraz te, które poszukują nieszablonowości, piękna i głębi w ceremonii. Dlatego też nie ma dwóch takich samych ślubów humanistycznych – tyle wszak rytów humanistycznych, ilu jest humanistów. Poszczególny humanista zaś, mimo podzielania pewnego zbioru wartości z innymi, stanowi odrębną jednostkę o własnym rysie aksjologicznym – każdy humanista jest wyjątkowy i właśnie tę wyjątkowość chce humanizm wydobyć i wzmocnić poprzez praktykowane ceremonie, także więc w ceremonii zaślubin. Śluby humanistyczne w Polsce organizuje m.in. Polskie Stowarzyszenie Racjonalistyczne, ale nie trzeba być jego członkiem.

Ślub humanistyczny nie jest możliwy dla wszystkich, humaniści respektują bowiem przeszkody małżeńskie prawa cywilnego zawarte w artykułach 10–15 Kodeksu rodzinnego. Zgodnie z nimi zaś: (1) Nie może zawrzeć małżeństwa humanistycznego osoba niemająca ukończonych lat osiemnastu; (2) Z ważnych powodów i za zgodą prawnych opiekunów można zezwolić na zawarcie małżeństwa kobiecie, która ukończyła lat szesnaście, a z okoliczności wynika, że zawarcie małżeństwa będzie zgodne z dobrem założonej rodziny; (3) Nie może zawrzeć małżeństwa humanistycznego osoba całkowicie ubezwłasnowolniona; (4) Nie może zawrzeć małżeństwa humanistycznego osoba dotknięta chorobą psychiczną albo niedorozwojem umysłowym; (5) Nie może zawrzeć małżeństwa, kto już pozostaje w związku małżeńskim; (6) Nie mogą zawrzeć ze sobą

ORGANIZATORZY ŚLUBÓW HUMANISTYCZNYCH PODKREŚLAJĄ, ŻE SĄ ONE W PEŁNI SPERSONALIZOWANE. PRZYSZLI MAŁŻONKOWIE MOGĄ ZAPLANOWAĆ TĘ UROCZYSTOŚĆ WEDLE SWOJEJ WIZJI.

eprasa.pl 39be4e0533

małżeństwa krewni w linii prostej i rodzeństwo; (7) Nie mogą zawrzeć ze sobą małżeństwa przysposabiający i przysposobiony.

Oferta ślubów humanistycznych kierowana jest do tych osób, które nie chcą bądź nie mogą wziąć ślubu kościelnego, a także do tych, dla których ceremonia odbywająca się w Urzędzie Stanu Cywilnego wydaje się zbyt krótka i oficjalna. Biorą go także ci, którzy zapragnęli pobrać się w jakimś wyjątkowym dla nich miejscu, urzędnicy zaś nie wyrażają na to zgody. Ślub humanistyczny mogą zawrzeć także pary homoseksualne.

Podkreślić trzeba to, że ślub humanistyczny nie ma mocy prawnej, jak na przykład w Szkocji, Irlandii, Nowej Zelandii, Norwegii, Australii i Stanach Zjednoczonych. Jeśli więc para chce zalegalizować swój związek, musi zawrzeć małżeństwo w USC. O ile oczywiście może. W 2014 roku ówczesna Pełnomocnik Rządu do spraw Równego Traktowania Małgorzata Fuszara deklarowała wprawdzie pomoc w formalizacji ceremonii humanistycznych na wniosek Stowarzyszenia Racjonalistów, na szczęście jednak nic nie wskazuje na to, że polskie prawo usankcjonuje w ten sposób zawarte małżeństwa.

Ślubny teatrzyk

Pierwszy ślub humanistyczny w Polsce odbył się 9 grudnia 2007 roku w Warszawie. Zorganizowało go Polskie Towarzystwo Racjonalistów. Państwo młodzi, Monika i Miłosz, wybrali do odczytania przez swych przyjaciół fragmenty prozy, które – jak czytamy na stronie racjonalista.pl – najlepiej oddają ich przekonania i system wartości. Monika wybrała fragment o humanizmie bokononistycznym z „Kociej Kołyski" Kurta Vonneguta, a Miłosz – kilka fragmentów z „Mszy wędrującego" Edwarda Stachury. Oczywiście były też obrączki i podpisanie „Świadectwa ślubu". Przysięga małżeńska Moniki brzmiała zaś następująco: „Drogi Miłoszu, przysięgam Ci, że będziesz mógł się o mnie troszczyć, być obok mnie w chwilach radości i smutku, w momentach moich porażek i sukcesów. Obiecuję Tobie, że będziesz mógł słuchać moich wrażeń dnia codziennego, robić mi poranne kawy, piec ciasta i nosić moje ciężkie torby, obok mnie zasypiać i obok mnie się budzić. Przyrzekam Ci, że będziesz mógł mnie przytulać, całować, witać i żegnać każdy wspólny dzień. Złość się na mnie, jeśli to konieczne, i przebaczaj, jeśli to możliwe. Jeśli tylko chcesz, to w chwilach mojej nieobecności tęsknij – kiedy wyjadę lub kiedy wyjdę do drugiego pokoju... Obiecuję Ci, że będziesz mógł oglądać ze mną filmy i śpiewać, i tańczyć, i śmiać się, i płakać, i podjadać mi moje batony, i przysięgam, że będziesz mógł się dzielić ze mną wszystkim: myślami, materiałem genetycznym, zasobami... czym tylko zapragniesz...".

Od tego czasu powoli, aczkolwiek sukcesywnie, rośnie popularność ślubów humanistycznych w Polsce. W 2008 roku po raz pierwszy w Polsce ślub humanistyczny wzięła kobieta z kobietą, w 2009 – mężczyzna „poślubił" mężczyznę.

W tekstach przysięgi pojawiają się często „nowe" wartości, jak partnerstwo i równość w związku, słowa zapewnienia o swej miłości i deklaracje wierności, często jednak pomijana jest formuła „nie opuszczę cię aż do śmierci". Patryk Adamczyk, współwłaściciel jednej z firm organizujących tego typu śluby, tłumaczy to następująco: młodzi „wiedzą, że życie może ich zaskoczyć. Jeśli na przykład oddalą się od siebie lub stracą porozumienie, może będzie trzeba się rozstać". Para bierze więc „ślub", ale pozostawia sobie półotwarte drzwi. Wstępuje w „związek małżeński' „dojrzale i bez złudzeń". Robi tak, by każda ze stron musiała wciąż starać się, by być razem i pracować nad związkiem.

POPULARNOŚĆ ŚLUBÓW HUMANISTYCZNYCH W NASZYM KRAJU ROŚNIE. W 2008 ROKU PO RAZ PIERWSZY W POLSCE ŚLUB HUMANISTYCZNY WZIĘŁA KOBIETA Z KOBIETĄ, W 2009 – MĘŻCZYZNA „POŚLUBIŁ" MĘŻCZYZNĘ.

Rozchwiany system wartości

Spadek liczby małżeństw, wzrost liczby rozwodów ma swoją przyczynę w rozchwianiu hierarchii wartości. Problem zastępowania małżeństw tzw. wolnymi związkami wiąże się z problemem relacji wartości wolności i odpowiedzialności. Jedna bez drugiej nie może zaś istnieć. Ślub humanistyczny nie jest niczym innym niż próbą usankcjonowania czegoś, co usankcjonowane być nie może. Małżeństwo, rodzina przeżywają dziś kryzys. „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela" (Mt 19, 6) – te słowa niestety coraz mniej dziś znaczą. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Tomasz P. Terlikowski

Adhortacja „Querida Amazonia" jest – do pewnego stopnia – zaskoczeniem. I jedna, i druga strona sporu wewnątrz Kościoła spodziewała się po niej bardzo konkretnych zmian, ale w istocie do nich nie doszło. Dokument ten należy jednak przeczytać z uwagą, bowiem otwiera nowe obszary dyskusji, która toczona będzie przez najbliższe lata, a może nawet dziesięciolecia.

POTĘPIENIE BEZBOŻNEGO KONSUMPCJONIZMU

eprasa.pl 39be4e0533

Nie będę ukrywał, że byłem przekonany, i to na podstawie bardzo wiarygodnych informacji docierających z Watykanu i z wielu istotnych dla współczesnego Kościoła miejsc, że Franciszek w adhortacji podsumowującej Synod na temat Amazonii wprowadzi przynajmniej dwie zmiany w Kościele – jedną bardzo istotną symboliczną, a drugą ważną doktrynalnie. Pierwszą z nich miało być ograniczenie reguły celibatu i umożliwienie wyświęcania na kapłanów żonatych diakonów lub *viri probati* (mężczyzn żonatych, którzy z oddaniem służą Kościołowi); drugą – mniej prawdopodobną – jakieś otwarcie drogi do diakonatu kobiet. Oba te problemy były szeroko konsultowane, a z przecieków wynikało, że do części biskupów trafiły takie wersje dokumentu na temat Amazonii, w których obie te kwestie były wprowadzane. Ostatecznie jednak, po szerokiej dyskusji, a być może w efekcie wyników konsultacji wśród wielu episkopatów i teologów, dokument „Querida Amazonia" zapisów takich nie zawiera, a jedynie wzywa do modlitwy o powołania, a także o większą szczodrość misyjną skierowane do innych niż amazońskie episkopatów.

Rewolucji zatem nie ma, a jako że stopniowo budowana atmosfera zmiany została przerwana milczeniem na ten temat, to nic nie wskazuje na to, by szybko miano do tej kwestii wrócić. Nie oznacza to jednak, że dokument ten nie jest ważny czy że nie należy go czytać z zainteresowaniem, bowiem tak się składa, że także w nim – jak w poprzednich dokumentach – zawierają się wszystkie cechy charakterystyczne tego pontyfikatu. Pierwszą z nich jest forma. Papież Franciszek jako metodę wyrażenia swojego przesłania dla Amazonii wybrał pisanie o marzeniach, jakie Kościół ma dla tego regionu. O wiele częściej niż w dokumentach jego poprzedników w tekście tym pojawiają się także odniesienia do poezji czy prozy amazońskiej niż do tekstów teologicznych. Ten rys nie powinien być zaskoczeniem, jeśli pamięta się, że Jorge Bergoglio, czyli obecny papież Franciszek, jest specjalistą właśnie od literatury, a nie od teologii.

Napiętnowanie systemów bezbożnych

Forma przekazu nie powinna nam jednak przesłaniać treści. A ta jest fundamentalna. Franciszek wraca bowiem do rozważań zawartych w „Laudato si" i na konkretnych przykładach wskazuje, do czego prowadzić może „bezbożny konsumpcjonizm" czy pewne formy bezbożnego neoliberalnego kapitalizmu. W ten sposób podejmuje on drogę rozpoczętą przed laty przez Leona XIII, a kontynuowaną przez papieży, którzy jasno potępiali bezbożny komunizm, a także tę, którą wędrowali papieże Jan Paweł II i Benedykt XVI wskazujący na problemy związane z pewnymi formami kapitalizmu czy neoliberalizmu. Franciszek idzie jeszcze dalej i pokazuje, że „bezbożny konsumpcjonizm" niszczy nie tylko godność człowieka, lecz także naturę, rodzi też struktury wyzysku i zniszczenia.

Franciszek wskazuje na przykład, jak rabunkowa gospodarka leśna niszczy ludzi. „Interesy kolonizatorskie, które szerzyły i szerzą – legalnie i nielegalnie – pozyskiwanie drewna oraz przemysł wydobywczy, a które wypierały i osaczały ludy tubylcze, nadrzeczne i pochodzenia afrykańskiego, powodują protest wołający do nieba [...] Sprzyjało to najnowszym przemieszczeniom migracyjnym rdzennej ludności ku obrzeżom miast. Nie znajduje tam ona prawdziwego wyzwolenia od swoich dramatów, ale najgorsze formy niewolnictwa, podporządkowania i nędzy. W miastach tych, cechujących się wielką nierównością, gdzie obecnie mieszka większość ludności Amazonii, rośnie także ksenofobia, wykorzystywanie seksualne i handel ludźmi" – wskazuje papież. A w innym miejscu uzupełnia: „Działaniom ekonomicznym krajowym lub międzynarodowym, które niszczą Amazonię i nie szanują prawa ludów pierwotnych do terytorium i jego rozgraniczenia, do samostanowienia i uprzedniej zgody, trzeba nadać odpowiadające im imię: niesprawiedliwość i przestępstwo. Gdy niektóre firmy spragnione łatwych zysków przywłaszczają sobie terytoria i posuwają się do sprywatyzowania nawet wody pitnej, lub gdy władze dają pozwolenie przemysłowi drzewnemu, projektom górniczym lub naftowym i innym przedsięwzięciom niszczącym lasy i zanieczyszczającym środowisko, zmieniają się krzywdząco relacje gospodarcze i stają się narzędziem, które zabija. Zwyczajem jest uciekanie się do środków dalekich od wszelkiej etyki, takich jak nakładanie kar za protesty, a nawet odbieranie życia ludności tubylczej, która sprzeciwia się projektom, celowe wzniecanie pożarów lasów lub korumpowanie polityków i samej rdzennej ludności. Towarzyszą temu poważne pogwałcenia praw człowieka i nowe zniewolenia, uderzające szczególnie w kobiety, plaga handlu narkotykami, dążąca do ujarzmienia rdzennych mieszkańców, lub handlu ludźmi, który wykorzystuje osoby wypędzone z ich kontekstu kulturowego. Nie możemy pozwolić, aby globalizacja stała się nową postacią kolonializmu" – wskazuje Franciszek.

A tych jego słów nie należy lekceważyć, jak wyrastających z jakiejś lewicowej utopii, a raczej z głębin nie tylko społecznej nauki Kościoła, lecz także z głębi zatroskania proroków o sprawiedliwszy świat, sieroty, wdowy, cudzoziemców i samotnych. O takim zatroskaniu i związanym z nim „oburzeniu" na struktury grzechu wprost pisze papież Franciszek w przejmujących słowach na temat zabijającej struktury wyzysku.

fot. Vandeville Eric/ABACA/PAP

eprasa.pl 39be4e0533

Zachować pamięć w obliczu globalnej monokultury

Mocnym elementem papieskiej refleksji są także rozważania nad tym, jak globalna monokultura konsumpcyjna niszczy kultury tradycyjne i jak to uniemożliwia skuteczne głoszenie Ewangelii. „Pragnę teraz przypomnieć, że »konsumpcyjna wizja człowieka, wspierana przez machinę dzisiejszej zglobalizowanej ekonomii, dąży do homogenizacji kultury i osłabienia ogromnej różnorodności kulturowej, będącej skarbem ludzkości«. Wpływa to bezpośrednio na ludzi młodych, kiedy istnieje skłonność do »niwelowania różnic właściwych dla miejsca ich pochodzenia i do zamieniania w istoty z seryjnej produkcji, którymi można manipulować«. Aby uniknąć tej dynamiki ludzkiego zubożenia, trzeba kochać i zatroszczyć się o korzenie, ponieważ są one »punktem zakorzenienia pozwalającym nam się rozwijać i reagować na nowe wyzwania«. Zachęcam młodzież z Amazonii, zwłaszcza rdzenną, do »wzięcia na siebie korzeni, ponieważ z korzeni pochodzi siła, która sprawi wasz rozwój, rozkwit i wydawanie owoców«. Dla tych pośród nich, którzy są ochrzczeni, te korzenie obejmują historię narodu izraelskiego i Kościoła, aż do dnia dzisiejszego" – podkreśla papież.

Skąd tak wielki szacunek papieża dla pamięci ludów tradycyjnych? Odpowiedź wydaje się dość prosta. Otóż tak się składa, że kultury tradycyjne są przeniknięte „ziarnami prawdy", są otwarte na Transcendencję, nawet jeśli część z ich wierzeń zawiera elementy fałszu. Otwarcie na sacrum otwiera na Ewangelię, naturalna religijność może prowadzić do otwarcia na wiarę objawioną. Cała historia Kościoła jest tego świadectwem, a religijność ludowa wciąż dostarcza nowych potwierdzeń tej prawdy. Oczywiście należy uważać, by świadomość znaczenia religii naturalnych nie przekształciła się w jakąś formę religijnego relatywizmu, ale... z drugiej strony nie należy popadać w protestanckie odrzucenie naturalnej religijności. Jakby tego było mało, nie wolno zapominać, że globalna monokultura, zazwyczaj postchrześcijańska, a często jawnie antychrześcijańska czy antyreligijna, skupiona na konsumpcji takich „prześwitów Transcendencji", otwarć na Boga nie zawiera, i właśnie dlatego uniemożliwia niemal skuteczne głoszenie Słowa. Tam, gdzie niknie tradycyjna pobożność, naturalna religijność, o wiele trudniej jest głosić Słowo. Misjonarze, kaznodzieje powinni więc nie tylko szukać owych „prześwitów", lecz także – co nie mniej ważne – podtrzymywać pamięć ludów, odsyłać do mądrości przodków. To może wyglądać paradoksalnie, ale zawiera w sobie głębokie rozeznanie rzeczywistości współczesnej.

Czego nie ma, a co jest?

Na koniec warto wrócić do tego, czego w adhortacji nie ma, a czego wszyscy się spodziewali. Nie ma w niej, to prawda, uwag na temat święcenia *viri probati* czy diakonów stałych, ani diakonatu kobiet. Nie oznacza to końca dyskusji, lecz... oznacza, że na tym etapie decyzje nie zostały podjęte i że moment, w jakim zmianę można wprowadzić, minął. Nie ulega wątpliwości, że pewne decyzje były sondowane i zostały odrzucone. A skoro tak, to nikt szybko do nich nie wróci.

Ciekawsze jest jednak co innego – jak Franciszek odnosi się do ostrych dyskusji na ten temat. Otóż sugeruje, że trzeba wznieść się ponad bieżący spór i szukać rozwiązania poza nim. „Często się zdarza, że w danym miejscu pasterze widzą bardzo różne rozwiązania problemów, z którymi się borykają, i dlatego proponują pozornie przeciwstawne formy organizacji kościelnej. Kiedy tak się dzieje, prawdopodobnie prawdziwą odpowiedzią na wyzwania ewangelizacji jest przezwyciężenie takich propozycji, szukając innych, lepszych sposobów, być może wcześniej niedostrzeżonych. Konflikt rozwiązuje się na wyższym poziomie, gdzie każda ze stron, pozostając sobie wierna, łączy się z drugą w nowej rzeczywistości. Wszystko rozwiązuje się na wyższym poziomie, zachowującym w sobie cenną konstruktywność dwóch odmiennych biegunów [...] Prawdziwych rozwiązań nigdy nie da się osiągnąć przez rozwadnianie śmiałości, ukrywając się przed konkretnymi wymaganiami lub szukając winy na zewnątrz. Przeciwnie, wyjściem jest »nadmiar«, wykraczający poza dialektykę ograniczającą wizję, aby można było w ten sposób rozpoznać większy dar, jaki daje Bóg. Z tego nowego daru przyjętego z odwagą i hojnością, z tego nieoczekiwanego daru, który rozbudza nową i większą kreatywność, wypłyną, jak ze szczodrego źródła odpowiedzi, których dialektyka nie pozwalała nam zobaczyć" – wskazuje papież Franciszek.

Co to może oznaczać? Trudno na tym etapie wyrokować, ale wiele wskazuje na to (a znaleźć te rozważania można także w tekście adhortacji), że szukane będą nowe formy dowartościowania kobiet i świeckich mężczyzn, a także mocniejsza praca nad rozumieniem kapłaństwa, które stopniowo pozbawiane może być elementów władzy doczesnej czy autorytetu niezwiązanego z samymi działaniami sakralnymi. To proces, który wyraźnie widać w adhortacji, a który może być o wiele istotniejszy niż ograniczanie reguły celibatu. Dlaczego? Bo w pewnym sensie oznacza on koniec paradygmatu klerykalnego w Kościele. I być może właśnie te rozważania wytyczą nowe drogi w Kościele. Drogi, których na razie nie da się przewidzieć. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Małgorzata Matuszak

Czym jest... Wielki Post

Do wszystkiego w życiu się przygotowujemy, tym lepiej i bardziej drobiazgowo, im czekające wydarzenie jest dla nas ważniejsze. W Roku Liturgicznym, który wyznacza rytm życia każdego chrześcijanina, najważniejszym świętem jest Wielkanoc. Z tego też względu winniśmy do niej przygotować się w najbardziej staranny sposób. Czasem tego przygotowania jest właśnie Wielki Post.

Wielki Post rozpoczyna się Środą Popielcową, w której symbolicznie posypujemy naszą głowę popiołem, kończy się zaś po 40 dniach – bez wliczania niedziel, dni pamiątki Zmartwychwstania, podczas których post nie obowiązuje, jest wręcz zakazany, czyli w istocie 46 następujących po sobie dni – liturgią Wielkiego Czwartku, która z kolei rozpoczyna jedno wielkie Święto Paschalne celebrowane w ramach Triduum Paschalnego. Liczba „40" jest tutaj bardzo istotna i symboliczna. 40 dni to okres przygotowywania się na coś ważnego, czas pokuty, postu, modlitwy albo kary – 40 dni choćby trwał potop, 40 dni i 40 nocy Mojżesz przebywał na Synaju, przez 40 lat Izrael błąkał się po pustyni po wyjściu z Egiptu, 40 dni i nocy Eliasz wędrował na górę Horeb, przede wszystkim jednak 40 dni Chrystus pościł na pustyni przed rozpoczęciem głoszenia Ewangelii, będąc tam kuszony przez diabła.

Geneza Wielkiego Postu sięga II wieku, kiedy dla lepszego przygotowania do przeżycia Świąt Paschalnych dodano dwa dni postu przed tym świętem. W III wieku poszczono już cały tydzień. Na Soborze nicejskim postanowiono, że czas pokutny przed pamiątką Zmartwychwstania Pańskiego trwać będzie 40 dni, na początku wieku IV wprowadzono zaś post 40-dniowy na pamiątkę postu Jezusa Chrystusa. Dlatego w liturgii rzymskiej Wielki Post określa się mianem Quadragesima, czyli „Czterdziestnica". Nazwa „Wielki Post" wydawać się może bowiem myląca, gdyż post nie jest jedyną i najważniejszą treścią tych 40 dni. Dopiero w połączeniu z modlitwą i jałmużną nabiera głębszego sensu, wyizolowany może wszak prowadzić wręcz do egoizmu i skoncentrowania się na własnym umartwianiu, bez niezbędnego kontekstu Boga i całej wspólnoty Kościoła, innych ludzi. Dopiero te trzy wymiary: modlitwa, czyli relacja ja–Bóg, post, czyli relacja ja–ja i jałmużna, czyli relacja ja–bliźni, czynią ten czas pełnym, czasem przygotowywania się do Paschy. To ona jest sensem Wielkiego Postu.

Wielki Post jest także ćwiczeniem się w wolności. To czas odnowy i poszukiwania samego siebie, odnajdywania sensu w tym, co często wydaje się nam go pozbawione, a co jest nieodłącznym elementem naszej ludzkiej egzystencji – w przemijaniu, kruchości, w cierpieniu.

Czas czterdziestnicy Paschalnej wzywa nas do reorganizacji swego życia i skierowania go ku Bogu. W szczególny sposób wzywają nas do tego słowa Chrystusa, które podczas liturgii w Środę Popielcową towarzyszą obrzędowi posypywania głów popiołem: „Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię" (Mk 1,15). W tym dniu zachęcani jesteśmy do tego, by wejść na drogę wewnętrznej przemiany – nawrócenia, rozumianego jako zmiany myślenia. Taki jest bowiem wydźwięk oryginalnego, greckiego słowa, które w polskim tekście tłumaczone jest jako „nawracajcie się" – „metanoeite", dosłownie: „zmieniajcie swoje myślenie". W ciągu tych 40 wielkopostych dni chodzi właśnie o nią: metanoię, zmianę myśli i rozumu, zmianę serca, kierunku własnego postępowania. Gest posypania głów popiołem jest zewnętrznym znakiem wewnętrznej przemiany, do której jesteśmy pociągani przez samego Boga, Który orientuje nas na Siebie.

> Czas czterdziestnicy Paschalnej wzywa nas do reorganizacji swego życia i skierowania go ku Bogu.

Dla wierzących chrześcijan Wielki Post jest czasem przygotowującym i prowadzącym do Świąt Zmartwychwstania, których przesłanie jest właśnie takim cyklicznie powtarzającym się wezwaniem: możesz rozpocząć swoje życie od nowa – z nieskończoną szansą na wieczność; chociaż się zagubisz, możesz odkryć Boga na nowo i umocnić z Nim więź. Człowiek podczas swego życia poddawany jest nieustannej walce między dobrem i złem – Bóg o tym wie i pragnie w walce tej nas wzmacniać. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Piotr Lisiewicz

Gdy befsztyk Nojiego był największym zmartwieniem Polaków

W 2014 roku do kin wszedł film Angeliny Jolie „Unbroken", czyli „Niezłomny". W scenie z Olimpiady w 1936 roku w Berlinie tytułowy bohater filmu, amerykański biegacz Louis Zamperini, dociera na metę za plecami olimpijczyka z Polski – Józefa Noji. Tytuł „Niezłomny" reżyserka wiązała z wojennymi losami Zamperiniego – więźnia japońskiego obozu. Ale losy biegacza Józefa Noji z Wielkopolski, który dwukrotnie odmówił podpisania volkslisty, torturowany na Pawiaku nie wydał nikogo i zginął w Auschwitz za konspirację – złapany na próbie przemycenia grypsu, z pewnością zasługiwałyby na światowy film o podobnym tytule.

Gdy w 1934 roku nikomu nieznany stolarz ze wsi Pęckowo, trenujący w kole „Sokoła", wygrał coroczny Bieg Narodowy w Poznaniu, wszyscy przecierali oczy ze zdumienia. W biegu startowała bowiem cała czołówka polskich długodystansowców. Jego wynik był tak nieprawdopodobny, że zaczęto go podejrzewać, iż... pobiegł na skróty.

To nie była pierwsza anegdota na temat młodego zawodnika. Opowiadano, jak po jednym z lokalnych biegów reszta stawki dobiegła na metę z tak wielkim opóźnieniem, że zastała go... jedzącego obiad.

Niebawem Noji, już jako znana wszystkim sława, pojawić miał się w dowcipie o tym, jak to Polacy zdobywają sławę:

Kiepura – pyskiem
Wajsówna – dyskiem
Paderewski – palcami
Noji – girami.

Można powiedzieć, że wraz z „girami" Nojiego gwara poznańska, która dumnie tak określa nogi, weszła na salony!

Trzy karczmy we wsi, a on biega

Reportaż o początkach kariery Nojiego, który miał zostać najsłynniejszym obok Janusza Kusocińskiego polskim długodystansowcem, opublikował w „Przeglądzie Sportowym" Jan Erdman, jedna z największych dziennikarskich indywidualności XX-lecia międzywojennego. Pojechał do Puszczy Noteckiej i w Pęckowie rozmawiał z matką biegacza, która powiedziała mu: „Wadziliśmy się nieraz o to latanie, ale on mówił, że tak być musi. Później zobaczyłam, że nie może być inaczej i dałam spokój". Synowi zdarzało się z powodu swojej pasji nawet... zniknąć z domu. „Kiedyś wyjechał na zawody po kryjomu, to się zgniewałam, ale on wraca i mówi »Nie wyzywajcie, matko, bo wygrałem. Lepiej mi jeść naszykujcie!«" – wspominała matka. Plusy z faktu, że syn biega, znalazła następujące: „Trzy karczmy są we wsi. Józef zarabia pieniądze i mógłby teraz codziennie butelkę wypić, ale jak go kto namawia, to nigdy się nie zgodzi, tylko rzeknie: »Nie mogę pić. Ja muszę mieć swoje siły do biegania«".

Józef Noji urodził się w 1909 roku jako syn Pawła i Józefy z Kowalów we wspomnianym Pęckowie, małej wsi w Puszczy Noteckiej, w Wielkopolsce, w zaborze pruskim. Jak odnotowywały kroniki, we wsi były „94 domy oraz 964 mieszkańców, w tym 923 katolików, 31 protestantów oraz 10 izraelitów".

Józef był najmłodszym dzieckiem w wielodzietnej rodzinie – miał czworo braci. Bardzo szybko musiał zacząć pracować – jego ojciec, wcielony do pruskiej armii w czasie I wojny światowej, zmarł na gruźlicę, gdy chłopczyk miał 8 lat.

W 1924 roku ukończył z dobrymi wynikami 5-klasową szkołę podstawową. Pomagał w rodzinnym gospodarstwie i uczył się zawodu stolarza w stolarni Marcina Piątka. Jednocześnie zaczął biegać po Puszczy Noteckiej, ścigając – jak powie w jednym z wywiadów – motyle i zające. Trafił do pęckowskiego koła „Sokoła".

Do pracy biegiem, 24 kilometry w jedną stronę

W wydanej na stulecie odzyskanie niepodległości pod patronatem prezydenta Andrzeja Dudy i eurodeputowanego Ryszarda Czarnego książce „Sportowcy dla Niepodległej" Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik piszą: „Pierwsze występy zostały zapamiętane tak: nastoletni Józef zapisuje się na zawody, a pani Noji wychodzi z domu, by obejrzeć występ syna. Patrzę – leci Józef, a tamtych nie ma i nie widać". Podobnie było na zawodach w okolicznych miasteczkach: Wieleniu, Wrzeszczynie, Wronkach, Szamotułach i Obornikach. Noji zdążył się już ubrać, gdy na metę dobiegała reszta zawodników. Pewnego razu zorganizowane zostały zawody, w których Noji rywalizował z grupą rowerzystów. On miał przebiec siedem kilometrów, oni przejechać dziewięć. Metą było gospodarstwo Nojich. Franciszek Graś w książce „Józef Noji. Sportowiec i patriota" pisze, że gdy rowerzyści dotarli na metę, zastali Józefa... kończącego obiad.

W 1930 roku biegacz powołany został do służby wojskowej w 8. batalionie saperów w Toruniu, którą ukończył w roku 1932 w stopniu kaprala i wrócił do rodzinnego Pęckowa. Po wojsku, jako wykształcony stolarz, znalazł pracę, ale w miejscowości odległej o 24 kilometry od domu. Drogę do pracy i z powrotem pokonywał codziennie... biegiem.

By zrozumieć fenomen międzynarodowego sukcesu Nojiego, trzeba napisać o specyfice tego, czym był sport w II RP. Przed 1918 rokiem jego znaczenie doceniały wszystkie polskie konspiracje, niezależnie od politycznej barwy. Młodych Polaków szkolono do walki pod pretekstem apolitycznej działalności sportowej. Utworzenie ogólnopolskiego związku sportowego we wrześniu 1918 roku wyprzedziło o niemal dwa miesiące... niepodległość.

A potem Kazimierz Sosnkowski był przez 11 lat prezesem Polonii Warszawa, Leopold Okulicki – kierownikiem piłkarskim Legii, Edward Rydz-Śmigły miał klub swego imienia Śmigły Wilno, na stadionach bywał także marszałek Józef Piłsudski.

Ogólnodostępność sportu należała do wielkich osiągnięć II RP. Zawody sportowe odbywały się we wsiach i małych miasteczkach. W szczytowym momencie w klubach i towarzystwach sportowych trenowało po-

eprasa.pl 39be4e0533

nad 350 tysięcy Polaków. To dzięki temu mógł rozwinąć się talent chłopaka z Pęckowa.

10-krotny mistrz Polski

W 1933 roku we Wronkach Noji z dużą przewagą wygrał lokalne eliminacje do corocznego Biegu „Kuriera Poznańskiego", gazety bliskiej Narodowej Demokracji, w którym brała udział krajowa czołówka. Nieznany nikomu chłopak z Pęckowa zajął drugie miejsce za mistrzem Polski w biegach przełajowych, Maksymilianem Hartlikiem z Chorzowa.

Po tym sukcesie przeniósł się do Poznania, gdzie trenując, pracował jednocześnie jako portier w redakcji „Kuriera Poznańskiego", a także w zakładzie tapicerskim.

Po występie we wspomnianym biegu powołany został do kadry w „meczu bałtyckim", pomiędzy Polską, Łotwą i Estonią. Zajął drugie miejsce w biegu na 10 tys. metrów za Kazimierzem Fiałką. Do wybuchu wojny 10 razy reprezentował barwy narodowe w meczach międzypaństwowych.

Trafił od Warszawy i od 1935 roku startował jako zawodnik Legii, a jego trenerem był Stanisław Petkiewicz, wcześniej 13-krotny rekordzista Polski. Tu również zrezygnował z dojeżdżania do pracy i pokonywał biegiem drogę z Żoliborza na Pragę i z powrotem. Zdobył dla tego klubu wiele medali i nagród. Mistrzem Polski w biegach był do 1939 roku aż 10 razy!

Befsztyk Nojiego jak wątroba Prometeusza

Wielką szansą na światową karierę miała być dla Nojiego olimpiada w 1936 roku w Berlinie. Tymczasem w biegu na 10 tys. metrów Noji zajął dopiero 14. miejsce. To nie był wynik na miarę jego możliwości. Co stało się w Berlinie? „Jakaś nagła słabość pozbawiła Noji z miejsca wszystkich szans. Śmiało jeszcze przed chwilą kroczący w czołowej grupie wraz z wielkimi Finami i Murakosą zaczął odpadać i w błyskawicznym tempie zbliżać się do ogona wyścigu" – relacjonował „Przegląd Sportowy" z 3 sierpnia 1936 roku.

Jak czytamy w książce „Sportowcy dla Niepodległej", on sam tłumaczył swą złą dyspozycję bardzo silnym bólem w prawym boku i udzie. Pojawiła się jednak inna plotka: tuż przed biegiem na 14 tys. metrów Noji miał zjeść w restauracji wielki, krwisty befsztyk. Miał to zobaczyć kontuzjowany Janusz Kusociński (przeszedł udaną operację kolana, przeprowadził ją lekarz wojskowy dr Henryk Julian Levittoux), który był na igrzyskach jako korespondent „Przeglądu Sportowego". I zwrócić uwagę młodszemu koledze, czym ten się zdenerwował. To nadmierne obżarstwo i nerwy miały być przyczyną słabego wyniku. Wersję tę powtarzało wielu dziennikarzy, ale Bogdan Tuszyński, biograf Kusocińskiego, twierdził, że opowieść ta była nieprawdziwa.

Niezależnie od tego jak było, „befsztyk Nojiego" przeszedł do mowy potocznej, a w języku dziennikarzy sportowych stał się na dziesięciolecia symbolem kuriozalnych tłumaczeń gorszych wyników sportowców. Nawet w publikacji „90 lat polskiej lekkoatletyki" befsztyk zostaje odnotowany!

„Befsztyk Nojiemu wypominała dosłownie cała Polska. Wyśmiewano go w pismach satyrycznych, w teatrach, śpiewano kuplety w operetkach, piętnowano w gazetach. I za co? Za to, że przetrenowany, zmęczony chłopak miał po prostu dobry apetyt. Pewnie, mógł być ostrożniejszy. Ale zdarzyło się – i przepadło już. Drugiego befsztyka Noji nie zje przed biegiem, choćby konał z głodu" – pisał felietonista „Romit" w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" z 3 lutego 1939 roku.

Tym razem powodem przypomnienia najsłynniejszego befsztyka II RP stały się zarzuty wobec reprezentantów Polski dotyczące nadmiernego spożycia koniaku. „Już nieraz polskim sportsmanom »w y ł a z i ł y« w najbardziej nieodpowiednich momentach różne nieoczekiwane rzeczy. Na przykład Nojiemu ów legendarny już befsztyk. Befsztyk Nojiego przejdzie chyba tak do historii, jak wątroba Prometeusza" – pisał „Romit".

Z kolei w „Dzienniku Bydgoskim" w 1937 roku ukazał się artykuł „Żołądek wpływa na bieg historii. Befsztyk Nojiego – sznycel Karola i majonez księcia Meyenny". Pisano w nim: „Do dziś jeszcze leży nam na... sercu ciężkostrawny befsztyk Nojiego, który świetnemu biegaczowi uniemożliwił zdobycie medalu olimpijskiego i zepchnął nas na szary koniec w wielkich międzynarodowych rozgrywkach sportowych. Żołądek, jak z tego wynika, jest nie tylko regulatorem serca, ale odgrywa ważną rolę we wszystkich innych dziedzinach życia, nie wyłączając historii".

„Wszyscy z naszej wsi lecieli za nim jak za Cyganem"

Na szczęście na tej samej olimpiadzie Noji zajął, obserwowany przez Adolfa Hitlera, bardzo dobre piąte miejsce w biegu na 5 tys. metrów. Pobił przy tej okazji o 7 sekund rekord Polski Kusocińskiego (wspomniany młody Louis Zamperini był ósmy).

Skalę popularności Nojego, zarówno tej pozytywnej, jak i narodowego zawodu spowodowanego przez przesławny befsztyk, zrozumiemy, gdy przytoczymy relację, jak polskim sportowcom kibicowała w 1936 roku cała Polska. Doktor Robert Gawkowski z Muzeum Historii Polski pisze: „W 1936 roku futbolowych wieści z Igrzysk Olimpijskich słuchano np. w warszawskim Ogrodzie Saskim lub przed sklepami ze sprzętem radiowym [...] »Tłum kołysze się i hu-

eprasa.pl 39be4e0533

czy. Na twarzach błysk radości. Pada okrzyk: Niech żyją! Wysoko ponad głowami wylatują czapki młodocianych entuzjastów. Nie tylko młodzieży udziela się ten entuzjazm. Jakiś brodaty handlowiec w długiej czarnej kapocie bije zajadle w dłonie i krzyczy: Brawo, bis! A oto znów jakaś zasuszona staruszka w staroświeckiej mantylce, nabożnie składa ręce, szepcząc zgrzybiałymi wargami: O mój Boże, mój Boże... Ręczę, że jak żyje, nie widziała meczu piłkarskiego, nie była na boisku sportowym, a jednak i ją także porwała ta potężna fala zwycięskiej radości«".

Mimo niefortunnej historii z befsztykiem, kolejne ogromne sukcesy sprawiały, że Noji był dla Polaków bohaterem. Matka w cytowanym już reportażu „Przeglądu Sportowego" wspominała: „Jak wrócił Józek z Berlina w tym czerwonym ubranku, wszyscy z naszej wsi lecieli za nim jak za Cyganem. A wieczorem podczas kolacji naschodziło się tylu chłopaków, że w izbie ruszyć się nie było można". Nie tylko jego sukces sportowy stał się przedmiotem opowieści. Matka relacjonowała: „I dopiero Józek musiał opowiadać, jak to jest na świecie. Na przykład opowiadał, że w Berlinie mieszkał w takim domu, w którym podłogi były suknem obite. Pytam się więc, jak tam podłogi myją, a on mówi, że specjalna maszyna elektryczna przyjeżdża i cały kurz wciąga. Jak kto podróżuje, różnych cudów się napatrzy...".

Własne prawa, własny styl

Estoński trener Aleksander Klumberg mówił w tym samym 1936 roku: „Noji ma w sobie siłę zapaśnika. Gdyby miał odpowiednie przygotowanie od młodszych lat, biłby rekordy świata i to nie o ułamki sekund. Jest on mocny jak koń, a jego czas zadziwił świat z Finami włącznie". Potwierdzeniem tych słów były zawody lekkoatletyczne, które odbyły się 10 i 11 października na stadionie Wojska Polskiego w Warszawie. Noji wygrał bieg na 5 tys. metrów z czasem 14:58,0 wyprzedzając fińskiego dwukrotnego złotego mistrza olimpijskiego Volmara Iso-Hollo, który osiągnął czas 15:00,2.

„Przegląd Sportowy" z 28 grudnia 1936 roku pisał o nim: „Jest godnym spadkobiercą tradycyj Kusocińskiego. Tak jak on wychował się sam, stworzył sobie swój styl, miał nawet trudniejsze zadanie, zaczął biegać później, był zawsze w gorszych warunkach materialnych... Jeśli Noji pójdzie dalej obraną drogą, jeśli poprawi warunki bytu – będzie godnym przedstawicielem naszego »talentu długodystansowego« – biegaczy o krzepkich mięśniach i woli, którzy tworzą dla siebie własne prawa, własny styl".

Po olimpiadzie występował w latach 1937–1939 w barwach Syreny Warszawa. Dwa razy wybrany został do dziesiątki najlepszych sportowców Polski. W Plebiscycie „Przeglądu Sportowego" w 1936 roku zajął drugie miejsce za tenisistką Jadwigą Jędrzejowską, a w 1937 roku dziewiąte.

Podobnie jak inni wielcy polscy sportowcy tego czasu pracował zawodowo – jako motorniczy tramwaju, budząc wiele razy sensację wśród pasażerów. W 1938 roku ożenił się z Ireną Francuzik, dwa lata później urodzi się ich syn Ryszard.

W 1939 roku przygotowywał się do igrzysk olimpijskich, które miały się odbyć w 1940 roku, ścigając się z czołówką europejskich biegaczy oraz ze swoim głównym rywalem w Polsce – Kusocińskim. Tymczasem ostatnim biegiem w jego życiu miał być ten z 1939 roku w Helsinkach, gdzie zajął drugie miejsce na 5 km z czasem 14.40.6.

Dwukrotnie odmówił niemieckich przywilejów

Po wrześniowej klęsce Noji pracował w warsztatach tramwajowych w Warszawie. Z powodu swoich sportowych sukcesów zwrócił uwagę Niemców. Uznali oni, że nazwisko Noji może mieć pochodzenie niemieckie – od słowa „neu", czyli nowy. Było prawdopodobne, że faktycznie wywodziło się ono od „nowych" niemieckich osadników w Puszczy Noteckiej, którym kilkaset lat wcześniej nadawano taki przydomek. Niemieckich nazwisk w wielu polskich, patriotycznych rodzinach w Wielkopolsce nie brakowało. Niemcy dwukrotnie zaproponowali Nojiemu podpisanie niemieckiej listy narodowościowej, czyli volkslisty. W zamian proponowali dobrze płatne stanowisko i związane z nim przywileje.

Józef był polskim patriotą i dwukrotnie odmówił. Mimo ostrzeżeń, że jest na to zbyt znany, pod koniec 1939 roku zaczął działalność konspiracyjną w polskim podziemiu niepodległościowym. W efekcie 18 września 1940 roku został aresztowany i przewieziony na Pawiak. Był torturowany, wypytywany o kolegów z konspiracji, ich adresy i miejsca spotkań oraz tajne dokumenty. Nie wydał nikogo. 24 lipca 1941 roku przetransportowany został do niemieckiego obozu w Auschwitz. W tym transporcie liczącym 350 więźniów znajdowało się również wielu przedstawicieli polskiej inteligencji. Byli wśród nich Roman Rybarski – polityk Narodowej Demokracji i wiceminister skarbu, polityk PPS Adam Kuryłowicz, Witold Staniszkis – rektor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i znany publicysta Piotr Kownacki.

Noji otrzymał numer 18535. Trafił na blok numer 19. W obozie zachorował na tyfus, co niemal zawsze oznaczało śmierć. Ale silny organizm olimpijczyka zdołał zwalczyć chorobę. Wiadomo, że przed świętami Bożego Narodzenia w 1942 roku starał się organizować obozową Wigilię – jako stolarz zbił z drewna „choinkę".

eprasa.pl 39be4e0533

„Jakby urósł"

Mimo swojego stanu angażował się w konspirację w obozie. W końcu został przyłapany na próbie przemycenia grypsu. Trafił do karnego bunkra w bloku 11. Zajęło się nim Politische Abteilung, czyli wewnątrzobozowe gestapo.

Wspomniany Bogdan Tuszyński cytował relację współwięźnia, który wspominał, jak Nojiego zabrano na śmierć: „Mocny uścisk dłoni z najbliżej stojącymi. A potem jakby urósł, wyprostował się, skinął nam głową i zadziwiająco opanowany poszedł ku przeznaczeniu". Pod Ścianą Straceń bloku 11 stanął wraz z 54 innymi więźniami. Zostali zamordowani strzałem w tył głowy. Tuż przed śmiercią krzyknęli: „Jeszcze Polska nie zginęła!".

19 kwietnia 1943 roku Niemcy zawiadomili żonę o jego śmierci: „Zmarł w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Został on w krematorium Auschwitz spalony. Wysłanie urny nie nastąpi".

Leonidas Koreń, ocalały z Auschwitz więzień, który był świadkiem zbrodni, zeznał po wojnie, że tego dnia do bezbronnych więźniów strzelała trójka esesmanów znanych mu z imienia i nazwiska: SS-Hauptscharführer Gerhard Palitzsch, SS-Unterscharführer Heinrich Schoppe oraz SS-Lagerführer Friedrich Stiwitz.

16 czerwca 1944 roku Józef Noji został pośmiertnie odznaczony za swą bohaterską postawę przez Komendę Główną Armii Krajowej Krzyżem Walecznych. 20 listopada 1944 roku prezydent RP na uchodźstwie odznaczył go Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Sportowiec – świadomy obywatel II RP

Okrutna historia połączyła dwóch wielkich rywali. Józefa Nojiego tak jak Janusza Kusocińskiego zamordowali Niemcy: obaj mimo znanych nazwisk działali w konspiracji, obaj trafili na Pawiak, obaj zostali rozstrzelani, z tym że Kusociński w Palmirach...

Robert Gawkowski z Muzeum Historii Polski tak pisze o losach polskich mistrzów sportu w czasie wojny: „W lekkoatletyce doczekaliśmy się wielu utalentowanych sportowców, którym wojna zabrała znakomicie zapowiadającą się sportową przyszłość. Kto wie, ile sukcesów osiągnąłby oszczepnik Eugeniusz Lokajski (żołnierz AK, znany autor filmów powstańczych, zginął w 1944 roku), jak szybko przebiegłby swój dystans Józef Noji (zamordowany w Oświęcimiu), ilu rekordzistów wychowałby trener Antoni Cejzik (dziesięcioboista i olimpijczyk, po zakończonej karierze trener, zginął w kampanii wrześniowej)... W kulturze fizycznej ponieśliśmy niepowetowane straty. Historyk sportu Bogdan Tuszyński naliczył kilka tysięcy poległych sportowców i działaczy".

Jak zwraca uwagę Gawkowski, „ten wysoki wskaźnik śmiertelności ludzi kultury fizycznej nie był przypadkowy": „Kluby sportowe dbały bowiem nie tylko o sprawność cielesną, lecz także o rozwój duchowy... Organizacje kultury fizycznej pomagały w kształceniu sportowca na świadomego swych obowiązków obywatela II RP. W ten sposób mieliśmy w swojej historii tylu sportowców patriotów, dla których II wojna światowa stała się nie tylko końcem kariery sportowej, ale i kresem życia".

W Pęckowie Niemcy zniszczyli Kapliczkę z Chrystusem Frasobliwym. Przestała istnieć niepodległa Polska, zastąpiona przez komunistycznego potworka. A „befsztyk Nojiego" przez dziesiątki lat pozostawał w języku polskim, tak w PRL, jak i na emigracji. Ale już inaczej, czasem nostalgicznie, nawet jako wyciskacz łez. Tadeusz Nowakowski w felietonie w emigracyjnych „Wiadomościach" nr 18 z 1946 roku pisał: „Dobre to były czasy, ludzie nie mieli poważniejszych zmartwień niż »tatwiczny zegar szczęścia«, ubój z ogłuszeniem czy też bez, olimpijski befsztyk Nojiego, wąż morski z Loch Ness, ubezpieczalnia społeczna i referaty księdza Trzeciaka".

Półmaraton Józefa Nojiego

W Warszawie jest dziś aleja Józefa Nojiego, na terenie byłego 1. Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego na południowym brzegu od Kanału Piaseczyńskiego. Ulicę Nojiego ma także Oświęcim, na terenie Osiedla Chemików. Upamiętniający go obelisk stoi w Drawskim Młynie, a w Pęckowie jest pamiątkowa tablica, którą odsłonił w 2009 roku, w setną rocznicę urodzin ojca, Ryszard Noji – syn olimpijczyka. Jego imię noszą stadiony w Wieleniu i Drezdenku, a także szkoły w Pęckowie, Drezdenku i Czarnkowie.

„Życiorys Józefa Noji może być inspiracją i stanowić wzór patriotyzmu dla współczesnych pokoleń młodych ludzi... Jesteśmy dumnymi mieszkańcami naszej miejscowości, w której 8 września 1909 roku urodził się, później wychował wielki człowiek" – napisała w eseju z okazji dnia patrona uczennica szkoły w Pęckowie Oliwia Giersberg. Postać Nojiego przypomina przy okazji kolejnych związanych z nim rocznic Instytut Pamięci Narodowej.

Najbardziej masową formą upamiętnienia Józefa Nojiego są odbywające się co roku półmaratony jego imienia, które organizuje Stowarzyszenie Biegacze Józefa Noji z Pęckowa. Trasa biegu, w którym obok dorosłych biorą udział setki dzieci, prowadzi przez gminy Drawsko, Krzyż i Wieleń. Biegowi towarzyszą zawsze Msza święta w intencji Józefa Nojiego oraz obchody patriotyczne. A długość trasy biegu jest mniej więcej taka, jak ta, którą przemierzał codziennie, biegnąc do pracy... ■

eprasa.pl 39be4e0533

Dariusz Jarosiński

TOWARZYSZE I TOWARZYSZKA Z BEZPIEKI

eprasa.pl 39be4e0533

Julia Brystiger należała do najbardziej wpływowych kobiet w okresie stalinizmu w Polsce. Całą swoją energię, inteligencję wykorzystywała do walki z polskością, z Kościołem katolickim. Doskonale wiedziała, że aby zniszczyć polski naród, należy najpierw zniszczyć Kościół. Była też pospolitą zbrodniarką – zadawanie bólu, torturowanie przesłuchiwanych mężczyzn – polskich patriotów – sprawiało jej nie lada przyjemność.

fot. Wikipedia

Józef Stalin miał podobno ostrzegać wodza bolszewickiej rewolucji Lenina przed najazdem Polski w roku 1920, mówiąc, że „łatwiej jest osiodłać krowę, niż wprowadzić komunizm w Polsce", ponieważ Polacy będą zaciekle bronić własnej ojczyzny. Jak się okazało – miał rację – bolszewicy ponieśli klęskę, ich rewolucyjny pochód na podbój Europy został zatrzymany i odparty pod Warszawą niemal dokładnie 100 lat temu.

23 lata później sytuacja polityczna w Europie i na świecie zdecydowanie się zmieniła. W 1943 roku Stalin uzyskał na konferencji w Teheranie przyzwolenie przywódców USA i Wielkiej Brytanii na okupację krajów Europy Środkowej i Wschodniej, w tym Polski – wiernego i walecznego sojusznika aliantów. Ustalono też nową granicę wschodnią Polski i Sowietów na tzw. linii Curzona – bolszewicy zabrali Rzeczypospolitej połowę jej terytoriów na wschodzie.

System komunistyczny w Polsce w 1944 roku wprowadzany był pod lufami karabinów NKWD przy współudziale budowanego na wzór bolszewicki aparatu represji. Tworzenie komunistycznej bezpieki rozpoczęto w 1943 roku tuż po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między Sowietami a rządem RP w Londynie. Za pretekst do tego zerwania posłużyło bolszewikom ujawnienie przez Niemców ludobójstwa dokonanego przez ZSRS w Katyniu. Wiosną 1940 roku funkcjonariusze NKWD zamordowali około 22 tys. polskich obywateli przetrzymywanych w obozach i więzieniach Związku Sowieckiego. Zamordowani stanowili przedwojenną polską elitę. Byli to oficerowie Wojska Polskiego, policjanci i oficerowie rezerwy: urzędnicy, lekarze, profesorowie, prawnicy, nauczyciele, inżynierowie, duchowni, literaci, kupcy, działacze społeczni.

Bijące serce partii

Formalne zerwanie stosunków dyplomatycznych przez Moskwę z polskim rządem nastąpiło w nocy z 25 na 26 kwietnia 1943 roku. Był to zarazem początek tworzenia przez Stalina marionetkowego rządu w Polsce. Wymordowaną przez Niemców i bolszewików polską przedwojenną elitę miała zastąpić antypolska szumowina, gardząca naszą tradycją, historią. Byli to ludzie obcy Polakom kulturowo, mentalnie, wywodzili się głównie z Komunistycznej Partii Polski. O działaczach KPP pisała Iwona Kienzler, że „[...] wykazywali wrogą postawę wobec wolnej i suwerennej Rzeczypospolitej, bezustannie kwestionując ład polityczny ustalony po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Dowiedli tego zwłaszcza w czasach wojny polsko-bolszewickiej, uznając zwycięstwo wojsk polskich za wielką porażkę i przyczynę przekształcenia Polski w kolonię zachodniego kapitału. Większości z nich marzyło się przyłączenie ziem polskich do ZSRS jako kolejnej republiki, kraj ten bowiem jawił im się jako raj na ziemi. Niemal we wszystkich materiałach propagandowych starali się ośmie-

eprasa.pl 3ebe4e0533

szyć Polskę w jej powojennym kształcie, a przymiotników »narodowy« i »patriotyczny« używali wyłącznie w cudzysłowie" („Krwawa Luna i inni", Bellona 2016).

Członkami KPP i siostrzanych partii – Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi (KPZB) i Zachodniej Ukrainy (KPZU) – byli przede wszystkim przedstawiciele mniejszości narodowych – Żydzi, Białorusini, Ukraińcy. W okresie międzywojennym prowadzili oni na terenie Polski działalność szpiegowską, wywiadowczą na rzecz Sowietów, nękali polskie państwo, polskich obywateli akcjami sabotażowymi, terrorystycznymi. Działalność partii komunistycznych w II RP była nielegalna.

W 1938 roku Stalin podjął decyzję o rozwiązaniu KPP, gdyż nie miał zbyt dużego zaufania do jej kierownictwa, uznał, że partia ta jest nazbyt zinfiltrowana przez polski wywiad. Dokonał też czystki w jej szeregach – z rąk NKWD zginęło 70 członków i zastępców członków KC KPP. Pozostali przy życiu kapepowcy nadal jednak pozostawali wierni komunistycznej ideologii i Stalinowi. Mówili: „Partia mylić się nie może, partia wie lepiej, a partia to Stalin". W czasie wojny znaleźli schronienie w Związku Sowieckim. Do Polski przybyli w 1944 roku wraz z Armią Czerwoną, gdzie objęli ważne stanowiska partyjne, państwowe, m.in. w aparacie represji.

Powstałe 1 stycznia 1945 roku Ministerstwo Bezpieczeństwo Publicznego realizowało w Polsce politykę Kremla, kontrolowało niemal wszystkie ważniejsze dziedziny życia społecznego, gospodarczego. Było organizacją zbrodniczą, mafijną, odpowiedzialną za zamordowanie tysięcy polskich patriotów, niewinnych ludzi. Bez mała wszyscy wyżsi rangą funkcjonariusze MBP byli agentami sowieckimi. Stara teza głosiła, że dobry komunista to zarazem dobry czekista. Jednostkami terenowymi MBP były wojewódzkie, miejskie i powiatowe urzędy bezpieczeństwa publicznego dysponujące niemal nieograniczoną władzą. Aparat bezpieczeństwa zajmował się planowaniem operacji skierowanych przeciwko podziemiu niepodległościowemu, polskim patriotom, rozpoznawaniem przeciwników, aresztowaniami i przygotowywaniem procesów sądowych.

Ludzie brudnej roboty

„Kiedy w 1944 r. komuniści przystąpili do budowy nowego systemu, Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) musiało znaleźć się pod pełną kontrolą zaufanych komunistów" – pisał dr Piotr Gontarczyk z IPN. „Zdecydowana większość pochodziła z KPP, toteż w kierownictwie bezpieki znalazło się wielu Żydów. Profesor Paweł Śpiewak pisze, że odgrywali oni rolę janczarów. Byli izolowani od reszty społeczeństwa, znienawidzeni, do tego obcy etnicznie, skazani zawodowo i życiowo na aparat, w którym pracowali.

Wielu z nich urosło do symboli stalinowskiego systemu represji i zbrodni. Należą do nich Mieczysław Mietkowski (Mojżesz Bobrowicki), Salomon Morel, Roman Romkowski (Natan Grynszpan-Kikiel) czy Józef Różański (Goldberg) – psychopatyczny oprawca, funkcjonariusz NKWD jeszcze w czasach sowieckiej okupacji. Mózgiem wielu operacji bezpieki i osobą niezwykle wpływową była dyrektor Departamentu V MBP Julia Brystiger. Jednym z najbrutalniejszych morderców, którzy w latach 50. pacyfikowali białostockich chłopów, był płk Józef Czaplicki (Izydor Kurc), który ze względu na prześladowania żołnierzy Armii Krajowej został w bezpiece ochrzczony wielce znaczącym przezwiskiem Akower. Ruchem komunistycznym zajmował się Departament X MBP kierowany przez Anatola Fejgina. Jego zastępcą był późniejszy słynny uciekinier na Zachód płk Józef Światło (przed wojną szewc i działacz komunistyczny Izaak Fleischfarb)" („Uważam Rze Historia" 12.04.2012).

Ministrem bezpieki do 1954 roku był Stanisław Radkiewicz. Pochodził z niewielkiej wioski na Polesiu, ukończył jedynie trzy klasy szkoły powszechnej, za to przeszedł gruntowne szkolenie w Sowietach. Należał do Komsomołu, Komunistycznego Związku Młodzieży Polski, Komunistycznej Partii Polski, Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Z ramienia PPR, a później PZPR, za aparat bezpieczeństwa odpowiedzialny był Jakub Berman. Pochodził on z rodziny żydowskiej, od roku 1928 należał do KPP, był drugą osobą w państwie po Bolesławie Bierucie, przedwojennym zecerze, agencie NKWD – w swoim najlepszym okresie politycznym nadzorował z drugiego siedzenia nie tylko bezpiekę, lecz także oświatę, kulturę, propagandę, sprawy zagraniczne. Na tle pozostałych komunistycznych notabli wyróżniał się obyciem, wykształceniem – był absolwentem studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim. Podobnie jak inni byli działacze KPP po wybuchu II wojny światowej zbiegł do Związku Sowieckiego.

Jak już wspomniałem, aparat bezpieczeństwa tworzyli komuniści przybyli z ZSRS wywodzący się z byłej Komunistycznej Partii Polski (KPP), ale też absolwenci kursów NKWD szkoleni w Kujbyszewie i w Moskwie, oficerowie z armii kościuszkowskiej, członkowie Gwardii Ludowej, Armii Ludowej. Znaczną część kierownictwa bezpieki stanowili funkcjonariusze obcego pochodzenia – żydowskiego, ukraińskiego, białoruskiego, rosyjskiego. Nieformalny nadzór nad wszystkimi szczeblami resortu sprawowali tzw. doradcy sowieccy NKWD. Podstawą działania aparatu bezpieczeństwa było pozyskiwanie wiadomości o zdarzeniach, nastrojach społecznych za pomocą rozbudowanej sieci tajnych współpracowników.

Ministrowi Stanisławowi Radkiewiczowi podlegały: Milicja Obywatelska, Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego (wojska wewnętrzne stworzone na wzór NKWD), Wojska Ochrony Pogranicza. Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego podporządkowane były także więzienia i obozy. Według szacunków historyków, w 1953 roku wła-

eprasa.pl 39be4e0533

dze bezpieki dysponowały razem z MO, KBW, WOP, Strażą Przemysłową i Więziennictwem, ORMO ponad 320 tysiącami funkcjonariuszy.

Jakimi to antysemitami są Polacy

Badania na temat uczestnictwa żydowskich komunistów w powojennym aparacie bezpieczeństwa prowadził prof. Krzysztof Szwagrzyk. Wyniki przedstawił w „Biuletynie IPN" w 2005 roku. Ustalił, że z 450 osób pełniących w latach 1944–1954 wysokie funkcje w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego (od naczelnika wzwyż) 167 osób było pochodzenia żydowskiego. W 2011 roku prof. Szwagrzyk pisał w „Naszym Dzienniku" w artykule pt. „Nie tylko Morel": „Przez lata w historiografii polskiej obowiązywał powszechny pogląd, zgodnie z którym teza o nadreprezentacji Żydów w komunistycznym aparacie bezpieczeństwa jest mitem. Gdy jednak podjęto badania nad narodowością kadr bezpieki w oparciu o przechowywane w Instytucie Pamięci Narodowej akta osobowe funkcjonariuszy, i opublikowano dane statystyczne, okazało się, że blisko 40 proc. kierowniczych stanowisk Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zajmowali oficerowie pochodzenia żydowskiego. Wynik naukowych ustaleń nie spotkał się jednak z uznaniem środowisk opiniotwórczych, dla których uzyskany efekt badań świadczył jedynie o... antysemityzmie ich uczestników".

W artykule czarno na białym zostały przedstawione listy nazwisk osób pochodzenia żydowskiego piastujących najwyższe stanowiska nie tylko w MBP, lecz także w podległych urzędach bezpieki, więzieniach, obozach etc. To oni w sposób najbardziej bezwzględny, bestialski zwalczali polskich patriotów, żołnierzy powstania antykomunistycznego, polską inteligencję niezależnie myślącą.

Profesor Marek Jan Chodakiewicz w publikacji wydanej przez IPN w 2008 roku „Po Zagładzie. Stosunki polsko-żydowskie 1944–1947" zwrócił uwagę, że przynajmniej do 1947 roku Żydzi służący Stalinowi, wypełniający najbrudniejsze zadania polityczno-policyjne, stanowili mniejszość w społeczności żydowskiej zamieszkującej Polskę. Historyk dowodzi, że sytuacja zmieniła się po wielkiej fali emigracji Żydów z Polski i na potwierdzenie swojej tezy cytuje m.in. Michaela C. Steinlaufa: „wielu z tych, którzy pozostali, miało ku temu powody polityczne, ta grupa najbardziej przypominała mityczną żydokomunę". Przytacza też efekty badań izraelskich historyków – Israela Gutmana i Shmuela Krakowskiego, którzy stwierdzają, że „niekwestionowanym faktem była obecność Żydów w najwyższych kręgach władzy komunistycznej". Żydzi pracowali w „administracji, prasie, radiu i dziedzinach związanych z literaturą i kulturą". Komuniści żydowscy piastowali wysokie stanowiska w wojsku i aparacie bezpieczeństwa, wywodzili się z Armii Czerwonej, spośród partyzantów sowieckich i komunistycznych w Polsce, a nawet byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

We wstępie do wspomnianej książki „Po Zagładzie..." prof. Wojciech Roszkowski przedstawił ocenę zachowania Polaków i Żydów w krytycznych latach 1944–1947: „[...] należy pamiętać, iż w tamtym okresie Polska wyzwalała się spod jednej okupacji – niemieckiej – tylko po to, by zostać zniewoloną przez drugą – sowiecką. Nadludzkie wysiłki polskich »niepodległościowców«, by użyć terminu ukutego przez Chodakiewicza, dążących do ocalenia wolności Polski, łącznie z rozpaczliwym Powstaniem Warszawskim w sierpniu 1944 roku, pod względem wojskowym wymierzonym w hitlerowców, a politycznym – w Sowietów, spełzły na niczym. Przy sprzeciwie większości Polaków kraj, który jako pierwszy stawił opór Hitlerowi w 1939 r., został w roku 1945 zamieniony w sowieckiego satelitę. [...] Dla polskich Żydów, którzy przeżyli Holocaust, powojenna katastrofa Polski miała niewielkie znaczenie. Głównym punktem odniesienia było dla nich unicestwienie ich rodzin i społeczności. Ponieważ ocaliła ich Armia Czerwona, żywili wdzięczność wobec Sowietów i Stalina. Wywoływało to podejrzenia i utrudniało kontakty między polskimi Żydami a chrześcijanami. Było też źródłem emocjonalnych i zbyt często przejaskrawionych oskarżeń o polski antysemityzm i »żydokomunę«, które z nową siłą pojawiły się po 1944 r.

Sowieci i ich komunistyczni poplecznicy, którzy przejęli kontrolę nad państwem, dali Żydom złudne poczucie bezpieczeństwa. Dlatego też większość z nich (nie tylko żydowscy komuniści, których było stosunkowo niewielu) popierała nowy ustrój Polski. Z drugiej strony, komuniści uniemożliwiali Żydom odzyskanie ich własności, gdyż było to sprzeczne z wprowadzoną przez władze polityką nacjonalizacji. Szeregi partii komunistycznej wypełniali oportuniści i wyrzutki społeczne, często zajadli antysemici. Jednocześnie komuniści uważali się za jedynych obrońców ocalałych Żydów przed »reakcjonistami«, jak nazywali wszystkich polskich patriotów. Zdumiewające jest, jak bardzo ostatnie oskarżenia o polski antysemityzm i kolaborację z hitlerowcami przypominają propagandę komunistyczną z lat 1944–1947".

Notabene oskarżenia pod adresem Polski, Polaków, o antysemityzm, o współpracę z Hitlerem formułowane były przez propagandę komunistyczną już od 1943 roku. Prowokacja dokonana w Kielcach w lipcu 1946 roku przez funkcjonariuszy MBP, UB, KBW miała m.in. pokazać opinii publicznej na Zachodzie, jakimi to antysemitami są Polacy. Po tzw. pogromie kieleckim, w roku 1947, wyjechała z Polski pozytywnie dotychczas nastawiona do naszego kraju duża część społeczności żydowskiej; ci, którzy zostali, zasilali szeregi komunistycznych organizacji.

Jeżeli ginęli z rąk polskiego podziemia antykomunistycznego Żydzi, to nie dlatego, że byli Żydami, tylko dlatego, iż pracowali w urzędach bezpieczeństwa, kolaborowali

eprasa.pl 39be4e0533

z Sowietami, walczyli z polskością, podobnie zresztą jak Białorusini czy Ukraińcy. Jednym z głównych i wspólnych celów całego polskiego podziemia niepodległościowego była ochrona Polaków przed represjami bolszewickich okupantów, walka z wrogami ojczyzny. Dzisiaj nadal, tak jak w okresie stalinizmu, opluwa się naszych bohaterów narodowych, m.in. mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę", kpt. Romualda Rajsa „Burego", próbuje się odzierać ich z godności. Opluwacze ci nie widzą jednak faktycznych zbrodniarzy, jakimi byli ludzie służący Moskwie i Stalinowi, funkcjonariusze z MBP, UB.

Polskę uważała za kraj faszystowski

Julia Brystiger (Julia Prajs) wyróżniała się w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego nie tylko dlatego, że była jedyną kobietą na wysokim stanowisku bezpieki, lecz także z uwagi na dobre przedwojenne wykształcenie i ogromną władzę. Należała do najbardziej wpływowych kobiet w okresie stalinizmu w Polsce. Całą swoją energię, inteligencję wykorzystywała do walki z polskością, z Kościołem katolickim. Doskonale wiedziała, że aby zniszczyć polski naród, należy najpierw zniszczyć Kościół. Była też pospolitą zbrodniarką – zadawanie bólu, cierpień, przesłuchiwanym przez nią mężczyznom, polskim patriotom, sprawiało jej przyjemność.

Brystigerowa urodziła się i wychowywała w rodzinie żydowskiego aptekarza Hermanna Prajsa i Berty Salzberg w Stryju, w województwie stanisławowskim. Rodzice zadbali o wykształcenie córki – Julia Prajs ukończyła studia historyczne na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu we Lwowie im. Jana Kazimierza. Po uzyskaniu dyplomu w 1926 roku, wyjechała do Paryża, aby kontynuować naukę. Po powrocie zdała egzamin pedagogiczny i obroniła pracę doktorską z filozofii na uniwersytecie lwowskim. Pracowała jako nauczycielka historii w wileńskim gimnazjum Chaima Epsteina i w żydowskim seminarium nauczycielskim. Jednak zdecydowanie bardziej pociągała ją polityka niż zawód nauczyciela, wstąpiła do nielegalnych komunistycznych organizacji – Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom i Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, gdzie prowadziła działalność antypolską, wywrotową, m.in. propagowała idee przyłączenia Małopolski Wschodniej do Związku Sowieckiego. Dwukrotnie była aresztowana, przebywała w więzieniu.

Jej dwa związki małżeńskie były nieudane, krótkotrwałe – pierwszym jej mężem był znany działacz syjonistyczny Natan Brystiger, z tego związku miała syna Michała.

Julię Brystiger pociągał świat komunistycznej, totalitarnej ideologii, gdzie nie liczyły się wartości moralne krępujące wolność w rozumieniu komunistów. Brystiger prowadziła bogate życie erotyczne, zmieniała często kochanków, była tzw. kobietą wyzwoloną. Po wyjściu z więzienia awansowała w strukturach MOPR i KPZU, otrzymywała coraz poważniejsze zadania od towarzyszy z Moskwy. Nie identyfikowała się z państwem polskim – Polskę uważała za kraj faszystowski, z radością przyjęła zajęcie przez Armię Czerwoną Kresów Wschodnich II RP we wrześniu 1939 roku.

Wybuch wojny zastał Brystigerową we Lwowie, znalazła się tutaj w towarzystwie polskich pisarzy, dziennikarzy, którzy poszli na współpracę z bolszewikami. Przyjęła obywatelstwo sowieckie, podjęła kontakty z NKWD, otrzymała wysoką funkcję w Komitecie MOPR oraz we lwowskiej Radzie Związków Zawodowych, współpracowała też z sowieckim wydawnictwem polskojęzycznym „Nowe Widnokręgi". W okresie lwowskim zaprzyjaźniła się z Wandą Wasilewską. Z „Nowymi Widnokręgami" współpracowali m.in. Mieczysław Jastrun, Leon Pasternak, Julian Przyboś, Jerzy Putrament, Adam Ważyk, Janina Broniewska.

Po napaści Niemiec na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 roku Luna Brystigerowa wraz z grupą komunistów wyjechała najpierw do Charkowa, a później do Samarkandy. Tutaj poznała późniejszych najważniejszych notabli komunistycznej władzy w Polsce – Jakuba Bermana i Hilarego Minca. Obaj byli żydowskiego pochodzenia, obaj świetnie wykształceni – Berman ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, a Minc posiadał doktorat z ekonomii. To Minc po 1945 roku był inicjatorem „bitwy o handel", zniszczył polski handel i gospodarkę.

Pozycja Brystigerowej urosła, kiedy została ściągnięta do Moskwy. Tutaj objęła ważne funkcje w Związku Patriotów Polskich. Generał Zygmunt Berling we „Wspomnieniach" zarzucał jej sekciarstwo, „forowanie Żydów i Żydówek, bez względu na ich faktyczne kwalifikacje i pochodzenie społeczne na wszystkie funkcje kierownicze".

Pozostaje zlikwidowanie polskiej inteligencji

W grudniu 1944 roku rozpoczęła się kariera Brystigerowej w bezpiece – objęła funkcję kierownika III Sekcji Resortu Bezpieczeństwa Publicznego w komunistycznym tzw. rządzie PKWN utworzonym przez Stalina 21 lipca 1944 roku. Odpowiadała za sprawy Kościoła, polskiej inteligencji, młodzieży. Jakub Berman w rozmowie z Teresą Torańską zamieszczoną w książce „Oni" nie mógł wyjść z podziwu dla jej umiejętności: „Luna stała się wybitnym pracownikiem Bezpieczeństwa i na tle innych dyrektorów niewyróżniających się wielkimi talentami i stosującymi dość toporne metody zdecydowanie się wyróżniała". Jako zatem ta „wyróżniająca się" otrzymała w utworzonym 1 stycznia 1945 roku Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego stanowisko dyrektora Departamentu V, który miał m.in. inwigilować partie, organizacje polityczne, środowiska społeczne, intelektualne, duchowieństwo.

Brystigerowa lubiła osobiście nadzorować śledztwa wrogów ludu. Pod względem stosowanych metod śledczych nie ustępowała koleżankom po fachu z niemieckich

eprasa.pl 39be4e0533

obozów koncentracyjnych. Wsadzała na przykład mężczyznom przyrodzenie do szuflady i zatrzaskiwała, a następnie bez opamiętania biła więźniów. W przesłuchaniach używała pejcza i szpicruty. Bicie człowieka, jego upodlenie, sponiewieranie sprawiało jej jak każdemu sadyście przyjemność. Nie bez powodu przywarł do niej pseudonim „Krwawa Luna".

O ogromnej władzy „Krwawej Luny" opowiadał przed mikrofonem Radia Wolna Europa kat stalinowskiej bezpieki, płk Józef Światło, który pod koniec 1953 roku w Berlinie Zachodnim przeszedł na stronę Amerykanów: „Nazywa się ją piątym wiceministrem bezpieczeństwa. Przyczyna jest bardzo prosta: w swej bogatej karierze Brystygierowa była w Rosji przez dłuższy czas równocześnie kochanką Bermana, Minca i Szyra. Dwaj pierwsi zwłaszcza mają w związku z tym wobec niej poważne zobowiązania. I dzięki temu, jak Brystygierowa chce coś przeprowadzić, nawet przeciw Radkiewiczowi czy Romkowskiemu w bezpiece, to wszystko może zrobić. Ileż to razy Radkiewicz nie zdążył jeszcze zreferować jakiejś sprawy Bierutowi, a już Bierut czy Berman dzwonili do niego z zapytaniem: »słuchaj no, jest u ciebie taka a taka sprawa, dlaczego nam o tym nic nie mówisz?«. Radkiewicz nie zdążył im jeszcze zreferować, a oni już wiedzieli, bo oczywiście Brystygierowa referuje im wszystko nocami".

Swoim podwładnym funkcjonariuszom przekazywała w instrukcjach jasne, klarowne wytyczne, na przykład: „Polska inteligencja jest przeciwna systemowi komunistycznemu i nie ma szans na jej reedukację. Pozostaje jej zlikwidowanie. Jednak nie można zrobić błędu, jaki uczyniono w Rosji po rewolucji, eksterminując inteligencję i opóźniając rozwój gospodarczy kraju. Należy wytworzyć system terroru, aby przedstawiciele inteligencji nie ważyli się być czynni politycznie".

„Walka z ofensywą kleru"

Głównym wrogiem komunistów był Kościół katolicki. Tam widzieli największe zagrożenie dla możliwości sowietyzacji polskiego społeczeństwa. Nie bez powodu Jakub Berman prowadzenie walki z Kościołem powierzył Lunie Brystigerowej, której zalety wychwalał w rozmowie z Teresą Torańską: „Była bystra, przenikliwa, umiała nawiązywać dobre kontakty z ludźmi. Powierzano jej sprawy wymagające dużej wiedzy i kwalifikacji wyższego rzędu". Warto dodać, że Kościół katolicki, jego historia były w jej zainteresowaniu – w wieku 25 lat napisała na przykład pracę o nuncjuszach papieskich w średniowiecznej Polsce.

Brystigerowa była twórczynią systemu represji wobec Kościoła. Główne kierunki działań zawarła w referacie programowym z 1947 roku pt. „Walka z ofensywą kleru". Na naradzie wojewódzkich szefów UB, która odbyła się w październiku 1947 roku, przedstawiła program inwigilacji polskiego duchowieństwa, program rozbicia Kościoła za pomocą agentury. Kiedy czyta się ten dokument dzisiaj, widać, że obowiązywał on przez cały okres trwania PRL-u.

Brystigerowa stała za wszystkimi ważniejszymi akcjami wymierzonymi w Kościół. To ona zdecydowała o przejęciu majątku Caritas, wspierała środowiska tzw. księży patriotów, to ona osobiście wraz z Józefem Światło aresztowała w 1951 roku bp. Czesława Kaczmarka. Uczestniczyła również w akcji uwięzienia prymasa Stefana Wyszyńskiego w 1953 roku. W nocy zaraz po aresztowaniu spotkała się z bp. Michałem Klepaczem i namawiała go, aby przejął funkcję przewodniczącego episkopatu.

Generał NKWD Sierow przekazał Brystigerowej do prowadzenia przez bezpiekę w Polsce Bolesława Piaseckiego, przedwojennego przywódcę Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga". W niczym Brystigerowej nie przeszkadzało, że „Falanga" głosiła ongiś poglądy antykomunistyczne i antysemickie. Liczył się cel i zadanie postawione przed Piaseckim – rozbicie od wewnątrz Kościoła. Piasecki, notabene kochanek „Krwawej Luny", pod jej okiem utworzył środowisko postępowych katolików popierających władzę komunistyczną, skupione początkowo wokół tygodnika „Dziś i Jutro". Zastępcą redaktora naczelnego tygodnika był Tadeusz Mazowiecki, który m.in. na łamach tygodnika oskarżał w sposób haniebny bp. Czesława Kaczmarka, niezłomnego kapłana. W 1947 roku Piasecki utworzył Stowarzyszenie „Pax". Jak pisze w „Czerwonej Mszy, czyli uśmiech Stalina" Bohdan Urbankowski: „W latach 1944 –1955 władze przetrzymywały w więzieniach ponad 600 duchownych, zlikwidowały – torturami, skrytobójstwami i poprzez zaniechanie pomocy lekarskiej w więzieniu – ponad 100 osób".

Jednym z ostatnich ważnych akordów działalności Brystigerowej w MBP było powstanie z jej inspiracji i pod jej nadzorem Klubu Krzywego Koła w Warszawie w połowie 1955 roku. Klub ten zrzeszał wiele osób, które odegrały w późniejszym okresie ważną rolę w polskiej polityce. Po październikowym przełomie 1956 roku Brystigerowa, podobnie jak jej współtowarzysze, czerwoni siepacze, uniknęła odpowiedzialności za zbrodnie. Odeszła z resortu 16 listopada 1956 roku z odznaczeniami, nagrodami, wysoką rentą. Nową pracę znalazła w redakcjach „Naszej Księgarni" i Państwowego Instytutu Wydawniczego. Wydała też pod nazwiskiem Prajs książkę „Krzywe litery" i zbiór opowiadań „Znak H.".

W latach 60. zaczęła bywać w zakładzie dla niewidomych w Laskach, który słynął ze spotkań nawróconych ludzi reżimu. Zmarła 9 października 1975 roku. Została pochowana na Powązkach. Pogrzeb miał charakter świecki. Pochowano ją na koszt państwa.

Komunistyczna Partia Polski i Luna Brystigerowa pozostawili w Polsce wiele środowisk będących ich spadkobiercami ideowymi, których uwiera polskość, Kościół katolicki. Środowiska te uaktywniły się i ujawniły szczególnie po objęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Paweł Piotr Warot

Sumienna agentka „Helena”

„[...] w pełnym zrozumieniu odpowiedzialności za złożenie niniejszego zobowiązania godzę się dobrowolnie współpracować z MBP dla umożliwienia przez moje informacje dotarcia do środowisk wrogich działających na szkodę Polski Ludowej. Sądzę, że posiadam możliwości współpracy w tym kierunku ze względu na pochodzenie moje z wrogiego środowiska i działalność okupacyjną w wywiadzie AK na terenie Wilna. Pracę swoją traktować będę poważnie i wykonywać sumiennie w miarę moich możliwości. Informacji udzielać będę na piśmie podpisując pseudonimem »Helena«. Zobowiązanie oraz współpracę zachowam w najściślejszej tajemnicy. Warszawa 21 XI 51 r. Hanna Skarżanka".

fot.NAC

W czasie II wojny światowej żołnierz wileńskiej AK, wywiadowczyni Kedywu i Samodzielnej Sekcji Specjalnej, formacji odpowiedzialnych m.in. za wykonywanie wyroków śmierci na okupantach i zdrajcach. Zajmowała się wywiadem, choć uczestniczyła też w zdobywaniu broni dla AK, a nawet odbijaniu więźniów. Gwiazda filmu i teatru lat 60. i 70. Później związana ze środowiskiem „Solidarności", zaangażowana w sprawowane przez ks. Jerzego Popiełuszkę Msze za Ojczyznę. Tyle oficjalnie. Hanna Skarżanka w okresie stalinowskim miała też jednak... kontakt z partią komunistyczną, której została członkiem oraz zarejestrowana została jako TW „Helena".

Po utracie przez Polskę Wilna Skarżanka występowała m.in. w teatrze olsztyńskim, następnie grała na scenach warszawskich, w tym w Teatrze Polskim, „Ateneum". Jej pierwszy mąż, por. Stefan Czernik „Orwat", szef Wydziału V Komendy Okręgu Wileńskiego ZWZ, aresztowany w 1945 roku przez NKWD, zmarł w sowieckim łagrze. Drugim mężem został Bolesław Ćwieciński, też akowiec, z Wydziału Informacji i Propagandy Komendy Okręgu AK. Ten związek Skarżanki rozpadł się jednak sam.

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zainteresowało się Skarżanką właśnie z powodu jej akowsko-wileńskiej przeszłości, a konkretnie w kontekście jej byłego męża Ćwiecinskiego, którego nazwisko widniało uprzednio w akcie oskarżenia mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki". Dane Ćwiecińskiego zostały wykreślone, a on sam został zarejestrowany jako tajny współpracownik o pseudonimie „Wacław". Wycofano również wówczas nazwisko Lecha Leona Beynara, późniejszego autora poczytnych opracowań dotyczących historii Polski, Słowiańszczyzny, czyli słynnego Pawła Jasienicy.

▶ UB szykuje się do werbunku

Bezpośrednim powodem zainteresowania się UB Skarżanką było wykonanie wyroku śmierci przez podziemie na stalinowskim propagandziście Stefanie Martyce, wywodzącym się tak jak Skarżanka z wileńskiego środowiska aktorskiego. Przedsięwzięcia operacyjne bezpieki w związku ze sprawą Martyki objęły wówczas cały kraj, setki ludzi aresztowano, tysiące przesłuchiwano. Śledztwem osobiście interesował się dyrektor Departamentu Śledczego MBP płk Józef Różański (Józef Goldberg). Likwidatorów Martyki bezpieka ujęła i zostali oni zamordowani w maju 1953 roku w więzieniu na Mokotowie. „Na celowniku" MBP znalazł się każdy, kto pochodził ze środowiska wileńskiej AK. Interesowano się w związku z tą sprawą również m.in. ta-

eprasa.pl 39be4e0533

kimi znanymi aktorkami jak Hanka Bielicka czy Mieczysława Ćwiklińska.

Zaczęto przyglądać się także Hannie Skarżance. „Skarżanka [...] jako znana aktorka zna doskonale środowiska aktorskie, literackie, radiowe i filmowe". Po rozpoznaniu przez bezpiekę jej osoby postanowiono wykorzystać ją operacyjnie: „Skarżankę będę werbować po uprzedniej rozmowie na terenie jej mieszkania. Właściwego werbunku dokonam w UBP Warszawa natychmiast po zatwierdzeniu raportu. Werbować będę na podstawie powyższych materiałów z przeszłości oraz wykorzystam jej obecną pozytywną postawę i aktywność" – taki plan rozpoczęcia współpracy z aktorką nakreśliła kierownik Sekcji II Wydziału VI Departamentu V MBP kpt. Maria Grzybek. Dzięki zachowanemu w teczce osobowej TW raportowi z werbunku wiemy, co dokładnie wydarzyło się w tym czasie i jak do tego doszło, że osoba o tak chwalebnym wileńskim życiorysie rozpoczęła współpracę z komunistyczną policją polityczną: „Dnia poprzedniego [czyli 20 listopada 1951 r. – przyp. aut.] przeprowadziłam z nią wstępną rozmowę w celu zorientowania się o nastawieniu do nas i czy będzie skłonna szczerze rozmawiać. Rozmowa była krótka na tematy obojętne, gdy zaproponowałam jej, że chcę się z nią następnego dnia zobaczyć, wyraziła na to gotowość wobec czego umówiłam się z nią do UBP Warszawa". I tak 21 listopada 1951 roku Hanna Skarżanka została wezwana do siedziby Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego miasta stołecznego Warszawa i po czterogodzinnej rozmowie werbunkowej pozyskana została do współpracy z UB przez kpt. Marię Grzybek. Aktorka przyjęła pseudonim agenturalny „Helena". Jej rejestrację zatwierdzała szefowa Departamentu V MBP legendarna „krwawa Luna", czyli Julia Brystigerowa, słynąca z okrutnych, perwersyjnych metod, jakimi się posiłkowała w czasie przesłuchań żołnierzy podziemia.

Notatka służbowa

Zachowała się pochodząca z 1951 roku sporządzona przez UB charakterystyka Skarżanki z tamtego czasu: „Materialnie sytuowana średnio, żyje skromnie, pracuje czasem dorywczo w Radio lub na różnych imprezach w charakterze recytatorki. Zamieszkuje z matką i córką, matka nie pracuje, zajmuje się domem. Skarżanka prowadzi dość lekkie życie, zmienia często kochanków, lubi wypić i bawić się w nocnych lokalach. Ostatnio jej przyjacielem jest podobno reżyser Korzeniewski". Kapitan Maria Grzybek zapisała też, jak przebiegała pierwsza rozmowa zaraz po zetknięciu się z artystką: „[...] przeprowadziłam pierwszą rozmowę bezpośrednio po zabójstwie Martyki, ze względu na jej znajomość z Martyką z okresu Wilna. W rozmowie tej widziałam, że Skarżanka zna dobrze wileńskie AK i jest skłonna więcej o niej powiedzieć". W dokumentach UB podany jest też jasny cel werbunku aktorki: „[...] zna doskonale konspiracyjną szkołę dramatyczną w Wilnie kierowaną przez Delegaturę Rządu". Bezpiece szczególnie chodziło o wykładowców tej szkoły powiązanych z podziemiem. „Wykładowcy tej szkoły i uczniowie znajdują się w kraju, część z nich przebywa w Warszawie, profesorowie przebywają w Toruniu, dokąd repatriował się Uniwersytet Stefana Batorego". „Skarżanka ma możliwości utrzymywania kontaktów z w/w i rozpracowania nam do końca działalności tych ludzi obecnie. Po linii swej działalności w AK może nawiązać kontakty z tego okresu i rozpracowywać te osoby w ich dzisiejszej działalności. Dla Departamentu I może rozpracowywać Ruszczyca Edwarda, który jest mężem jej kuzynki Czechowiczównej (!). Departament I jest mocno zainteresowany Ruszczycem". Skarżanka bowiem nie tylko sama była aktorką, lecz także pochodziła z rodziny aktorskiej, później zarówno jej córka, jak i wnuczka zostały aktorkami. Popularnym aktorem w przyszłości został też jej kuzyn Piotr Skraga, znany najbardziej z roli w serialu „W labiryncie".

Mieszkanie przesiąknięte konspiracją

Już podczas spotkania werbunkowego, jak odnotowała kpt. Grzybek: „Skarżanka opowiadała szczegółowo swój życiorys, który pokrywa się w zupełności z życiorysem posiadanym przez nas na podstawie doniesień agenta »Wacław«" – mowa tu o byłym mężu aktorki, z którym ta utrzymywała kontakt z uwagi na wspólną córkę. „Skarżanka mocno podkreślała swoją winę odnośnie działalności konspiracyjnej i jasno potępiała swoją siostrę Barbarę, która za działalność przeciwko ZSRR znajduje się w obozie, skazana na 10 lat. Skarżanka opowiadała o środowisku, w którym wyrosła, ojciec był bardzo zamożny, matka pochodzenia szlacheckiego przesiadywała wraz z dziećmi stale po dworach krewnych na Wileńszczyźnie. Nasiąkała więc tą atmosferą i dlatego trafiła do AK. Mieszkanie ich było w Wilnie przesiąknięte działalnością konspiracyjną" – tłumaczyła aktorka. Skarżanka starała się w rozmowie zaznaczyć, że sama nie działała na szkodę Związku Sowieckiego, podkreślała jedynie te zadania realizowane przez siebie, które skierowane były przeciwko Niemcom. Zapewniała, że zwłaszcza działalność wywiadowcza, którą prowadziła jej grupa, dotyczyła właśnie Niemców. Jednocześnie miała powiedzieć, że: „Nie zaprzecza działalności wrogiej całej AK oraz grupy, w której była jej siostra. Swoje wrogie antyludowe nastawienie posiadała do czasu wkroczenia Armii Czerwonej, gdy zamieszkał u nich jakiś płk NKWD. Wg niej ten płk. wraz ze swoją żoną oddziaływali systematycznie na nią, uświadamiali i przekonali". Maria Grzybek tak prowadziła rozmowę, aby uzyskać informacje, czy Skarżanka byłaby w stanie dostarczać informacje na temat środowiska byłej AK. Aktorka oświadczyła, że domyśla się, o co cho-

eprasa.pl 39be4e0533

dzi, i chętnie zrobi wszystko co w jej mocy. Grzybek prowadziła rozmowę tak, by skierować ją na tematykę związaną z pochodzącym z Wilna środowiskiem aktorskim. Funkcjonariuszka zanotowała: „Zapytałam również o jej rodzinę, oświadczyła że jest ona bardzo reakcyjna, między innymi wymieniła Ruszczyca". UB szczególnie chodziło o dostarczenie informacji dotyczących tego aktora, dlatego kierowany do przełożonych raport w odniesieniu do Ruszczyca kończyła Grzybek słowami: „Skarżanka może go rozpracowywać".

Zachowało się dość treściwe zobowiązanie do współpracy aktorki z UB: „Ja Skarżanka Hanna w pełnym zrozumieniu odpowiedzialności za złożenie niniejszego zobowiązania godzę się dobrowolnie współpracować z MBP dla umożliwienia przez moje informacje dotarcia do środowisk wrogich działających na szkodę Polski Ludowej. Sądzę, że posiadam możliwości współpracy w tym kierunku ze względu na pochodzenie moje z wrogiego środowiska i działalność okupacyjną w wywiadzie AK na terenie Wilna. Pracę swoją traktować będę poważnie i wykonywać sumiennie w miarę moich możliwości. Informacji udzielać będę na piśmie podpisując pseudonimem »Helena«. Zobowiązanie oraz współpracę zachowam w najściślejszej tajemnicy. Warszawa 21 XI 51 r. Hanna Skarżanka".

Siostra w sowieckich łagrach

Pozyskanie do współpracy Skarżanki kpt. Grzybek oceniała jako „wartościowe" ze względu na okazywane przez aktorkę „dobre chęci do współpracy i gotowość wykonywania wszelkich poleceń". Co więcej, Grzybek miała świadomość, iż „Helena" jest również zainteresowana współpracą z powodów materialnych: „Dała mi do zrozumienia, że jest jej ciężko materialnie, zarabia 1.500 zł. Z czego utrzymuje matkę i dziecko. Prosiła o pomoc w udzielaniu jej występów w teatrze radiowym, co jej przyrzekłam". Nie wiemy, czy to bezpieka umożliwiła aktorce późniejsze występy w radiu ani czy miała jakiś wpływ na rozwój jej kariery zawodowej. Pewne jest jednak to, jak wynika z zachowanej dokumentacji, iż „Helena" otrzymała już w chwili werbunku do wykonania swego rodzaju zadanie domowe, mianowicie na kolejne spotkanie przynieść miała wykaz wszystkich znajomych oraz swój szczegółowy życiorys. Nie odnajdujemy w archiwum IPN teczki pracy „Heleny", nie wiemy zatem, czy wykonywała zlecone jej zadania dostarczania informacji na temat środowiska żołnierzy AK. Wszystkiego możemy się jedynie domyślać. Zachowała się bowiem dokumentacja pochodząca z jej teczki osobowej, która sporo nam mówi o charakterze współpracy. O materialnych powodach podjęcia przez Skarżankę współpracy z UB świadczą zachowane pokwitowania odbioru od UB przez TW „Helenę" pieniędzy. „[...] kwituję odbiór pożyczki. W sumie zł. 500 słownie zł pięćset od pracownika MBP. Helena Warszawa 11 I 52"; „Niniejszym kwituję odbiór 500 zł (pięćset) od pracownika MBP/Helena/Warszawa 20 VI 52" itd. Skoro więc zachowały się pokwitowania odbioru przez „Helenę" pieniędzy za współpracę, oznacza to, że musiała ona się wywiązywać z zadań. Charakteru pracy raczej się domyślamy.

Co ciekawe, w czasie, gdy Hanna Skarżanka pobierała od UB pieniądze za współpracę, jej zaangażowana uprzednio w działalność AK na Wileńszczyźnie siostra Barbara Skarga była więźniem sowieckich łagrów. Zwolniona w 1954 roku trafiła do Polski, gdzie po odwilży kontynuowała naukę, by później zostać znanym profesorem filozofii. Umarła w 2009 roku w Olsztynie.

W materiałach bezpieki znajduje się też wyjaśnienie, dlaczego Hanna Skarżanka mogła na początku lat 50. zwrócić się w stronę komunizmu, dlaczego wstąpiła do partii, została przewodniczącą komunistycznej Ligi Kobiet. To wszystko miało nastąpić, o czym UB wiedziała, za sprawą bliskich w tym czasie relacji z inną popularną aktorką – komunistką Ryszardą Hanin, czyli Ryszardą Hahn. Artystka znana m.in. z niezapomnianych ról w filmach „Chłopi" czy „Seksmisja" i „Deja vu" była żoną sowieckiego aparatczyka, odpowiedzialnego na początku lat 50. za propagandę, Leona Pasternaka, autora m.in. pieśni „Płynie Oka...".

Nawrócenie

Skarżanka przestała być agentką bezpieki w połowie 1954 roku, kiedy została wyrejestrowana jako TW. Jako oficjalny powód wyłączenia z sieci agenturalnej podano objecie przez nią funkcji sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej w Teatrze Narodowym.

W latach 70. Hanna Skarżanka przeszła przemianę, zaczęła angażować się w działalność opozycyjną, podpisała wraz z innymi 171 osobami petycję skierowaną do posłów ówczesnego Sejmu zatytułowaną: „Do przedstawicieli świata kultury i nauki", w której protestowano przeciwko okrutnej pacyfikacji robotników Radomia i Ursusa w 1976 roku. W latach 80. aktorka była już bliskim współpracownikiem ks. Jerzego Popiełuszki. Wówczas pojawiła się w kręgu zainteresowań policji politycznej PRL. Założono wówczas na nią sprawy operacyjne o kryptonimach „Świtezianka" i „Panteon", w ramach których interesowano się również Kazimierzem Dejmkiem, Janem Kociniakiem, Wojciechem Młynarskim, Edmundem Fettingiem czy Grażyną Barszczewską. Skarżanka przestała występować w teatrach państwowych i zajęła się organizacją życia kulturalnego w ramach Kościoła, w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Dopiero pod koniec lat 80. z powrotem trafiła do teatru „Ateneum". Umarła w 1992 roku. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Agnieszka Kowalczyk

SŁYCHAĆ BYŁO TYLKO DZIKIE WYCIE...

Uchodząca za spichlerz Europy zbożopłodna Ukraina stała się na początku lat 30. ofiarą jednej z największych zbrodni, jakiej dopuścił się totalitarny reżim Stalina. Zmuszanie chłopów do oddawania ziemi i wstępowania do kołchozów, wypowiedzenie śmiertelnej wojny kułakom, przymusowe rekwizycje, podczas których zabierano wszystko, co tylko nadawało się do jedzenia – to kierunek polityki, który legł u podstaw Hołodomoru – morzenia głodem narodu ukraińskiego. W jego wyniku życie straciło co najmniej 5 milionów ludzi, w tym ponad 3,9 miliona Ukraińców.

fot. ARCH.

epresa.pl 39be4e0533

W czasie gdy podczas wielkiego głodu masowo umierali chłopi, tajna policja sowiecka prowadziła działania wymierzone w intelektualną elitę Ukrainy – w pisarzy, uczonych, artystów, duchownych i nauczycieli, których prześladowano i przeciwko którym prowadzono szeroko zakrojoną kampanię nienawiści. Wszystkim działaniom władzy radzieckiej patronował jeden cel – sowietyzacja Ukrainy, a więc zniszczenie ukraińskiego ruchu narodowego, unicestwienie odrębnej sfery kultury i duchowości, co w efekcie prowadzić miało do jeszcze silniejszego podporządkowania tej ziemi imperium Stalina.

Pierwsza odsłona dramatu

Nim jednak doszło do Hołodomoru, jeszcze dziesięć lat wcześniej Rosja Sowiecka, a w szczególności Ukraina doświadczyły pierwszej fali głodu, będącego efektem politycznych decyzji Lenina, od którego wiele w zakresie „sztuki głodzenia" mógł nauczyć się jego następca. Na początku lat 20. słynąca z obfitości płodów rolnych Ukraina cierpiała z powodu zniszczeń wojennych i braku rąk do pracy. Bolszewicka polityka doprowadziła tutejszą gospodarkę niemalże do ruiny przez wprowadzenie zakazu handlu, upaństwowienie przemysłu i nieudane próby kolektywizacji. Prawdziwą udręką dla ludności była konfiskata zbiorów pod groźbą rozstrzelania oraz działalność tak zwanych kombiedów, których członkowie rekrutowali się z najuboższych i najmniej obrotnych mieszkańców wsi. W zamian za obiecane przywileje i ziemię przetrząsali oni bezlitośnie swoje wioski w poszukiwaniu ukrytych „nadwyżek zboża", szczuci zwłaszcza na kułaków, czyli bogatych chłopów, których sowiecka propaganda wykreowała na największych wrogów władzy radzieckiej. Ludność, mając świadomość, że i tak wszystkie plony zostaną jej brutalnie wydarte, obsiała dużo mniejszą powierzchnię pól niż zwykle, a klęska suszy, jaka wówczas nawiedziła Ukrainę, skurczyła je o jedną piątą. Wszystko to sprawiło, że uzyskane zbiory były o 95 procent mniejsze od przeciętnych. W normalnych warunkach chłopi mogliby ratować się przed głodem zgromadzonymi uprzednio zapasami żywności, ale na wiosnę 1921 roku spichrze świeciły pustkami, bo Lenin opróżnił je co do ziarnka. Zaczął więc szaleć głód, który w latach 1921–1923 dotknął 25 mln mieszkańców Rosji, z czego co najmniej jedną piątą doprowadził do śmierci.

Chłopi jedzą ziemię i glinę...

O tym, co działo się wtedy na Ukrainie, opowiada w swym szkicu „Ze wspomnień o Rosji Sowieckiej" (1932) znany polski pisarz i dramaturg, twórca powieści „Zazdrość i medycyna" – Michał Choromański, który urodzony w Jelizawetgradzie, położonym około 250 kilometrów od Kijowa, jako dorastający chłopiec sam był świadkiem i uczestnikiem niewyobrażalnego dramatu ludności tych ziem.

Choromański pisze, że pierwsze wieści o zbliżającym się głodzie docierać zaczęły do jego rodzinnego miasteczka późną jesienią 1921 roku. Przynosili je tu ludzie przybywający znad Wołgi, którzy sprzedawali na rynku to, co mieli najcenniejszego – kosztowności, srebro domowe, zegarki, ubrania, bieliznę i opowiadali przy tym, że „pod Samarą chłopi jedzą już ziemię i glinę, że bywały wypadki ludożerstwa, i że teraz całe hordy głodujących ruszyły z Powołża na rabunek urodzajnej Ukrainy". Doniesieniom tym na ogół nie dowierzano, bo na rynku stały jeszcze wiadra pełne zsiadłego mleka, na straganach piętrzyły się różnokolorowe stosy warzyw i owoców, tu i ówdzie sprzedawano biały chleb i masło, chłopi furmankami zwozili mąkę i ziemniaki. Na tym tle wyraźnie odcinała się wynędzniała inteligencja, wymieniająca na produkty żywnościowe przeróżne przedmioty zbytku – suknie balowe i fraki, skrzypce i gramofony – symbole życia wyższych sfer, dawnego, skazanego na zagładę świata. Ludzi z Powołża poznawano od razu po charakterystycznym „pańskim" ubiorze, sposobie mówienia i zachowaniu zdradzającym wewnętrzny niepokój. Przybysze ci opowiadali niesamowite historie – „o jakimś pociągu pasażerskim, który głodujący zatrzymali w nocy w stepie. Powiadali, że hakami powyciągano pasażerów przez okna, »zupełnie jak świnie«. Potem znowuż mówiono, że końskie mięso jest całkiem smaczne, że jeżeli słomę zemleć razem z łupinami kartoflanymi, to można wypiec nawet porządny chleb". Opowieści tych wysłuchiwano początkowo z rezerwą, nawet ze śmiechem, z czasem jednak zaczęły budzić poważniejsze obawy. Z każdym dniem atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, ludzi ogarniała trwoga, wszędzie słyszało się szepty: „Będzie głód potworny, taki głód, jakiego w dziejach ludzkości nie pamiętają! Podobno tysiące głodujących zalały już wschodnią część Ukrainy. Jadą dniem i nocą. Turkot ich skrzypiących wozów i fur, płacz i wycie dzieci, rżenie zdychających koni jest tak wielkie, że słychać je na dziesiątki kilometrów, zupełnie jak za czasów najazdów tatarskich. Idą jak szarańcza!... Wszędzie, gdzie przejdą – pozostają wyniszczone pola i zrabowane wsie".

Tymczasem w mieście przygotowywano się na przetrwanie srogiej zimy – instalowano małe, dymiące piecyki, zwane „burżujkami", gromadzono mąkę i olej słonecznikowy, chociaż bolszewicy zabraniali robienia zapasów i nadmiar żywności rekwirowali. Przeciwko opierającym się chłopom wysłano na Ukrainę specjalne ekspedycje karne, tak że po kilku tygodniach prawie cały chleb i wszystkie produkty wywiezione zostały do Moskwy. Michał Choromański pisze, że pociągnęło to za sobą astrono-

eprasa.pl 39be4e0533

miczny wzrost cen, za funt chleba płacono setkami, tysiącami, a potem nawet i milionami rubli. I wtedy to wszyscy zrozumieli, że stanęli w obliczu katastrofy.

Oczy płonęły żarłocznym blaskiem

Gdy nastała ostra zima, największym problemem mieszkańców stało się zdobycie opału. W związku z tym, że nie było skąd wziąć drewna ani za co go kupić, ludzie, by choć trochę ogrzać się w mieszkaniu, nocami wycinali drzewa, rozbierali drewniane chodniki, płoty i szopy. Przybierający na sile mróz sprawiał, że w mieście popękały rury wodociągowe i kanalizacyjne. Trzeba więc było chodzić na peryferie, by skorzystać ze studni artezyjskich. Na domiar złego miasto zatonęło w ciemnościach, bowiem władze bolszewickie zarządziły oszczędzanie energii elektrycznej. Na ulicach zalegały grube zaspy śnieżne, w centrum co druga kamienica stała pusta, strasząc wyłamanymi drzwiami i oknami, przez które widać było girlandy zwisających stalaktytów, „całe wodospady ściętej w lód wody". Te opustoszałe i posępne ludzkie siedliska stały się w niedalekiej przyszłości przytułkami i przytuliskami dla wielkich rzesz głodujących, które zagnał w te strony jakiś zwierzęcy instynkt przetrwania. Równie niesamowite wrażenie czyniły wciąż jeszcze zamieszkane domy. Pozaklejane na krzyż wąskimi paskami papieru szyby okienne stanowiły pozostałość po wojnie domowej, kiedy to szkło chroniono przed popękaniem podczas gwałtownych strzelanin i bombardowań. Górne okna natomiast zasłaniano listewkami, a przez wypiłowane w nich otwory wystawały czarne rury od piecyków, tak że fasady domów były zawsze brudne i zadymione. Wieczorami ciemność zaszłych sadzą mieszkań rozświetlał blask prymitywnej lampki – zwykłego knota czy szmatki maczanej w oleju, zwanej w te straszne dni „Salomonem". Do spania nie rozbierano się i przykrywano wszystkim, co było pod ręką – kołdrami, zasłonami, firankami, dywanami, a nawet gazetami i afiszami. Rankiem trudno było myć się w lodowatej wodzie, więc ludzie chodzili brudni, „zadymieni, zawędzeni". Gdy już wszystko wokół zostało spalone, za materiał opałowy posłużyły meble. Pewien znany Choromańskiemu muzyk przyznał nawet, że jego biurko empire paliło się nadzwyczaj dobrze, a po tej cennej stracie w ogień poszły wszystkie nuty. Ludzie wychodzili na ulice w dziwacznych, często jaskrawych strojach – szyli płaszcze z perskich, bucharskich dywanów, nogi owijali szmatami, a szyje damskimi szalami. Sklepy zaczęły świecić pustkami, nie było już w nich ani chleba, ani mięsa, ani masła, królowała jedynie „rozdzierająca wnętrzności makucha". W tych warunkach narastało przygnębienie, które przerodziło się w panikę, gdy do miasta wkroczyła pierwsza kolumna głodujących. Pewnego styczniowego poranka pojawili się niespodziewanie na głównej ulicy Karola Marksa. Jej mieszańcy powychodzili wówczas z domów i w osłupieniu patrzyli na ten niemający końca ponury pochód ludzi-widm nadciągających chmarami z Powołża. „Brnąc w zaspach, wlekli się obok wzdłuż jezdni jacyś półżywi, podobni do zwierząt oberwańcy – jak odtwarzał tę scenę Choromański. – Przez łachmany przezierało zsiniałe, wprost czarne ciało. Niektórzy szli nawet całkiem boso. Mężczyźni byli obrośnięci, policzki i szyje mieli owiązane brudnymi ścierkami. Ręce, ramiona i plecy kobiet były tak chude, że nie można było zrozumieć, w jaki sposób nimi poruszały. Lecz u wszystkich zarówno u kobiet, jak i mężczyzn, były duże, nienormalne, zwisające workami brzuchy. Tak samo chorobliwie popuchnięte były twarze, koloru gliny i ziemi, potworne, w stanie jak gdyby czynnego rozkładu, twarze wisielców lub topielców. I tylko nieruchomym, żarłocznym blaskiem płonęły oczy, nawet najbardziej modre i jasne, wydawały się czarne. Z oczodołów patrzył głód i śmierć". Wśród wlokących się nieszczęśników nie było widać dzieci ani starców, którzy albo umarli po drodze, albo też zostali zabici przez głodnych współtowarzyszy niedoli, po czym „na miejscu w stepie usmażeni w ognisku". Na niektórych wozach wyli z bólu chorzy na dur brzuszny i tyfus głodowy. Tego samego jeszcze dnia wybuchł w mieście pożar. Zapaliła się kamienica, w której gromada głodujących znalazła sobie przytułek. Zziębnięci wyrąbali schody i rozpalili ognisko wprost na posadzce. By ratować się przed śmiercią w ogniu, jeden po drugim wypadali przez okno na ulicę. W nocnych ciemnościach można było spotkać wałęsających się w podejrzanych zaułkach głodnych rabusiów, którzy dosłownie zdzierali ubranie z przypadkowych przechodniów. Kilka dni wystarczyło, by z ulic miasta zniknęły wszystkie psy i koty, które, jak się okazało, zostały zjedzone. Wytworzył się nawet specjalny typ rzeźników pojawia-

Z rozkazu Stalina ukraińskie wioski otaczano kordonami wojsk NKWD i Armii Czerwonej, chłopom brutalnie odbierano plony, odcinając ich jednocześnie od możliwości zdobycia żywności z zewnątrz.

eprasa.pl 39be4e0533

jących się na rynku z „żywymi workami na plecach", które poruszały się, miauczały i szczekały. Nie gardzono nawet mięsem padłych zwierząt, gdyż „każda zdechła kura, pies lub koń natychmiast znajdowały konsumentów". Wygłodniali ludzie wychodzili z nożami na ulice i na miejscu krajali końskie trupy, tak że nazajutrz zostawały z nich same szkielety pokryte śniegiem. Widok był porażający – „dookoła sprutych, czerwonych wnętrzności siedzieli głodujący, nad ich głowami latały bezczelne, ośmielone głodem wrony". W najlepszym położeniu znajdowali się pracownicy sowieccy, którzy mieli prawo korzystać z jadłodajni, gdzie mogli posilić się podejrzaną lurą i kawałkiem wędzonej, gnijącej ryby. Do takiej to stołówki, jak wspominał Choromański, przychodził pewien staruszek, dawny nauczyciel gimnazjalny, który prosił kucharza o trochę kości dla swojego psa, a w gruncie rzeczy sam je obgryzał i wysysał. Gdy pewnego dnia zaleciał go tam zapach tłustej pary, zemdlał i został odwieziony do szpitala, gdzie wkrótce potem zmarł na szkorbut. W tym czasie szpitale przepełnione były po brzegi, tak że ludzie umierali na ulicach. Trupów było tak dużo, że nie nadążano z ich grzebaniem. Choromańskiemu utkwił w pamięci obraz pewnego zmarłego chłopca, którego ciało przez kilka tygodni rozkładało się pod jednym z urzędów bolszewickich i dopiero czas roztopów i wydzielający się fetor spowodowały, że doczekał się pochówku. Szczęśliwcy, którzy dostali się do szpitala, otrzymywali raz dziennie źle wypieczony „razowy" chleb ze słomy. Zdarzało się, że pacjentom dawano czasami trochę zmarzłych, słodkawych kartofli oraz nieco pszennej kaszy. Ponieważ któregoś razu pracownikom Wydziału Zdrowia udało się nawet pozyskać dla szpitali pewną ilość mięsa, przez kilka dni, ku największej uciesze chorych, podawano im dobry dwudaniowy obiad. Nie obeszło się jednak bez skandalu, gdy w jednej z klinik, jak dowiedział się Choromański, kucharz i intendent zamiast otrzymanej racji mięsa wołowego, ugotowali szpitalny obiad z... „amputowanych członków. Jakiś chory twierdził nawet, że poznał w zupie kawałek własnej nogi".

▶ Komuny ruszają „na łowy"

Tak mijały kolejne dni 1922 roku – bez nadziei na odmianę losu. Dworzec kolejowy oblegały głodujące kobiety i wałęsające się dzieci w oczekiwaniu na przybycie jakiegokolwiek pociągu. Wtedy to, najbardziej zdeterminowani, wdrapywali się na dachy, bufory i łańcuchy, by zamarznąć w trakcie jazdy albo by w ostatecznym akcie desperacji rzucić się pod koła rozpędzonej maszyny i zakończyć swoją mękę. Przez miasto wciąż przewalały się rzesze zgłodniałych i wycieńczonych, które zbijały się w grupy zwane kolektywami, będące rodzajem prawdziwej komuny. Jej członkowie koczowali w opuszczonych kamienicach, a gdy wszystko wokół siebie wypalili, szukali nowego przytułku. Współtworzący ten półdziki kolektyw nigdy się nie kłócili, a nocami wspólnie wyprawiali się na rabunek, by w ciągu dnia móc ogrzać się przy ognisku. Byli wśród nich nawet dawni arystokraci i profesorowie. Choromański wspominał jednego z takich włóczęgów, uczonego, wykładowcę uniwersyteckiego, który w nocy ruszał ze swą bracią na „łowy" umożliwiające przeżycie, a w dzień prowadził dla nich wykład popularnonaukowy na temat neodarwinizmu Weismana. „Kolektywy", jak pisze autor, kończąc swój szkic wspomnieniowy, rozproszyły się dopiero wtedy, „gdy razem z latem, owocami, jarzynami i nadzieją na lepszą przyszłość wkroczyła do miasta cholera".

▶ Twarze miały nieludzkie...

Po raz kolejny widmo głodu stanęło przed Ukrainą w latach 1932–1933. Wtedy to działania Sowietów wymierzone zostały w niepokornych chłopów, którzy buntowali się przeciwko polityce przymusowej kolektywizacji rolnictwa, a przede wszystkim przeciwko bezwzględnej egzekucji przez państwo kontyngentów zbożowych przekraczających ludzkie możliwości. Wielki głód miał stać się okrutną zemstą Stalina na Ukraińcach za niewykonanie przez nich nierealnych, narzuconych im norm produkcyjnych. W myśl wydanego przez władzę rozkazu, zarówno kołchozom, jak i indywidualnym rolnikom, nie wolno było zachować żadnego, nawet najmniejszego zapasu na własny użytek ani pod przyszłoroczny zasiew. Wszelkimi możliwymi sposobami zmuszano ich do wydawania wszystkich rezerw czy nadwyżek ziarna. Rekwizycji podlegało także zboże służące wyżywieniu rodziny, uprawiane na działkach przyzagrodowych. Chłopom, którzy nie byli w stanie spełnić narzuconych norm, odbierano żywy inwentarz oraz zgromadzone zapasy kartofli. Nieludzki dekret o pięciu kłosach wyraźnie głosił, że za ich przywłaszczenie, a nawet tylko podniesienie z ziemi, grozi kara śmierci bądź 10 lat łagrów. Z rozkazu Stalina ukraińskie wioski otaczano kordonami wojsk NKWD i Armii Czerwonej, chłopom brutalnie odbierano plony, odcinając ich jednocześnie od możliwości zdobycia żywności z zewnątrz. Zarekwirowane zboże pilnowane było przez wartowników. Zdarzało się, że kopiec niszczał, a ludzie marli z głodu. By odciąć drogę ucieczki głodującym, pilnie strzeżono granicy Ukrainy z Rosją, a chłopów szukających czegokolwiek do zjedzenia w miastach, takich jak Kijów czy Charków, wyłapywano, odstawiano do wioski, z której pochodzili bądź likwidowano w miejscach odludnych, zakopując żywych z umarłymi.

Wstrząsający opis wielkiego głodu dał jego naoczny świadek, rosyjski pisarz Wasilij Grossman w swojej książce „Wszystko płynie", która ujrzała światło dzienne po raz pierwszy dopiero w 1970 roku. Pisarz wkłada w usta jednego ze swych bohaterów opowieść o niewyobrażalnej zbrodni „wytępienia głodem chłopów na Ukrainie, nad Donem, na Kubaniu". Czytamy, że bezlitośni egzekutorzy

eprasa.pl 39be4e0533

rozkazów Stalina „szukali ziarna, jakby to było nie zboże, ale bomby czy broń. Ziemię całą podziurawili bagnetami, wyciorami, wszystkie piwnice przekopali, podłogi łamali, w ogrodach szukali. Niektórym zabrano ziarno, jakie mieli w chatach wysypane do dzbanów, do niecek. Jednej kobiecie zabrali chleb upieczony, załadowali na wóz i też powieźli do Komitetu Rejonowego. W dzień i w nocy skrzypiały wozy – kurz się unosił nad ziemią, ale elewatorów nie było. Zsypywano ziarno prosto na ziemię, naokoło chodzili wartownicy. Ziarno przed zimą wilgotniało na deszczu, zaczęło gnić. Nie starczyło władzy radzieckiej brezentu, żeby chłopski chleb przykryć".

To był pierwszy akt dramatu, po którym miały nastąpić kolejne, jeszcze straszniejsze. Gdy przyszła jesień, wszyscy rzucili się na ziemniaki, a gdy te się skończyły, przed Bożym Narodzeniem zaczęto rżnąć bydło, potem nie było już ani kropli mleka, ani jednego jajka, ani ziarenka zboża, które wydarto już na jesieni. Na wzejście ozimego, trzeba było czekać aż do wiosny. Wtedy to ludziom zajrzał w oczy prawdziwy głód. W chłopskich chatach słyszeć się dało dziecięcy płacz malców proszących o chleb. Aby przeżyć, wykopywano spod śniegu żołędzie, suszono je i wyrabiano z nich mąkę, z której zaś pieczono chleb, a raczej ciemne placki z otrębami bądź suszonymi obierzynami. Żołędzi zabrakło szybko, bo na niewielką dąbrowę „rzuciły się" trzy wioski. Odtąd było już coraz gorzej. Na wiosnę zamknięto szkołę, a wkrótce potem felczer wyjechał stąd do miasta. Wieś pozostawiono samą sobie, skazaną na przeszywający wnętrzności głód i powolną śmierć. Mówiono, że i za cara Mikołaja bywał głód, ale wtedy pomagano biedakom, dawano na kredyt, otwierano przed żebrakami kuchnie, urządzano kwesty, a „za władzy robotniczo-chłopskiej, przy rządzie robotniczo-chłopskim ani ziarenka nie dali, na wszystkich drogach poustawiali wojsko, milicję, Enkawude, nie wypuszczając głodnych ze wsi". Podczas gdy w miastach robotnicy otrzymywali osiemdziesiąt deka chleba dziennie, na wsi nie było ani grama dla chłopskiego dziecka. Przyszedł więc czas, że zabrano się za psy i koty, wychwytywano je i gotowano ich mięso, a „ze łbów robiono galaretkę". Z każdym dniem ludzkie twarze stawały się coraz bardziej ziemiste, oczy zamglone, jakby pijane. Wyczerpani chodzili jak we śnie, chwiali się, pełzali, wspierali o ściany. W końcu zaczęli nienaturalnie puchnąć. Najbardziej wstrząsający był dla Grossmana widok dzieci – „głowy ciężkie jak pociski armatnie – opisywał – szyje cieniutkie jak u bocianów, na rękach i nogach widać, jak każda kosteczka chodzi pod skórą, jak się łączą, cały szkielet obciągnięty skórą niby żółtą gazą. Twarze jak u staruchów udręczone, jak gdyby te maluchy przeżyły na świecie siedemdziesiąt lat. Na wiosnę niepodobne już były do ludzkich twarzy, ale do ptasich łebków z dziobkiem albo do żabich mordek – wargi cienkie, szerokie, niejedno dziecko wyglądało jak kiełbik – usta otwarte. Tak, twarze miały nieludzkie".

Nie miał już kto ścinać kłosów

Głód stawał się nie do zniesienia. By go zaspokoić, żywiono się wszystkim, co tylko było pod ręką – myszami, szczurami, gadami, mrówkami i wszelkim robactwem, z tłuczonych kości wyrabiano mąkę, ze skór i starych, śmierdzących podeszew krajano makaron, wygotowywano klej, a gdy nastała wiosna, przyszedł czas na wyrywane z ziemi korzenie, gotowane liście i pączki, na polne kwiaty, łopiany, dmuchawce, rozchodniki, pokrzywy... Zdarzało się, że głodni stali przy torach kolejowych i czekali, aż przez ich okolicę przejedzie jakikolwiek pociąg. A gdy ten się pojawił, wołali rozpaczliwie o chleb, podnosili do góry swoje wychudłe dzieci, a litościwi pasażerowie rzucali im jakieś resztki. Potem długo jeszcze widziano czołgających się wśród torów ludzi, którzy szukali choćby małej skórki. Władze nakazały w końcu zamykać okna i zaciągać firanki, gdy pociąg przejeżdżał przez głodującą okolicę. W końcu ludziom zabrakło siły, by wyjść z chałupy, słychać było tylko ich dzikie wycie – „zawyła wieś, widząc, że zbliża się śmierć. W całej wsi wyli chłopi – nie był to głos rozumu czy duszy, to było jak szum liści na wietrze czy jak szelest słomy". Tymczasem wzeszło zboże pięknymi, wysokimi ścianami. Ale nie było komu je ścinać, bo na rolników padł pomór. Najpierw umierały dzieci i umierali starzy, potem ludzie w średnim wieku. Początkowo chowano zmarłych, potem nie miał kto tego czynić, więc trupy rozkładały się na ulicach, w obejściach, w chatach. I tak wsie ukraińskie milkły i umierały. Niektórzy zdesperowani nieszczęśnicy próbowali jeszcze przedrzeć się do miasta, choć uzbrojone kordony wojskowe stały im na drodze do upragnionego chleba. Może jednemu na dziesięć tysięcy udawało się jakimś cudem dojść do celu. „Ale i tak – jak pisze Grossman – nie było dla nich ratunku – leży człowiek głodny na ziemi, syczy, prosi, a jeść już nie może, kawałek chleba rzucony leży obok, a on już go nie widzi, nic nie widzi, dogorywa".

***

Gdy miliony konały, zboże transportowano na zachód Europy oraz do Stanów Zjednoczonych. Wskutek trzech klęsk głodu – w latach 1921–1923, 1932–1933, 1946–1947 – życie straciło około 10 milionów ludzi. Choć Stalin czynił wszystko, by zatuszować swą zbrodnię ludobójstwa, to i tak czasy Hołodomoru zapisały się na trwałe w ludzkiej pamięci oraz w rozrzuconych po Ukrainie znakach pejzażu – niemych świadkach historii – w grobach, głazach, kurhanach... O wielkim głodzie mówić oficjalnie nie było wolno, ale i tak przekazywano sobie prawdę o nim, czy to ustnie, czy w formie potajemnie robionych zapisków, pamiętników chowanych w drewnianej skrzynce, zakopanych w ziemi bądź pod deskami podłogi. Takich przekazów były tysiące... ■

eprasa.pl 39be4e0533

Co w sercu, to i w gębie – a płochliwa nie jest

epresa.pl 39be4e0533

Ewa Polak-Pałkiewicz

Polskie kobiety, żony i matki, przedstawicielki „słabej" rzekomo płci potrafiły zawsze zadziwiać moralną i psychiczną siłą w obronie wiary i polskości. To nie truizm, że czerpały ją także, a może przede wszystkim, z wierności swym mężom i z ich wiernej miłości i szacunku.

fot. WIKIPEDIA

Feministki lubią oskarżać Kościół o poniżanie kobiet i wielowiekowe podtrzymywanie dyskryminacji płci pięknej. W czasach, gdy historia znana jest słabo i powierzchownie, a popularyzowane są wszelkie możliwe mity historyczne, nie pamięta się, że tak naprawdę to dopiero chrześcijaństwo wydobyło kobiety ze stanu poniżenia. Wtrącał je i utrzymywał w nim w dawnych cywilizacjach męski despotyzm. Także nieograniczone prawo do oddalania żony czy praktykowanie sakralnego nierządu.

Rzadko przypomina się, że faktyczne prawa kobiet – trwałe i nienaruszalne, bo wynikające z zasady nierozerwalności małżeństwa – były zaciekle bronione przez papieży minionych wieków przeciw żądaniom władców, którzy domagali się „prawa" do drugich żon. Przypomina o tym Romano Amerio. Broniono tych praw na forum Europy „przed męskim despotyzmem, na którym to tle dochodziło do potwornych awantur, opisanych przez kronikarzy". Papieże nie ustępowali. Stawiali twarde weto wobec żądań trzęsących Europą cesarza Lotara, Filipa Augusta, Henryka IV – króla Francji, Henryka VIII – króla Anglii, cesarza Napoleona. W tych sporach dla Kościoła zawsze decydująca była zasada równości obu płci w małżeństwie. „Poza Kościołem próżno by szukać w dziejach ludzkości innego przykładu, gdzie urząd kapłański ujmowałby się za prawem kobiet, rzucając na szalę cały swój autorytet".

Szkoła samurajów w krynolinkach

Jedną z „żelaznych" polskich dam polskich Kresów była Maria Korwin-Kossakowska. Jej przodkiem był ostatni hetman koronny Rzeczypospolitej Sosnowski (zapamiętano, że nie chciał wydać córki za Kościuszkę). Jej matkę wydano za Chodkiewicza, który był najbliższym sąsiadem. W połowie XIX wieku typowe dla Chodkiewiczów było odsunięcie się od świata i zawieranie małżeństw tylko w obrębie rodziny lub bliskiego sąsiedztwa – jak przypomina spokrewniony z bohaterką tej opowieści ks. Walerian Meysztowicz (bohater wojny bolszewickiej, profesor prawa kanonicznego na Uniwersytecie Wileńskim, a potem radca ambasady polskiej przy Watykanie). Dla niego Maria z Chodkiewiczów Kossakowska była „ciocią Maniusią".

Jej matka wcześnie osierociła dwie córki; wychowywał je w swym majątku ojciec. „Był to dziwak, marzący o czynach zbrojnych" – wspomina stryja ks. Meysztowicz – „nieszczęśliwy, bo nie mógł zbrojnie walczyć o Polskę i dlatego jeszcze, że nie miał syna. W kresowym swym Jampolu chciał obie małe dziewczynki hodować jak chłopców, budząc je rano głosem trąby, zamęczając musztrami...".

Tego rodzaju przekonania, że dziewczęta od dziecięcych lat trzeba hartować, by zdolne były wytrzymać pró-

eprasa.pl 39be4e0533

bę Sybiru czy samodzielnego prowadzenia majątku, często spotykano w kresowych dworach. Podobnie wychowywane były w Dubnikach na Litwie dwie siostry Mineykówny (jedna z nich, Wanda, to w przyszłości matka żony Henryka Sienkiewicza, Marii Szetkiewiczówny). „Dziewczęta są zawsze w zimie zmarznięte (panny nie mogą chodzić opatulone jak babuleńki), są zawsze trochę głodne, a w poście nawet bardzo [...], zawsze niewyspane (nie można pannom folgować, niech codziennie wstają o szóstej)". Żeby je dobrze zahartować, wywożono je codziennie karetą o milę lub dwie od domu, „po czym kareta wraca pusta, a one słaniając się, brną pieszo z powrotem", pisze nie bez sarkazmu o dzieciństwie swojej prababci i jej siostry wnuczka Henryka Sienkiewicza, Maria Korniłowiczówna. Ale skutkiem takiego wychowania był całkowity brak wszelkiego rozmemłania oraz skłonności do histerii. Nierzadko także późniejsza niezłomność wobec zaborców.

Matka przyszłej teściowej Sienkiewicza emanowała w dorosłym życiu spokojem i niezłomnością; „łączyła cichą dystynkcję z żelazną wolą i twardą surowością dla siebie i bliskich. Nigdy nie podnosiła głosu. Wystarczyło, że podniosła brwi".

Córka jej, Jadwiga, wychowywana w Hanuszyszkach w powiecie trockim, jako kilkuletnie dziecko wetknęła kiedyś nóżkę pomiędzy podwójne nogi starego ogromnego stołu. Nie potrafiono jej stamtąd wyciągnąć. Ktoś roztropnie zawyrokował: „cóż robić, trzeba uciąć nogę". Jadwidze do głowy nie przyszło, że ciąć się będzie nie jej własną nogę, tylko tę stołową. Przyjęła „wyrok" bez protestu.

„To nie chodziło o to, żeby wszystko było comme il faut. To chodziło o doskonalenie się i wymaganie od siebie i najbliższych więcej, dużo więcej niż od obcych. Jakiekolwiek ułatwianie sobie życia, nie mówiąc o uleganiu najniewinniejszym zachciankom [...] zagrażało godności własnej: to dobre dla parweniuszów". A przy tym babka żony Sienkiewicza potrafiła zaskakująco łagodnie sądzić bliźnich spoza rodzinnego kręgu i wyrozumiale traktować ich uchybienia. Kiedy ktoś w towarzystwie zauważył, że Konopnicka nie jest troskliwą matką, zaniedbuje wychowanie potomstwa, starsza pani zapłonęła gniewem: „Przecież to jest wielka poetka i nie można chcieć, żeby zajmowała się domem jak zwykła cura domestica! Jej pierwszym obowiązkiem jest niemarnowanie talentu danego przez Boga".

Kultywowała zarazem sumiennie „cnoty nadobowiązkowe, takie jak hojność dla potrzebujących, przy odmawianiu niemal wszystkiego sobie samej. Pewnie dlatego właśnie ze zdaniem prababki liczyli się wszyscy".

Bez wątpienia odziedziczyła też wiele z charakteru swojej matki, Emilii z Wawrzeckich Mineykowej. Jako młoda dziewczyna sprawowała ona rządy w ojcowskich podwileńskich Widzach. Tuż przed procesem filomatów przysłano na Litwę pułk cesarskiej gwardii „dla uśmierzenia nastrojów". Chorąży pochodził z Widz, a żona jego służyła we dworze. Uprosiła męża, by pokazał jej sztandar pułku. Nieopatrznie wysłuchał tej prośby, mimo stanowczego zakazu w regulaminie wojskowym. Akurat napatoczył się carewicz Michał, który dokonywał inspekcji kwater. „Na widok niemal świętokradczego przestępstwa wpadł w szał i rzucił się z pięściami na winowajcę. Chorążyna zasłoniła męża, więc prał chorążynę. Krzyk niewieści doszedł do uszu panienki. Nadbiegła: – Kto się ośmiela bić kobietę pod moim dachem? A la porte! Mais vite! (Za drzwi! I to prędko!). Ton i towarzyszący słowom gest wyciągniętej ręki sprawiły, że »jego wieliczestwo«, bijąc pokłony w pas po rusku i gęsto przepraszając po francusku, spiesznie wycofał się rakiem we wskazanym kierunku", notuje kronikarka rodu, Maria Korniłowiczówna.

To dlatego Stalin tak panicznie bał się „pańskiej Polski" i nazywał ową dumną postawę „polskim brudem".

„...i tobie beze mnie życie nie pierogi są"

Jak wszyscy mieszkańcy Hanuszyszek i sąsiedztwa doskonale wiedzieli, Wanda Szetkiewiczowa – przyszła teściowa Sienkiewicza – nie była postrachem tylko dla dwóch postaci. „Jedną z nich był chowany w Hanuszyszkach niedźwiedź, silny, psotny i nadzwyczaj sympatyczny, który nie robił sobie nic z nikogo i niczego, aż zginął śmiercią patriotyczną, zastrzelony w 1863 roku przez żołnierzy rosyjskich, których czegoś bardzo nie lubił". Drugą był mąż, Kazimierz Szetkiewicz (protoplasta pana Zagłoby z Trylogii). Ten tryskający w każdej sytuacji humorem kpiarz i filozof (absolwent prawa) został w czasie powstania styczniowego uwięziony, a potem zesłany w głąb Rosji. Siedząc w kozie (jak sam mawiał), nie popadł w melancholię. Kiedy w Warszawie aresztowano Jakuba Gieysztora, przyjaciela z konspiracji, sam komendant Cytadeli perswadował mu: „No, jedź do św. Piotra [więzienia w Wilnie – przyp. EPP], tam wesoło, tam jest twój towarzysz Szetkiewicz". („Komendant Cytadeli", dodaje Maria Korniłowiczówna, „miał prawidłowe rozeznanie: pradziadek podtrzymywał na duchu i rozweselał facecjami całe więzienie. Kiedy wywieziono go za Ural, jeden z wileńskich towarzyszy niedoli popełnił z rozpaczy samobójstwo").

Z zesłania przyszły teść Sienkiewicza przesyłał listy do żony, które miały ją rozweselić i oderwać od trosk: „Tęsknota gorzej od pcheł kąsa i proszek perski nie pomaga" – pisał z Belebeju w drugim roku powstania. I z Ufy: „Z całej duszy bym pragnął być z tobą i dziadkami, bo was nad życie kocham – wiem, że i tobie beze mnie życie nie pierogi są".

eprasa.pl 39be4e0533

„Piszesz, że ci Belebej leży kamieniem na sercu. I mnie, Duszuniu, nie puchem łabędzim. Lecz cóż robić...". „Duszuniu! Uważam z ostatniego twego listu, że bardzo zamartwiasz się stratami majątkowymi [Hanuszyszki zostały zarekwirowane za pomoc powstaniu i oficjalne zrzeczenie się przez Kazimierza Szetkiewicza funkcji pośrednika do spraw włościańskich – przyp. EPP]. Nieprzyjemna to rzecz być tak obdzieranym, lecz cóż robić, może Bóg da, że cokolwiek zostanie. Zresztą gdyby pomogło martwienie się, to bym płakał co dzień tak, że dwie chusteczki byłyby mokre. Lecz że to nic nie pomoże, zatem śmiać się trzeba i śmieję się z tego".

Potrafił też dodać ducha żonie, donosząc z Ufy, jak dba o siebie. „[...] jem jak wilk, śpię dużo jak marmotka, piję massę herbaty iak kupiec iaki...." (pisownia oryginalna). I w innym liście: „A cóż się dzieje z serduszkiem moim? Wiarą w Boga utrzymuję ie, ażeby nie pękło z tęsknoty, nadzieją w Bogu rozweselam ie, a miłością chrześcijańską wypleniam z niego wszystkie miałkie i znikome uczucia i nadaję mu kierunek. Po sercu następuje żołądeczek – ten sobie siedzi spokojnie i ie co dzień trochę kawonów, które mu nie szkodzą; Nogi chodzą cokolwiek dla... [słowo nieczytelne, prawdopodobnie „dla konkokcji", czyli dobrego trawienia]. A głowa, rzecz pierwsza i ostatnia w człowieku myśli, iakie by szubrawstwa wykoncypować, żeby kieszeniowe interessa poprawić [...] Uczę się teraz mechaniki i miernictwa. Ot, co iest".

Czy można się dziwić, że starsza z córek zesłańca, Marynia, mająca wtedy niewiele ponad lat dziesięć, gdy zakwestrowany majątek odwiedził dziennikarz rządowej gazety, „wypaliła mu prosto w twarz, że jest Polką, uznaje tylko władzę Rządu Narodowego w Warszawie, a cara to on sam jako Rosjanin może sobie kochać, jeśli ma ochotę". Dziennikarz sporządził natychmiast raport o tym, jak dzieci polskie na Litwie szlachta wychowuje w duchu wywrotowym wraz z donosem na Szetkiewiczów i z konkluzją, że panienki trzeba co prędzej odebrać matce i oddać na wychowanie do Instytutu Błagorodnych Diewic w Petersburgu. Kazimierz Szetkiewicz przeczytał o tym wszystkim w petersburskiej gazecie i mimo że imiona i nazwiska były oznaczone tylko inicjałami, odgadł, o kogo chodzi. Wiedział lepiej niż ktokolwiek, że „ukochana Marynia zawsze, co miała w sercu, to i w gębie, a płochliwa nie była". Na szczęście sprawa została zatuszowana i ciało pedagogiczne Instytutu Błagorodnych Dziewic mogło spać spokojnie. A rodzina spakowała manatki i pojechała do ojca, by towarzyszyć mu przez następne kilka lat zesłania. Wrócić na Litwę już nie mogli, osiedli w Warszawie. Sienkiewicz litewską hardą pannę, przyszłą swoją żonę, poznał kilka lat później na placu św. Marka w Wenecji.

Ciocia Maniusia buduje kościół

Wracając jednak do początkowej bohaterki tej opowieści, Marii Korwin-Kossakowskiej, jej teść, Stanisław, pojął za żonę Aleksandrę z Chodkiewiczów, słynącą z piękności, twardego charakteru i ostrego języka. Podczas pobytu w Warszawie cara Aleksandra II, gdy rzucił on polskim panom point de révierie i dodał: „to, co czynił mój ojciec, będę czynił jeszcze lepiej", Kossakowscy zostali zmuszeni wydać na jego cześć bal w swoim pałacu przy Nowym Świecie. Pani Aleksandra pojawiła się tu z przyozdobioną broszką w kształcie polskiego orła. Podchodząc do niej car, zapytał z uśmieszkiem: „A cóż to za małego białego potwora nosi pani na szyi?". Odpaliła bez namysłu: „Sire, byłam przekonana, że potwory są czarne i mają dwie głowy".

Jej synowa, Maria, zwana w rodzinie ciocią Maniusią, była z pozoru zaprzeczeniem wszelkich cnót związanych z wielkim światem. Nie lubiła „bywania" i zagranicznych wojaży. Nie ekscytowała się sztuką, muzyką, teatrem. Nie delektowała się luksusem i wygodami. Nie podzielała nawet kolekcjonerskiej pasji męża, Józefa Korwin-Kossakowskiego, który ściągał pod ich dach niezliczone ilości dzieł sztuki, choć kochała go i szanowała. „Szpaler ze strzyżonych drzew prowadził z jej

Podczas pobytu w Warszawie cara Aleksandra II, Kossakowscy zostali zmuszeni wydać na jego cześć bal. Pani Aleksandra pojawiła się z przyozdobioną broszką w kształcie polskiego orła. Podchodząc do niej car, zapytał z uśmieszkiem: „A cóż to za małego białego potwora nosi pani na szyi?". Odpaliła bez namysłu: „Sire, byłam przekonana, że potwory są czarne i mają dwie głowy".

eprasa.pl 39be4e0533

dworku do kościoła – i tamtędy, blisko przez pół wieku, szła na nabożeństwa mała, zawsze jednakowo czarno ubrana, żywa w ruchach. Duże jej dochody z czarnoziemnego Jampola i z lasów Petrykowi szły na pomoc wszelkiej biedzie, pomoc tak dyskretną, że tylko z rzadka o niej się wypadkiem dowiadywano", opisuje ks. Walerian Meysztowicz jedną z polskich matron z Kresów Rzeczypospolitej, siostrę swego ojca, Marię Kossakowską z Wielkiej Brzostowicy na Wileńszczyźnie.

„To jej wyłączne zainteresowanie sprawami religijnymi, przy zupełnej obojętności dla spraw politycznych i kulturalnych wydawało się na tle współczesnym jakąś abdykacją [...]. Dziś myślę, że była w tym mądrość ta sama, która kierowała Ojcem Kolbe w jego »Rycerzu Niepokalanej«. Ta mądrość, która przechodzi obok wszystkiego, co nie jest istotne, by całą siłę poświęcić najistotniejszej sprawie. [...] Była zawsze nie tylko pogodna, ale i wesoła, gotowa do cieszenia się każdą drobną radością. Nie narzucała swojej pobożności nikomu, (...) tylko modliła się za tych, którzy z prostej drogi schodzili".

We wdowieństwie doczekała sędziwego wieku. Jako starsza dama była oczkiem w głowie swoich dzieci i dalszych kuzynów. Ale robiła się coraz słabsza. Jeszcze na kilka lat przed ostatnią wojną mówiono o niej w rodzinie jako o „staruszeczce". Po przekroczeniu siedemdziesięciu lat była już tak delikatna i krucha, że nie odważono się nawet wieźć jej na ślub kogoś z bliskich krewnych do Warszawy; podróż w luksusowym wagonie sypialnym bliscy uznali za karygodne narażanie życia matki rodu. Trzy córki i syn drżeli o każdy jej krok.

Po śmierci ukochanego męża mieszkała w drewnianym dworku, dawnej siedzibie ekonoma majątku; nigdy nie chciała przenieść się do wspaniałego pałacu, który wybudował Józef Kossakowski. Pałac, którego ściany od sufitu do podłóg zapełnione były dziełami sztuki, wyposażony w luksusy takie jak wodociągi, elektryczność i centralne ogrzewanie; jedną ścianą przylegał do starego dworku. „Była to jakby ogromna murowana przybudówka do drewnianej chatki", wspomina jej siostrzeniec, ks. Meysztowicz. Kiedy wybuchła II wojna światowa, syn i zięciowie poszli na front, a ją bolszewicy wyrzucili z małego dworku, w którym spędziła ogromną część życia. Dwie córki i wnuki zostały pod bagnetami zmuszone do opuszczenia pałacu Kossakowskich. Cenniejsze rzeczy z pałacu zostały zrabowane (m.in. część księgozbioru, obrazy Baciarellego, Domenichina, Suchodolskiego, archiwa, wartościowe przedmioty). Meble i pozostałe obrazy zostały spalone na korcie tenisowym za pałacem.

▶ Na tułaczce z relikwiami Krzyża Świętego

17 września 1939 roku już prawie umierająca na oczach bezradnych córek, Ludwiki Ursyn-Niemcewiczowej i Anny Mineykowej z jej małymi dziećmi, Maria Kossakowska rozpoczęła swój wielki tułaczy szlak. Z domu zabrała tylko relikwiarz z Drewnem Krzyża Świętego, darowany jeszcze przez papieża Grzegorza XVI Stanisławowi Szczęsnemu Kossakowskiemu. Wysiedlona, bez dachu nad głową, znalazła schronienie wraz z córkami i trojgiem wnucząt w pobliskim miasteczku, Brzostowicy. Miejscowi zaopiekowali się słynącą z dobroci panią hrabiną i jej bliskimi. Na krótko, bo zapadł sowiecki wyrok o wywózce za Ural. Najmłodszy wnuk miał pięć miesięcy. I oto nagle do przyszłych zesłańców zastukała dziewczyna z miasteczka z propozycją, że zaopiekuje się niemowlęciem. Propozycję przyjęto. Dziecko wyniesione po kryjomu z domu, który przygarnął wygnańców; szlachetna dziewczyna poświęciła swoją reputację i nadzieję na małżeństwo, by wychować niemowlę jako własne. Gdy chłopiec miał kilkanaście lat, odesłała go rodzinie, która przedostała się na Zachód.

Ku zdumieniu wszystkich Maria Kossakowska przeżyła podróż do Kazachstanu w bydlęcym wagonie. Gdy wyrzucono ją wraz z córkami i wnukami na pusty, ośnieżony step, opiekę ofiarowały kobiety z koczowniczego plemienia. Gdy córki zapędzono do pracy, władza sowiecka wspaniałomyślnie dała im kąt kołchozowej stajni. Nie podzieliła losu tysięcy polskich kobiet, dziewcząt i dzieci przebywających w tych samych warunkach, nie umarła z głodu i wycieńczenia, choć pracować na „pajok" mogła tylko jedna z córek. Po kilkunastu miesiącach życia na granicy śmierci odnalazł ją i jej najbliższych polski oficer, Leonard Tarczewski, pracujący w kołchozie oddalonym o parę setek kilometrów, jeden z tych, którzy organizowali wyjście Polaków z Rosji wraz z armią Andersa. Nie wiedział, po kogo jedzie, ktoś powiedział mu tylko, że są tu polskie kobiety i dzieci i postanowił zabrać je do polskich oddziałów. „Jakże się zdziwił, gdy w jednej z kobiet poznał żonę swego dowódcy szwadronu z krechowieckich ułanów" – pisze ks. Meysztowicz. „Lili Niemcewiczowa była jednak tak słaba, że nie było mowy o tym, żeby móc ją zabrać. Została".

Znów tysiące kilometrów marszu, w którym najsilniejsi ludzie mdleli i umierali. Marię Kossakowską i jej córkę z dziećmi, półżywe, nieprzytomne odnalazły na plaży w Persji siostry z angielskiego szpitala.

Wolna Persja potrafiła roztoczyć opiekę nad polskimi dziećmi i kobietami. Pani Kossakowska i jej córka wraz z dziećmi stopniowo odzyskiwały siły i zdrowie. Stąd samolotem przewieziono starszą panią do Rzymu. Zbliżała się do osiemdziesiątki.

Po wojnie, w której nie zginął nikt z rodziny – uratowana została także druga córka, Lili Niemcewiczowa, i z Kazachstanu przez Polskę przedostała się do Włoch – pani Kossakowska zamieszkała w Rzymie pod opieką sióstr zmartwychwstanek. Osiemdziesięcioletnia, poprosiła o audiencję Piusa XII, na którą przybyła wraz z dziećmi i wnukami, i pokazała mu najcenniejszy swój skarb, z którym nigdy nie rozstawała się podczas tułaczki, relikwiarz Grzegorza XVI z fragmentem Krzyża Świętego.

eprasa.pl 39be4e0533

Dożyła prawie stu lat. Zawsze pełna pogody, spokoju, a nawet wesołości, ofiarująca dobre słowo i modlitwę wszystkim, którzy ją odwiedzali w małym pokoiku, który dzieliła wraz z córką, u sióstr zmartwychwstanek. Nawet gdy szeptała modlitwy, ręce zajęte miała wyplataniem dywaników z gałganków, które zewsząd zbierała.

„Nie bez podziwu myślano o tym, jak jej zdrowie i wiek wytrzymały te próby" – wspomina ks. Meysztowicz – „i trudno było znaleźć naturalne wytłumaczenie dla faktu, że z tej katastrofy, w której tyle milionów zginęło, właśnie jej rodzina wyszła cało, bez szwanku. Toteż zwracano się do niej z prośbą o modlitwy; przyjmowała te prośby najprościej".

To wszystko może wydać się zupełnie fantastyczną opowieścią tylko temu, kto jej nie znał, nie wiedział, jak wyglądało jej dotychczasowe życie w Wielkiej Brzostowicy. Patrząc na to, jak skromnie wówczas egzystowała, trudno byłoby uwierzyć, że dysponowała potężnym majątkiem, a fortuna Kossakowskich należała do największych na Kresach. Jednak jej oczy były zawsze szeroko otwarte na ludzką niedolę, uszy zaś wyławiały każdą, najcichszą nawet skargę. „[...] nie miała nic z chęci błyszczenia po Paryżach i Rzymach, jak niektóre jej krewne. Nie myślała o utrzymaniu senatorskiej pozycji w kruszącym się społeczeństwie".

Gdy owdowiała i gdy dzieci wyszły z domu, jedyną rzeczą, o którą dbała, była budowa nowego kościoła w Brzostowicy, pobliskim miasteczku. Rosjanie w 1865 roku w ramach represji po powstaniu styczniowym zabrali na cerkiew stary kościół (ufundowany jeszcze przez Chodkiewiczów w XVI wieku) i niemiłosiernie go oszpecili. Parafia została zlikwidowana. Maria Kossakowska, która nigdy nie zabiegała o dobre stosunki z zaborcami, zdołała, sobie tylko wiadomym sposobem, uzyskać pozwolenie na wybudowanie nowego kościoła. Przecierano oczy ze zdziwienia, gdy w połowie drogi między rezydencją Kossakowskich i przylegającym do niej starym dworkiem a miasteczkiem, w ciągu zaledwie czterech lat (1908–1912) wzniosła się świątynia o pięknych proporcjach, wzorowana na paryskim kościele Saint Sulpice. Wybudowana i wyposażona wyłącznym kosztem pani hrabiny. Kościół poświęcony św. Józefowi, pw. Przemienienia Pańskiego stał się kościołem parafialnym. Gdy po zakończeniu I wojny światowej Rosjanie zwrócili katolikom stary, oszpecony kościół, on także został przywrócony przez panią Kossakowską, wielkimi nakładami, do dawnego piękna i świetności. (Po wojnie oba kościoły zagrabiła władza sowiecka. Od 1965 roku w kościele Przemienienia Pańskiego aż do lat 90. mieścił się skład zboża i skup butelek, a wierni gromadzili się w zbutwiałej kaplicy cmentarnej, która w 1973 roku została ograbiona z najcenniejszego wyposażenia, a w 1976 roku spłonęła).

▶ „A może Batory [...] ciągle jeszcze był groźny?"

Dziś rzadko się wspomina prawdziwą rolę twórców i obrońców przedmurza chrześcijaństwa, cywilizacji łacińskiej w Rzeczypospolitej Obojga Narodów i na ziemiach polskich pod zaborami, w bezpośrednim sąsiedztwie państwa carów. I coraz mniej zrozumiałe – w czasach gdy doczesność, z prymatem polityki, aktywizmu i materialnego sukcesu, wypełnia cały niemal horyzont ludzkiej myśli – staje się ich niegdysiejsze uparte trwanie na posterunkach obrońców wiary i ojczyzny, w warunkach, wydawałoby się, całkowicie niesprzyjających. Ale czyż mogą być lepsze dla prawdziwych rycerzy?

Jaka stąd nauka płynie dla nas? Jako przedstawiciele narodu katolickiego o długiej historii, potomkowie obrońców przedmurza chrześcijaństwa, nie możemy przyjąć nie swojej roli – roli sprzątaczy europejskich ulic, sprawnych operatorów koparek i komputerów. Mamy coś innego do spełnienia. Do określonych ról w strukturze świata, do obowiązków stanu – stając na czele państwa czy idąc na służbę Bogu lub na służbę ludziom – jest się powołanym. Z powołaniem zaś się nie igra, bo to nie konkurs piękności ani nie spektakl teatralny.

Wiedzą o tym dobrze Rosjanie. Wiedzieli zawsze. Polska leży im na duszy kamieniem. Jeżeli dzisiaj – tak jak i niegdyś – w serca naszych sąsiadów zakrada się lęk, to dlatego, że mają przeświadczenie, głęboko skrywane, że jest coś, czego nie potrafią w Polakach pokonać. „Pańskość" Polski to chrześcijaństwo, wiara katolicka, przywiązania do Kościoła, honor, wspaniałomyślność wobec pokonanych wrogów, fantazja i niedościgła siła zjednoczonych wewnętrznie rodzin. To wszystko łączy się w jeden, tragiczny dla nich ciężar. Wobec niego są bezradni. Potrafią odpowiedzieć tylko po swojemu, grubym żołdackim przekleństwem. Gdy teść Sienkiewicza, Kazimierz Szetkiewicz zobaczył na zesłaniu na własne oczy, jak wygląda rytuał wyklinania króla polskiego Stefana Batorego w cerkwi, nie martwił się i nie smucił, tylko wąsa podkręcił. „Bo czyż dla wygnańca z Polski, kraju, którego nie ma na mapach od lat kilkudziesięciu i który – jak się na razie mogło wydawać – poniósł tym razem klęskę ostateczną, nie jest satysfakcją posłyszeć taką oto budującą modlitwę wygłaszaną w cerkwi: Pop intonuje: »Batoryj, kotoryj Moskwu rozorał, ludiej ubiwał, budiem jego proklinat`!« A chór chłopięcy odpowiada: »Proklataja jego mat`«". Najwyraźniej, dopowiada autorka wspomnień, w Rosji nie była znana instytucja przedawnienia.

„A może Batory, mimo wszystko, ciągle jeszcze był groźny?" (M. Korniłowiczówna). ■

_____

Cytaty za: Ks. Walerian Meysztowicz, „Gawędy o czasach i ludziach", Londyn 1983.

eprasa.pl 39be4e0533

Piotr Lisiewicz

Jan Lechoń

Warszawa niepodległa. Stolica Stefana Starzyńskiego

Dzisiaj Warszawa jest kupą gruzów, miejscem niewoli i hańby, jakiej dotąd nie zaznała w historii. Wielki książę Konstanty, tłukący się jak dziki zwierz po pokojach Belwederu, nie był taką zniewagą dla narodu polskiego, jak ów wyrodek polskości, który dzisiaj w tych murach podpisuje rozkazy wroga, mające zniszczyć nasz naród, zrównać go z moskiewską dziczą. [...] Zdawałoby się, że nad tymi ruinami i tryumfującą nad nimi zdradą nie ma już żadnej nadziei, żadnego ratunku, że Warszawa, która była bohaterską duszą i cudownym obrazem polskości, jest już jak jakaś dawna Niniwa cmentarzem rzeczy niepowrotnych [...]. Jak Stefan Starzyński wywiódł z podziemi średniowieczne mury Warszawy, tak ktoś podniesie ją z gruzów niewoli, z pyłu hańby – kościoły, gdzieśmy się chrzcili, ogrody, po których snuliśmy się zakochani, sale naszej nauki, i pozwoli nam położyć się na cmentarzach Warszawy obok naszych ojców i poległych braci.

Ten tekst jest jak manifest, nie da się go czytać spokojnie, bo pisze go wściekłość i geniusz zarazem. Jeśli ktoś ma wątpliwości, czy ci, którzy po poetyckim debiucie 21-letniego Jana Lechonia z 1920 roku dostrzegli w nim nowego Juliusza Słowackiego, mieli dobry poetycki słuch, powinni przeczytać ten pisany prozą artykuł 49-letniego Lechonia napisany w 1948 roku na wygnaniu.

„Dzisiaj Warszawa jest kupą gruzów, miejscem niewoli i hańby, jakiej dotąd nie zaznała w historii. Wielki książę Konstanty, tłukący się jak dziki zwierz po pokojach Belwederu, nie był taką zniewagą dla narodu polskiego, jak ów wyrodek polskości, który dzisiaj w tych murach podpisuje rozkazy wroga, mające zniszczyć nasz naród, zrównać go z moskiewską dziczą" – pisze Lechoń. I zwraca się do nas, w roku 2020, prorokując niczym Słowacki: „Ktoś podniesie ją z gruzów niewoli, z pyłu hańby – kościoły, gdzieśmy się chrzcili, ogrody, po których snuliśmy się zakochani, sale naszej nauki".

Są w tych słowach świeżość, błyskotliwość i energia Lechonia, jakby znowu był 20-latkiem, piszącym wiersz „Piłsudski", najlepszy wiersz tamtego czasu z tomiku „Karmazynowy poemat". Lechoń chciał napisać na wygnaniu książkę „Warszawa niepodległa". Nie napisał jej, tak jak pewnie nie powstało wiele jego dzieł poetyckich, które przy jego gigantycznym potencjale mogły być lepsze od romantycznych wieszczów. Nie psychologizujmy jednak nadmiernie, co często zdarza się polonistom o Lechoniu piszącym, i nie narzekajmy nad tym, czego nie ma.

Rozkoszujmy się tym, co jest i z każdym rokiem zyskuje na aktualności, a pozostaje zapomniane. Parę szkiców niezwykłej urody o swojej Warszawie, które miały wejść w skład przyszłej książki, opublikował Lechoń w 1948 roku w londyńskich „Wiadomościach". Zachwycajmy się opisami stolicy Or-Ota, w której Lechoń żył, patrzmy na pięknego Stefana Starzyńskiego oczami Lechonia i starajmy się czerpać z tej Biblii energię, by wygrać z „moskiewską dziczą", „pomiotami Szeli, dziedzicami Radziejowskich i Ponińskich". Bo nikt nie pisał o nich tak ostro i jasno zarazem.

eprasa.pl 39be4e0533

Świetne pokolenie, które przygotowało myślą, piórem i czynem odbudowę Polski i które było chlubą jej pierwszych lat wolności, poczęło schodzić ze świata albo, szanując siły, odchodzić od czynnego życia. Przychodzili ludzie nowi, mniej związani z przeszłością, instynktem czujący nową rzeczywistość, zapaleni, aby ją kształtować albo zręcznie w niej pływać. Warszawa robi się coraz większym miastem, w które cała Polska rzuca żużel ludzki; w niej krzyżują się wszystkie ważne interesy, inicjatywy polityki, gospodarstwa czy sztuki; kto chce wybić się, czegoś znacznego dokonać, tutaj dąży, tutaj chce wrosnąć.

Ani szopkarzy, ani froterów, ani zdunów...

W tej gorączce przepychania się jednych przez drugich, w tym przetapianiu się ludzkiego surowca z całej Polski na coś nowego, innego, co dopiero przyszłość miałaby zobaczyć i ocenić, zanikał oczywiście dawny, swoisty styl Warszawy, patrycjusze Warszawy ze wszystkich dziedzin jej życia ginąć poczęli w nowym tłumie, coraz bardziej sens traciło pojęcie warszawskiej tradycji. Jej stare zamki, czcigodne firmy przemysłowe i handlowe, szły jedna po drugiej w ruinę w walce z nowym światem interesów, staruszek „Kurjer Warszawski", chcąc się ratować, zaczął się sztucznie i forsownie odmładzać, typ studenta warszawskiego, ledwie zdoławszy się rozwinąć, już wyparty został przez zziajanego, niepewnego przyszłości wyrobnika dyplomu, z ponurą zazdrością patrzącego na konkurencję. Teatry warszawskie, od stu lat chluba miasta, mogące równać się z najświetniejszymi za granicą, wchłonąwszy co najlepsze z całej Polski, uległy przecież pośpiechowi, nerwowości, zacieraniu się tradycji, straciły dawny blask i jakby dawne dla Warszawy znaczenie.

Kiedy w r. 1932 umiera Or-Ot, bard starej Warszawy, nie tylko jego staromiejski rynek jest już tak uszminkowany i wyglansowany, że cała dawność z niego się wyniosła. Zarazem cała Warszawa romantyczna i pozytywistyczna, Warszawa Prusa i Żeromskiego zdaje się być już odległą przeszłością, wypartą przez nową, jeszcze nie amerykańską, ale już wiele mającą z jej brutalności i tymczasowości rzeczywistość. Szewc warszawski, posłaniec, przekupka, gadatliwy fryzjer, a zwłaszcza gazeciarze, wiedzący wszystko, co się w mieście dzieje, mówiący nieporównanymi zwrotami, jak ich sławne: „Nie denerwuj hrabiego" – oczywiście nie wymarli, choć nie masz czasu z nimi jak dawniej mówić. Ale już ani szopkarzy, ani froterów, ani zdunów, ani szatkowników kapusty nie dostrzeżesz w nowym, rwącym, nerwowym, niepamiętnym tłumie.

To samo dzieje się na szczytach polskiego i warszawskiego życia. Po wzniosłych pasjach i marzeniach Żeromskiego przychodzi bezlitosna prawdomówność Kadena, który właśnie chce być „krzykiem pokolenia", w polityce świeci jeszcze szlachetne i naiwne marzycielstwo Walerego Sławka, kanclerska rozwaga Aleksandra Prystora, działają tacy romantycy jak Juliusz Poniatowski, świetni intelektualiści jak Ignacy Matuszewski, ale i tutaj coraz twardszą stopą staje i wypiera innych człowiek nowy, bezwzględny, nieraz jakże krótkowzroczny realista, produkt i odrębnych polskich przemian, i idącego przez cały świat kryzysu inteligencji, jakże niepodobny do dawnych Polaków, jakże różny od takich warszawiaków jak Judym, a nawet Wokulski.

I oto na kilka lat przed wojną, jakby w przeczuciu, że powołana będzie aby raz jeszcze nad całym krajem zaprzodować mocą ducha, całą polskość wziąć w siebie i w niebywałym porywie wyrazić – Warszawa zwraca się nagle ku swoim najlepszym tradycjom, zarazem w przeszłość i w przyszłość wpatrzona, przetwarza swoją codzienność we wspaniałą, romantyczną improwizację i czego nie zdołała czy nie chciała dokonać przez lat dwadzieścia, teraz nadrabia w tempie w polskim życiu niebywałym, rosnąc i pięknieją w oczach, stając się nową, wielką stolicą, do której przecież powraca właśnie najpiękniejszy duch starej Warszawy.

Nieodrodne dziecko swego czasu

Stefan Starzyński, warszawiak, który tu kończył szkołę Konopczyńskiego, w środku świetnie zapowiadającej się politycznej kariery zepchnięty na fotel prezydenta Warszawy, co dla ambicji politycznych było na pewno bocznym torem – poczuł się na krześle Jana Dekerta jego następcą i dziedzicem, zrozumiał, że bardziej niż na innych, pozornie wyższych stanowiskach może tworzyć, budować i nowy kształt nadawać przyszłości.

Wszystkie przeszkody czasu, pieniędzy, cały bezwład i lenistwo biurokracji mają oto ustąpić przed tą nieznającą przeszkód i granic marzenia wolą. Co się kiedyś wlokło latami, ma się teraz stawać w miesiącach, rzeczy niemożliwe mają

eprasa.pl 39be4e0533

być osiągalne i nie ma być żadnego czekania, żadnej odwłoki w tym odrodzeniu, tej apoteozie Warszawy.

Wszystko jest zarówno ważne, niezbędne, pilne: osiedle robotnicze na Kole, nowe, szerokie jak Pola Elizejskie aleje na Mokotowie, nowe miasto Grochów, odbudowa pałacu Blanka i władysławowskiego Arsenału, szkoły miejskie, mogące być wzorem dla całej Europy, porządek na miejskich rogatkach, nowe pomniki, kaprys, godny króla Stasia, czarujący kanał łazienkowski i wreszcie wydobycie naprawdę spod ziemi starego barbakanu, który niczemu nie jest potrzebny, tylko miłości do rodzinnego miasta, zamyśleniu nad przeszłością.

Starzyński, krępy, przysadkowaty, rumiany, typowy Mazur ze średniego rodu, jest nieodrodnym dzieckiem swego czasu, który się śpieszy, buduje i burzy, czyny przenosi nad słowa, jest on nowym Polakiem, jak ci wszyscy, którzy wypierają teraz rozmarzoną, pełną wahań i skrupułów moralnych, spętaną tradycjami dawną Polskę.

Zarazem przecież wszystko, co w tej przeszłości było twórcze i piękne, wszystko, dla czego walczył pod Piłsudskim, czego go uczyli w szkole starzy romantycy i romantyczni pozytywiści, wszystko, o czym mówią mu mury starej Warszawy, noc belwederska, czwartaki Judyma, biedne inteligenckie mieszkania Mahrburgów, Dawidów i Krzemińskich – wszystko to jest w nim przytomne, najważniejsze, nietykalne, i cała jego młodość, rozmach, nowoczesność idą teraz na to, by z Warszawy uczynić wzór dla całej Polski, wzór życia, o jakim śnili ci marzyciele i jakiego nie mogli zbudować. Pomaga mu sztab ludzi młodych, zapalonych, przez niego dobranych, ale on jest ich duszą, on ogniem tej całej wielkiej sprawy, on w niej wydziera innym nie tylko pracę, ale i odpowiedzialność i wszystkie trudności. Jakże jest inny niż owi komiczni wielmoże, wielcy ludzie do małych interesów, od których roi się po wszystkich biurach i urzędach na górze i na dole. Jest zawsze uśmiechnięty, powiedziałbyś – szczęśliwy, zawsze ma czas na wszystko, nigdy nie śpieszy się, jest dla wszystkich dostępny, odpisuje na wszystkie listy.

Jakże drogie na całe życie jest dla mnie wspomnienie zwiedzania tych wszystkich cudów nowej Warszawy w towarzystwie samego Starzyńskiego, który, kiedy przyjechałem z Paryża, kazał mi wjeżdżać z nim kolejno do miasta przez wszystkie rogatki, by pokazać, jak się teraz będzie stolica przedstawiała cudzoziemcom.

I oto Starzyński, budowniczy, twórca, który zamarzył nowy, wspaniały kształt stolicy i widział wzniesione przez siebie jej zręby, własną wolą, w imię piękna wyższego niż płótna, mury i marmury – gdy przyszło o to piękno walczyć, nie tylko życie swe położył, ale i poświęcił mu zawartą w tych nowych murach, nowym życiu – własną nieśmiertelność. Wziąwszy w siebie ducha Warszawy, pojąwszy dobrze mowę jej historii, zrozumiał, że ten duch tak mu właśnie nakazuje postąpić i takimi właśnie drogami prowadzi jego do legendy, a Warszawę do dalekiej, ale pewnej wolności.

▶ Nie mamy prawa rozpaczać i wątpić

Dzisiaj Warszawa jest kupą gruzów, miejscem niewoli i hańby, jakiej dotąd nie zaznała w historii. Wielki książę Konstanty, tłukący się jak dziki zwierz po pokojach Belwederu, nie był taką zniewagą dla narodu polskiego, jak ów wyrodek polskości, który dzisiaj w tych murach podpisuje rozkazy wroga, mające zniszczyć nasz naród, zrównać go z moskiewską dziczą. Na miejscach Dekerta i Starzyńskiego, Małachowskiego i Rataja, Daszyńskiego i Prystora panoszy się plugawy szpieg Makrot i z najciemniejszych mroków wypełzły pomiot Szeli, dziedzice Radziejowskich i Ponińskich.

Zdawałoby się, że nad tymi ruinami i tryumfującą nad nimi zdradą nie ma już żadnej nadziei, żadnego ratunku, że Warszawa, która była bohaterską duszą i cudownym obrazem polskości, jest już jak jakaś dawna Niniwa cmentarzem rzeczy niepowrotnych, z którego nocą podnosi się złowieszczy okrzyk: „Biada zwyciężonym!".

Ale my, warszawiacy, którzyśmy unieśli zdrowe za granicę głowy, kiedy myślimy o wielkich i małych ludziach naszego miasta, o tych, którzy zasypali się z własnej woli w jego ruinach, o tych, którzy dziś wśród tych gruzów wyglądają wolności, czujemy, że nie mamy prawa rozpaczać i wątpić.

Jak Stefan Starzyński wywiódł z podziemi średniowieczne mury Warszawy, tak ktoś podniesie ją z gruzów niewoli, z pyłu hańby – kościoły, gdzieśmy się chrzcili, ogrody, po których snuliśmy się zakochani, sale naszej nauki, i pozwoli nam położyć się na cmentarzach Warszawy obok naszych ojców i poległych braci. ■

_____

Przedruk za: „Wiadomości", 30 maja 1948, Londyn, Rok 3, Nr 22 (113).

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 39be4e0533

Ryszard Czarnecki

Powinniśmy szukać sojuszników wśród sąsiadów

Uważam, że Polacy, Ukraińcy, Białorusini i Litwini powinni wspólnie przeciwstawiać się z jednej strony Niemcom, a z drugiej Rosji. Choć stoją temu na przeszkodzie i takie względy, jak poważna obawa Litwinów i Białorusinów, zwłaszcza przed spolonizowaniem – mówił 33 lata temu Gustaw Herling-Grudziński w rozmowie z Ryszardem Czarneckim.

fot. Cezary Pecold/PAP/CAF

Rozmowę z Gustawem Herling-Grudzińskim przeprowadziłem 33 lata temu, w maju 1987 roku w jego domu w Neapolu. Jej fragmenty pojawiły się niegdyś w „Gazecie Polskiej". Po upływie ponad trzech dekad od tego wywiadu i 20 lat po śmierci wielkiego polskiego pisarza jego opinie na temat Rosji, naszych sąsiadów, polskiej kultury, komunizmu, stanu wojennego wydają się frapujące, a nieraz ponadczasowe.

eprasa.pl 39be4e0533

▶ Znaczna część Pańskiej twórczości, zwłaszcza eseistycznej, to temat „rosyjski". A więc problematyka historyczna, polityczna, psychologiczna, socjologiczna. Czy patrzy Pan na Rosję przez pryzmat swoistego fenomenu polityczno-policyjno-historycznego, jakim była Rosja „biała", a w jeszcze większym stopniu Rosja „czerwona"? Czy może obserwacji jednostki ludzkiej w systemie totalitarnym, człowieka odartego i z praw, i z umiejętności odróżniania dobra od zła, „człowieka w sytuacji ostatecznej"?

Właściwie są dwa wątki w moim pisaniu na ten temat. Pierwszy w największym stopniu występuje w „Innym Świecie" – to refleksja nad zachowaniem się człowieka w sytuacji skrajnej, człowieka w ustroju totalitarnym właśnie. Drugi wątek, zawarty głównie w moich esejach, ale także w zapisach mojego „Dziennika pisanego nocą", to próba opisania i zastanowienia się nad politycznymi aspektami problemu rosyjskiego. Wynika to zasadniczo z jednej rzeczy, nie tylko z moich osobistych doświadczeń opisywanych w „Innym Świecie", lecz przede wszystkim z przekonania, że nasz los, los Polski, zależy w dużym stopniu od tego, co się dzieje w Związku Sowieckim. Pisanie o tym jest tym bardziej obowiązkiem, że temat ten jest obłożony zakazem cenzury w prasie, wydawnictwach w kraju. Można natomiast i trzeba swobodnie poruszać go na emigracji. Powtarzam: nasze losy zależą od tego, co dzieje się w Rosji. Natomiast często widzę, że ludzie z Polski niechętnie o tym mówią, niechętnie na to patrzą. Wynika to z polskiej „zachodniości". Polacy bardziej patrzą na Paryż niż na Moskwę. Dochodzi do zupełnych paradoksów. Można tu podać przykład Stanisława Cata-Mackiewicza. Po powrocie do kraju zorientował się, że poza pisarstwem jedyną formą jego uczestnictwa w życiu publicznym mogły być wykłady na Uniwersytecie Warszawskim z literatury rosyjskiej, którą znał zresztą świetnie...

▶ Znakomity „Dostojewski".

No nie tylko. Ostatnią jego książką, której już nie zdążył dokończyć, była praca o twórczości Antoniego Czechowa. Ale wracając do jego wykładów na Uniwersytecie, proszę sobie wyobrazić, że zakończyły się one zupełnym niepowodzeniem. Trzeba je było w krótkim czasie odwołać – bo nie było chętnych do ich słuchania! I to mimo że Cat-Mackiewicz był człowiekiem przyciągającym ludzi samym swym nazwiskiem.

▶ W myśleniu i pisaniu o Rosji wyróżnić da się trzy nurty. Pierwszy kategorycznie stwierdza, że nie można mówić o ciągłości historycznej i politycznej między Rosją 1917 roku i Rosją po rewolucji październikowej. W myśl tej koncepcji są to dwa różne państwa, dwa różne, nawet całkowicie przeciwstawne systemy ustrojowo-polityczne i o żadnym iunctim mowy być nie może. Koncepcja ta uznaje za niedopuszczalne wszystkie analogie i porównania, nie mówiąc już o utożsamianiu tego co „przed" 1917 z tym co „po". Jednym słowem: dzieje Rosji (zmierzającej oczywiście do demokratyzacji, co usilnie podkreślają zwolennicy tej tezy) skończyły się w październiku 1917 roku. Potem był już tylko komunizm, Związek Sowiecki, inna jakość, wręcz zaprzeczenie przeszłości. Koncepcję taką prezentują rosyjscy nacjonaliści, na przykład związani z NTS, na pewno skłania się do niej Aleksander Sołżenicyn. Na polskim gruncie jej wyznawcą był Józef Mackiewicz. Nurt drugi stoi na przeciwstawnych pozycjach. Jego przedstawiciele dowodzą ciągłości historycznej Rosji carskiej, kadeckiej i bolszewickiej, uważając, że niewiele się zmieniło, że zasadnicze rysy pozostały te same, choćby stosunek władzy państwowej do jednostki, brak uobywatelnienia i podmiotowości społecznej. Koronnym argumentem jest podobna czy identyczna koncepcja rosyjskiej polityki zagranicznej, te same kierunki ekspansji. Myślenie takie jest dość rozpowszechnione w Polsce, a sądzę, że także na emigracji. Najwybitniejszym przedstawicielem tego nurtu byli Jan Kucharzewski, autor słynnego „Od białego do czerwonego caratu", Władysław Studnicki oraz Stanisław Stroński, autor artykułu o wszystko mówiącym tytule „Nic, tylko Rosja". Współcześnie pogląd taki propaguje Józef Łobodowski. Wreszcie nurt trzeci, kompromisowy. Stwierdza, że mylne byłoby zarówno automatyczne utożsamianie Rosji ze Związkiem Sowieckim, jak i ograniczanie, odrzucanie jakiejkolwiek analogii. Poglądem reprezentatywnym dla tego kierunku jest stwierdzenie, że choć nie można mówić o całkowitej ciągłości historycznej Rosji i Sowietów, nie można też nie dostrzegać rażących licznych podobieństw. Przedstawicielami tego nurtu są m.in. Zbigniew Brzeziński, Francuz Alain Besancon i Amerykanin polskiego pochodzenia, doradca Regana, Richard Pipes. Czy zgadza się Pan z takim podziałem, i jeśli tak, z którym nurtem Pan się utożsamia?

eprasa.pl 39be4e0533

Z całą pewnością podział taki można przeprowadzić, ma Pan tutaj rację. Uważam, że najbliżej prawdy jest nurt trzeci, ostatni z proponowanych przez pana. Uważam za ciężki błąd tzw. syndrom Kucharzewskiego (określenie mojego przyjaciela Michała Hellera – Adama Kruczka), czyli stwierdzenie, że wszystko to jest to samo. Jest jednak również błędem mówienie, że „nic nie ma wspólnego". A taką tendencję mają Rosjanie. Najprawdziwsze jest rozwiązanie pośrednie. Musimy przy tym wszystkim pamiętać, musimy zrozumieć mechanizm państwa totalitarnego – a takim jest dzisiejszy Związek Sowiecki – i jest to różnica. Z kolei został czynnik niezmienny, podstawowy – naród rosyjski. Istnieje przecież dalej – ten sam. I nie wolno z drugiej strony zapominać o pewnej – niektórzy twierdzą, że nawet dużej – niezależności sądownictwa carskiej Rosji. A wiemy, jakie są mechanizmy sądownictwa sowieckiego.

Na pewno mamy do czynienia z wykorzystywaniem – przez władze sowieckie – nacjonalizmu rosyjskiego. Nie należy jednak mieszać pojęć „nacjonalizmu" z pojęciem „patriotyzmu rosyjskiego". Można w tym miejscu przytoczyć znakomitą anegdotę z czasu, gdy ogłoszono znany list Aleksandra Sołżenicyna do władz sowieckich. W warszawskiej kawiarni, w której wspólnie zbierali się literaci, ktoś komentując ten list powiedział: „No, wyszedł z niego Rosjanin". Na co dowcipny Słonimski ripostował – „A kto miał wyjść? Holender?"... Tak więc, podkreślając różnice między Rosją a komunizmem, z tych trzech słusznie przez Pana wyodrębnionych nurtów wybieram ostatni. Musimy wszakże uświadomić sobie różnicę między przeszłością „carską" a tym, co się dzieje w ZSRS. Stwierdzenie drugie, że „nic się nie zmieniło", jest fałszywe. Choć jest także udziałem ludzi Zachodu. Pamięta pan książkę de Custine'a? Otóż ambasador USA w Moskwie George Kennan napisał sto lat potem „Markiz de Custine i Rosja dzisiejsza", w której to książce stwierdza, że można wskazać palcem uderzające analogie...

▶ Ten pogląd jest w Polsce bardzo rozpowszechniony, pewnie nie bez kozery. Także wśród polskich intelektualistów...

Rosjanie są na to niesłychanie drażliwi. I wiem, jak na takie stwierdzenia reaguje na przykład mój przyjaciel, redaktor „Kontinentu" Władimir Maksimow. Oni mają nawet pewien jakby kompleks. Podkreślam raz jeszcze, że są to dwa systemy, których nie wolno utożsamiać – można cytować tutaj Józefa Mackiewicza, który podawał liczne przykłady – ale z całą pewnością mają one wspólne elementy. Każdy naród ma swoją historię. Nie można tego, co było po 1917 roku, wymazać więc z dziejów Rosji.

Kiedy ukazał się „Jeden dzień Iwana Denisowicza" Sołżenicyna, napisałem – zresztą dosyć wcześnie, kiedy „Jeden dzień..." nie był jeszcze spopularyzowany – po polsku i włosku opowiadanie „Iwan Denisowicz Jegor", w którym wychodziły doskonałe analogie między Rosją carską (Jegor – to bohater Czechowa) a Sowietami, (Iwan Denisowicz – Sołżenicyna). Po latach Maksimow – krzywiąc się trochę – umieścił to w „Kontinencie". Charakterystyczna była niesłychanie mocna reakcja Sołżenicyna w postaci dość ostrego listu do redakcji. A ja tam porównywałem dwie sytuacje i reakcje więźnia, wtedy i teraz. Wywołało to w rosyjskich kołach emigracyjnych rewolucję – i to z odcieniem skandalu. Uważam jednak, że należy to robić i to jest najrozsądniejsze stanowisko.

▶ Na czym, Pana zdaniem, polega problem uniwersalizmu i „prowincjonalizmu" kultury polskiej? Pytam, bo już przed równo 40 laty zżymał się Pan – a była to recenzja „Wierszy" Gałczyńskiego: „K.I.G. – poeta inteligenckich bezdroży" – nad Polską prowincjonalną i zaściankową...

Bardzo zmieniłem swój pogląd na ten temat. Pan wspomniał o moim artykule o Gałczyńskim. To, co pisał Gałczyński o Polsce prowincjonalnej, nie jest fałszywe. Tak było. Ale dzisiaj jest już zupełnie inaczej. Polska kultura weszła do światowej i ma w niej swój znaczny udział. I nie tylko pisarze tacy jak Gombrowicz i Miłosz, ale sami Polacy znacznie więcej wiedzą o świecie, bardziej się na tym znają. I to ludzie młodzi, z Polski. Ale trzeba koniecznie pamiętać o tym, co podkreślał Gombrowicz, zwłaszcza w swoich „Dziennikach", że polska kultura powinna bardzo pilnować swojego wkładu, odrębności, tego, co polskie. To jest nasza szansa. Tak jak Francuzi, których wkład do kultury światowej jest wielki, ale jest to wkład specyficznie francuski. Ten mój dawny, krytyczny pogląd dotyczył atmosfery kulturalnej II Rzeczypospolitej. Spowodowana była ona tym, że wybiliśmy się na niepodległość po 120 latach niewoli. Byliśmy wpatrzeni w Paryż czy też – jak złośliwie mówiono – w Paryżew. Dzisiaj to już bardzo osłabło. Polacy są w tym nurcie światowym. Nie ma powodu oglądać się na innych. W wielu dziedzinach kultury Polacy są prekursorami. Taki na przykład strukturalizm. Jeszcze przed wojną na zajęciach koła polonistów Uniwersytetu Warszawskiego była to rzecz podnoszona, znana (pod pewnym wpływem zresztą rosyjskiego formalizmu). Później, po wielu latach, była wielka moda na Zachodzie, Zachód to oślepiło.

eprasa.pl 39be4e0533

▶ Myślę, że wypowiedź Pana jest bardzo ważna i zbiega się z naszymi odczuciami w kraju. Zwłaszcza to swego rodzaju przesłanie, aby „pilnować swojego, wkładu, odrębności, tego, co polskie". Chciałbym teraz przejść do zagadnień *stricte* politycznych. Generalnie linia „Kultury" to koncepcja federacyjna. Na ile jest to próba „projekcji" przyszłości, na ile odzwierciedlenie różnych przecież doświadczeń historycznych? Odnosi się bowiem wrażenie, że to głównie Polacy dążą do tej formuły, do współpracy przy „désintéressement" lub niechęci potencjalnych sprzymierzeńców.

W „Kulturze" temat ten podejmujemy nie w kategorii federacji, a normalizacji. Chcemy ułożyć stosunki z sąsiadami, musimy je ułożyć. Zgadzam się z panem: istnieje ogromna nieufność do Polaków. Zostało już jednak wiele wyjaśnione. Nie chciałbym przeceniać roli „Kultury", ale jest w tym i jej zasługa. Utrzymujemy stosunki z działaczami litewskimi. Poprawiły się stosunki polsko-rosyjskie. Z inspiracji Giedroycia zostało wydane oświadczenie pisarzy rosyjskich uznające prawo Ukrainy do niezawisłego bytu...

▶ Przypomina mi się pewien fakt ze zjazdu dziennikarzy emigracyjnych krajów bloku sowieckiego, który odbył się w 1947 roku, chyba w Paryżu. Część delegacji polskiej podnosiła tam koncepcje federacyjne, co nie napotykało żadnego odzewu wśród innych delegacji. Wtedy to dziennikarz ukraiński Jarosław Pełenski wręcz stwierdził, że po odzyskaniu niepodległości Ukraina nie zamierza wchodzić w żadne związki federacyjne, tylko zachować całkowitą samodzielność państwową. Myślę, że jest to wypowiedź bardzo charakterystyczna, psychologicznie zrozumiała i aktualna do dziś. Z kolei wielki zwolennik współpracy polskiej i ukraińskiej, Józef Łobodowski, w czasie swojej podróży do USA i proponowania tej idei spotkał się ze środowiskami emigracji ukraińskiej, które nie tylko nic nie chciały słyszeć o żadnej współpracy, lecz wręcz domagały się „zwrotu" Przemyśla, Bieszczad, ziem na Zachód od Sanu, Krynicy. Nawet on wówczas „nie zdzierżył i ryczał jak ranny łoś", jak barwnie opisuje Kisielewski...

Znam te wypadki. Wiem, że napotyka to na takie przeszkody. Ale wiem też, że Łobodowski zna grupy znacznie światlejszych i mądrzejszych Ukraińców. Są jednak grupy ukraińskie absolutnie negatywnie nastawione do samego dialogu.

▶ Redaktor naczelny „Russkoj Mysli" Irina Iłowajska-Alberti powiedziała w wywiadzie dla „Kontaktu" przeprowadzonym przez Józefa Darskiego, że nie wyobraża sobie przyszłej – jeżeli powstanie – konfederacji Europy Środkowo-Wschodniej bez Rosji. W innym wypadku mieć będzie ona ostrze antyrosyjskie. Czy wobec tego ma sens idea federacji, gdy w nowym układzie politycznym miast Sowietów będzie Rosja, przeciwko komu federacja taka będzie skierowana?

Znam bardzo dobrze panią Iłowajską-Alberti. Jest bardzo przychylnie nastawiona do Polski, uważa się za „polonofilkę" i mówi, że jest „Polką honoris causa". Jest zresztą bardzo ceniona przez papieża Jana Pawła. Co do konfederacji – ma sens, jej ostrze jest antysowieckie. Może też istnieć w przyszłości, już z Rosją...

▶ Tylko że wtedy nie będzie miała wspólnego, negatywnego – obrona – celu, który najbardziej jednoczy...

Są też i inne koncepcje ułożenia stosunków na tym obszarze. Na przykład idea Milana Kundery, pisarza czeskiego, stworzenia Mitteleuropy składającej się z Polski, Czechosłowacji, Węgier. Została ona poparta w pewien sposób przez Miłosza, który napisał taki artykuł czy referat „Europa środka". Ja to przyjmuję podejrzliwie, ponieważ jest to próba odcięcia się od Rosji, która jest przecież stałym czynnikiem. Czesi po 1968 roku są jeszcze bardziej antyrosyjscy niż sami Polacy. Jest to reakcja i na inwazję, i na wiele dziesiątków lat nastrojów filorosyjskich.

Oczywiście ta koncepcja została bardzo niechętnie przyjęta przez samych Rosjan na emigracji.

▶ Dwadzieścia lat temu Mieroszewski jednocześnie proponował przekształcenie ZSRS w państwa narodowe, jak i demokratyzację samego Związku Sowieckiego. Wszystko to przy założeniu, że musimy bronić naszych ziem zachodnich przed Niemcami, a stać przy Rosji.

Koncepcja Mieroszewskiego to już rzecz dawna. Od tego czasu stosunki polsko-niemieckie dosyć się zmieniły. Ja uważam, że Polacy, Ukraińcy, Białorusini i Litwini powinni wspólnie przeciwstawiać się z jednej strony Niemcom, a z drugiej Rosji. Choć stoją temu na przeszkodzie i takie względy, jak poważna obawa Litwinów i Białorusinów, zwłaszcza przed spolonizowaniem.

▶ A więc obawa przed atrakcyjnością kultury polskiej.

Tak, na pewno.

eprasa.pl 39be4e0533

▶ Polska, Europa Środkowa, Rosja, Niemcy. Jak Pan wyobraża sobie optymalną naszą pozycję w tym układzie?

Powinniśmy szukać możliwości znalezienia sojuszników wśród sąsiadów.

▶ Ale czy nie obawia się Pan, że po upadku Rosji Sowieckiej będziemy mieli do czynienia z olbrzymim wybuchem szowinizmów i nacjonalizmów państwowych w Europie Środkowo-Wschodniej, zwłaszcza wśród tych narodów, które nie mają lub mają niewielką tradycję własnego państwa (Białorusini, Ukraińcy, Słowacy)?

Ma Pan rację. Warto w tym miejscu przytoczyć charakterystyczną opinię Adolfa Bocheńskiego, współpracownika Giedroycia z „Buntu młodych" i „Polityki", który, pisząc na ten temat jeszcze przed wojną, twierdził, że słabsi nie lubią zawierać porozumień z silniejszymi. Myślę jednak, że nastąpi w końcu zrozumienie i zwycięży zdrowy rozsądek.

▶ Kilka lat temu zarzucił Pan „Solidarności" brak determinacji w marcu (kryzys bydgoski) i grudniu (początek stanu wojennego) 1981 roku. Nieraz krytycznie oceniał Pan próby „neorealistycznej" polityki niektórych środowisk już po Grudniu '81. Jaka jest obecna Pańska ocena, z perspektywy czasu i gdy znamy relację pułkownika Kuklińskiego? Czy Pańskie oceny nie uległy przewartościowaniu?

Tekst pułkownika Kuklińskiego jest historyczny. Utwierdził mnie w dotychczasowych przekonaniach. Poszerza on wiedzę na temat problemu zawartego w pytaniu: „wejdą – nie wejdą". Z wypowiedzi pułkownika Kuklińskiego wynika, że interwencja wisiała na włosku.

Dwie rzeczy wydają się być najważniejsze. Pierwsza to natychmiastowe przygotowywanie stanu wojennego, tuż po Sierpniu. Jeszcze nie obeschły podpisy pod umowami, a przygotowywania już się rozpoczęły. Druga – ciągły nacisk Rosji. Od 1956 roku ciągle straszą nas interwencją. Czy jest to tylko zastraszanie czy coś więcej? Nie mam na to żadnych dowodów, ale Moskwa bardzo bała się interwencji w Polsce. Bała się i boi się, bo wie, że Polacy zachowują się inaczej niż Czesi. Ich w 1968 roku opukiwali sześć miesięcy. Decyzja ostateczna zapadła, gdy Dubczek wprost powiedział Breżniewowi: „my, towarzysze, w każdym razie do Armii Czerwonej strzelać nie będziemy".

Myślę, że to, co się stało w grudniu 1981, to było dla władzy sowieckiej najlepsze rozwiązanie: „niech władze w Polsce rozwiążą to własnymi rękoma". I po to było zastraszanie inwazją. Bardziej stanowcza postawa Jaruzelskiego i Kani mogła powstrzymać Rosjan od myśli o interwencji. To, co mówi Kukliński, potwierdziło moje dotychczasowe przekonanie. Strach zwyciężył. Gdyby Kania i Jaruzelski... Kryzys bydgoski był ostatnim momentem. Gdyby w marcu 1981 roku „Solidarność" do końca parła! Marzec 1981 zależał od „Solidarności". Wtedy wycofano się. Kiedy się wycofano, poszły przygotowania do stanu wojennego. No, ale tego nie można dowieść...

▶ Przygotowania do stanu wojennego prowadzone były – jak sam Pan zauważył – od powstania „Solidarności". Prowadzono je więc już przez pół roku, od września 1980 do marca 1981 roku.

Ale decyzja zapadła w lutym 1981 roku.

▶ Nie byli wtedy jeszcze przygotowani – tak przynajmniej wynika z relacji Kuklińskiego, Wydaje się, że była to kwestia tylko czasu i odpowiedniego przygotowania, a nie zmiany jakości politycznej w marcu 1981 roku. A zresztą nawet czy marcowy zryw miał jakiekolwiek szanse, czy nie prowadził do interwencji?

Dwa punkty są istotne. Po pierwsze, nie wiem, czy interwencja rzeczywiście byłaby, czy tylko występowała jako straszak. Jak postąpił Gomułka w 1956 roku? Stawił opór...

▶ Z relacji Kuklińskiego rysuje się dość statyczny obraz „Solidarności". Sytuacja zależy od władzy, od PZPR – taka jest wymowa.

Chciałbym sprostować. Postawa władzy zależy od postawy społeczeństwa.

▶ Będę adwokatem diabła, ale co by dał ewentualny strajk generalny? Były dwie możliwości. Pierwsza – strajk zwycięża i oczywiście następuje interwencja. Druga – strajk zostaje stłumiony, a ponieważ opór i jego skala jest większa niż w grudniu 1981 roku, następują większe represje. Oba wyjścia bardzo złe, pierwsze nawet i tragiczne.

Strajk w marcu 1981 roku mógłby spowodować utwardzenie Kani i Jaruzelskiego. Gdyby Kania i Jaruzelski powiedzieli to, co Gomułka w 1956 roku: „nie da się załatwić kryzysu interwencją". „Solidarność" nie chciała władzy. Hasło „dwuwładzy" było chwytem propagandowym komunistów. Ryzyko sprawdzenia, czy ze strony władz był to straszak, było jednak wysokie: interwencja. Bydgoszcz była dowodem ustępliwości „Solidarności", co spowodowało decyzję władz o wprowadzeniu stanu wojennego. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Magdalena Molak

Nowe oblicze Chrystusa

Cudowny Krucyfiks z katedry na Starym Mieście w Warszawie jest dziś najcenniejszym zabytkiem późnośredniowiecznej rzeźby w stolicy. Właśnie skończyła się jego konserwacja.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

Krucyfiks ten to czczony przez warszawiaków obiekt kultu, otaczany szczególnym nabożeństwem przez Prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego, patron i „Serce Warszawy", niemy świadek oraz towarzysz dramatów miasta. Jego niezwykła i dramatyczna historia pozostawiła widoczne ślady na figurze Chrystusa. Dlatego nie dziwi fakt, że wokół efektów prac konserwatorskich pojawiły się różne kontrowersje. Przyczynkiem do nich była niewielka dokumentacja fotograficzna opublikowana na profilu facebookowym Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, które prezentowało krucyfiks. Zdjęcia porównawcze „sprzed" i „po" konserwacji wywołały wątpliwości, czy aby obecnie rysy twarzy Jezusa nie odbiegają w znacznym stopniu od twarzy oryginału czy raczej tej, do której przyzwyczaili się warszawiacy. Obawy okazały się na wyrost, ale pokazały czujność i troskę mieszkańców stolicy o niemal 500-letni skarb.

Historia na figurze malowana

Gruzowisko, szańce z cegieł i kamieni. Śpiew i dźwięk dzwonków. Tłumy rozmodlonych ludzi wzdłuż prowizorycznej drogi. I ogromny krzyż ułożony na platformie niesionej na ramionach ludzi w procesji. To przejmująca scena z kroniki filmowej towarzyszącej wystawie w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, która prezentowała efekty konserwacji cudownego Krucyfiksu. Ta uroczysta procesja, której przewodniczył ówczesny Prymas Polski August Hlond, zmierzała Krakowskim Przedmieściem z kościoła Karmelitów do Archikatedry Warszawskiej. Był rok 1948, a katedra nie była jeszcze odbudowana.

Olbrzymi krzyż z drewnianą, polichromowaną rzeźbą przedstawiającą nadnaturalnej wielkości Chrystusa Ukrzyżowanego powstał w XVI wieku w Norymberdze. Do Polski przywieziony został w 1525 roku przez kupca i rajcę miejskiego Jerzego Baryczkę. To od niego nazwę wzięła kaplica z ołtarzem z czarnego marmuru, nad którym od około 1716 roku wisi Krucyfiks.

Krzyż przetrwał klęski żywiołowe. W 1602 roku huragan zwalił wieżę kolegiaty, lecz wizerunek Chrystusa pozostał nienaruszony. Przetrwał również najgorsze dla stolicy momenty w czasie II wojny światowej. Podczas Powstania Warszawskiego katedra została niemal doszczętnie zburzona, ale krucyfiks ocalał. Szczególną zasługę miał tu kapelan AK, ks. Wacław Karłowicz, który zdjął figurę Chrystusa i z pomocą dwóch sanitariuszek przeniósł ją do podziemi kościoła Dominikanów, gdzie funkcjonował szpital powstańczy. Tam kapelan szpitalny, udzielając sakramentu namaszczenia umierającym powstańcom, miał go udzielić również figurze Chrystusa, myśląc, że nakryta płaszczem postać to ranny powstaniec. W 1945 roku Cudowny Krucyfiks został czasowo umieszczony w kościele NMP i św. Józefa Oblubieńca. Trzy lata później uroczyście powrócił do katedry. A za pięć lat obchodzić będziemy 500-lecie jego obecności w stolicy.

KRUCYFIKS BYŁ OTACZANY SZCZEGÓLNYM NABOŻEŃSTWEM PRZEZ PRYMASA POLSKI KARDYNAŁA STEFANA WYSZYŃSKIEGO.

Siła przywiązania a zgoda na nowe

Jak podkreśla autorka renowacji prof. Maria Lubryczyńska, konserwator kieruje się przede wszystkim zasadą, aby prace przeprowadzać zawsze z wielką dbałością o oryginał i z możliwie jak najmniejszą ingerencją w jego pierwotny wygląd. Jednak podczas badań Krucyfiksu, które poprzedzały konserwację (na tym etapie posługiwano się podczerwienią i rentgenogramem do wykonania zdjęć), i wstępnym usunięciu zabrudzeń ujawniły się rozległe uszkodzenia i nadpalenia powierzchni figury, naturalna polichromia zachowała się w zaledwie kilku procentach, a cała struktura wymagała wzmocnienia. Peruka, która jest charakterystycznym elementem głowy, wykonana prawdopodobnie w okresie po II wojnie światowej z końskich włosów, była bardzo zniszczona. Konieczna była pełna rekonstrukcja brakujących fragmentów polichromii. Liczne przemalunki z poprzednich konserwacji usunięto. Odtworzono źrenice oczu, a po oczyszczeniu twarzy z wtórnych powłok ukazały się bardzo dyskretne, wcześniej zamalowane, łzy w kącikach oczu. Oczyszczono koronę cierniową wykonaną ze srebra oraz sam krzyż. Głowę ubrano w nową perukę z długich, kręconych, ciemnobrązowych włosów ludzkich.

eprasa.pl 39be4e0533

Chrystus zyskał dziś nowy blask, patrzy się na Jego figurę z podziwem. Jednak nie jest to tylko dzieło sztuki, ale też obiekt sakralny, dlatego oceniamy je nie tylko oczami. I w tym kontekście pojawiać się może pytanie, czy ślady pozostawione przez czas i doświadczenia zdarzeń o wielkiej i nieprzemijającej historycznej wadze są uszczerbkiem, zamazują właściwe piękno dzieła i przekłamują zamysł jego autora? Czy raczej powinny pozostać jako ubogacające świadectwo dramatycznej historii?... „Konserwacja sztuki sakralnej jest nie tylko kwestią dbałości o jej formę i stan zachowania, lecz obejmuje także szereg zagadnień natury etycznej. Estetyczny efekt, jaki wywołuje Krucyfiks, nie zawiera się jedynie w podziwianiu jego formy. Obejmuje on również doświadczenia pobożnych wiernych, którzy zauważają w nim wiarę w możliwość uzyskania odpowiedzi na pytania oraz uwolnienie od wątpliwości. Dlatego przed opracowaniem programu prac konserwatorskich i restauratorskich niezbędne było połączenie różnych aspektów Krucyfiksu z analizą konserwatora, który musi odpowiednio pokierować pracami, rozumiejąc współczesne społeczne funkcje tego obiektu" – tłumaczyła w podsumowaniu pracy konserwatorka Krucyfiksu, prof. Lubryczyńska. I właśnie przez wzgląd na przywiązanie do śladów historii pozostawiono bez ingerencji część zniszczeń wojennych, takich jak nadpalenia na powierzchni polichromii na plecach figury Chrystusa.

▶ Powrót Boskiego Oblicza

28 lutego, w pierwszy piątek Wielkiego Postu, w trakcie Drogi Krzyżowej, która wyruszyła z kościoła NMP na Nowym Mieście, Krucyfiks został przeniesiony do bazyliki archikatedralnej św. Jana Chrzciciela. Tak jak w lutym 1948 roku, powrócił na swoje miejsce, niesiony na ramionach warszawiaków ulicami Starego Miasta.

Prace zostały sfinansowane z budżetu Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków ze wsparciem z datków wiernych. Profesor dr. hab. Maria Lubryczyńska uznawana jest za najwybitniejszą w Polsce i w Europie ekspertkę z zakresu konserwacji polichromii drewna. Była to pierwsza konserwacja tego dzieła prowadzona w tak szerokim zakresie. W porównaniu z nią wcześniejsze renowacje z 1958 i 1973 roku były raczej skromnymi naprawami. – Mam olbrzymie doświadczenie zawodowe, ale to zadanie było najtrudniejsze ze wszystkich, które dotąd wykonałam – podsumowała siedem miesięcy pracy profesor Lubryczyńska. ■

Głośne konserwacje w Polsce

● Trwająca konserwacja ołtarza Wita Stwosza. To już kolejna długoletnia konserwacja (trwa od 2015 roku, jej zakończenie planuje się w roku 2021).

● Konserwacja rzeźby kamiennej św. Barbary – została scalona z 39 części znalezionych podczas prac budowlanych w piwnicach domu na Małym Rynku w Krakowie i na wysypisku gruzu. Figurę scalono bez uzupełniania braków.

● Słynna rzeźba Matki Boskiej „z czyżykiem" z Kłodzka, która po zdjęciu barokowej polichromii i złoceń oczyszczona została do surowego drewna, co pozbawiło figurę historycznej barokowej aranżacji.

● Cenny obraz wotywny z klasztoru franciszkanów w Krakowie skradziony, pocięty i sprzedany. Po częściowym odzyskaniu poddano go konserwacji wraz z rekonstrukcją brakujących części.

● Gotycki obraz Madonny z kościoła w Witanowicach. Po konserwacji i odzyskaniu pierwotnej postaci dzieła pojawiły się opinie, że obraz wymieniono. Niedługo potem obraz spłonął.

Źle odrestaurowane

● Mozaika w Hatay Museum (Turcja) – postaciom z mozaik zmieniono wyrazy twarzy i stały się one karykaturą tego, czym były wcześniej.

● Głowa Jezusa z pomnika Matki Boskiej z Dzieciątkiem w kościele św. Anny w Sudbury (Kanada) – gdzie na jakiś czas doczepiono Dzieciątku szpetną glinianą główkę rozpływającą się pod wpływem deszczu.

● Ecce Homo – fresk przedstawiający Jezusa z koroną cierniową zdobiący Sanktuarium Miłosierdzia w Borja (Hiszpania) – samowolna praca naprawcza parafianki, która nieporadnie zamalowała fresk. Działanie to nazwano dewastacją.

eprasa.pl 39be4e0533

MIŁOŚĆ TO ŚMIERĆ, CZYLI „HALKA" TRELIŃSKIEGO

Sylwia Kołodyńska

Mariusz Treliński wiele librett zamieniał m.in. na scenie Teatru Wielkiego Opery Narodowej w złoto. Przyszła pora na zmierzenie się z polską operą narodową. „Halka" nie jest najjaśniejszym puntem w karierze Trelińskiego. Raczej ugruntowuje pozycję reżysera jako jednego z najlepszych twórców operowych w Europie.

Choć „Umarłe miasto" przejaskrawiał pozami swoich roznegliżowanych tancerek, to jednak przede wszystkim hipnotyzował ciężarem dramatu bohaterów. „Madame Butterfly" ubrał w jeszcze większą delikatność, sprawiając, że jego interpretacja przejdzie do historii jako jedno z najjaśniejszych wystawień tego dzieła. „Ognistego Anioła" zdemonizował do granic wytrzymałości, tworząc przy tym toksyczną hybrydę kinowych efektów z operowym wyrafinowaniem. Za każdym razem Mariusza Trelińskiego cechuje precyzja zapierającej dech w piersiach realizacji. „Halką" zaskoczył.

XIX-wieczna opera z muzyką Stanisława Moniuszki do libretta Włodzimierza Wolskiego to osadzona w konkretnym miejscu i czasie opera o góralach. Moniuszce w jego geniuszu wystarczyło wyobrażenie Tatr. Nigdy w nich nie był. W tym sensie muzyczne odtworzenie klimatu Podhala przez Moniuszkę było dużym eksperymentem. Podobnie jak pokazanie polskiego folkloru przez Mariusza Trelińskiego dziś. Dyrektor artystyczny TWON brawurowo rozprawił się z dziełem Moniuszki. Bez zawahania przeniósł bohaterów w klimat lat 70., pannom na weselnej zabawie założył białe kozaczki, a scenerię hotelu Kasprowy rękoma Słowaka Borisa Kudlička stworzył na wzór mrocznej pozytywki, której poszczególne części skrywają jakąś tajemnicę.

I rytmicznie, bez chwili oddechu, przeprowadził publiczność przez tragiczne losy porzuconej dziewczyny. Halka zakochana w Januszu nie słucha przestróg zakochanego w niej Jontka. Ufa swojemu kochankowi, choć ten szykuje się do ożenku. Pod sercem nosi przecież jego dziecko. Jednak Janusz, choć trawiony wyrzutami sumienia, opuszcza kochającą go kobietę. Wkrótce porzuconą ciężarną zobaczy Zosia, panna młoda. Wszystko zmierza wprost do tragedii. Janusz „znęcił gołąbeczka i stumanił. Zabrał wianek i zabrał duszę". Jontek chce walczyć o Halkę. Piotr Beczała w jego roli zachwycił podczas grudniowej opery w Wiedniu Austriaków, a teraz w Warszawie Polaków. Uniósł tę postać tak wysoko, jak jeszcze dotąd nie była. A Treliński wprowadził swoim zaklętym spektaklem widownię w pewien niepokojący trans. W takt bolesnych konwulsji Halki prowadzi swój orszak. Raz jest ślubny, raz żałobny. Ten spektakl kłamstwa i hipokryzji trzeszczy w szwach. Oszustwo Janusza, krwawiące serce Halki i największe cierpienie „dzieciątka miłosiernie spozierającego"... Nie ma szans na choćby promyk nadziei. Reżyser wykorzystuje znaną fabułę do pójścia nieco inną drogą interpretacyjną. Losy weselników i samotnej Halki wykorzystuje Treliński do pokazania klasowych podziałów, toksycznych uprzedzeń i niewiele znaczącej litości. W jaskrawych postawach swoich bohaterów widzi mapę problemów współczesnego człowieka, robiącego niezgrabny szpagat między tym co należy, a tym co ciągnie w otchłań. Między wartościami, dzięki którym możemy nazywać się ludźmi cywilizowanymi, a niszczycielskim popędem zbliżającym nas do dzikiej, kierującej się jedynie instynktem zwierzyny.

Treliński odbiegł od libretta Wolskiego w finale. Pozornie bardzo. Jednak jeśli wczytać się głębiej w jego zamysł, droga, którą wybrała Halka, jest równie bolesna i podobnie niszczycielska w skutkach. Halka, wielka ofiara miłości, przeżyje u Trelińskiego jeszcze większy ból. Czy może być coś gorszego niż skok ze skały w nurt górskiej rzeki? Niestety tak. ■

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

eprasa.pl 39be4e0533

Marek Kalinowski

Szalone drony Jokera

Ścieżka dźwiękowa „Jokera" czaruje, a jednocześnie przeraża. Hildur Guðnadóttir jest czwartą kobietą w stuletniej historii Oscarów, która otrzymała główną nagrodę za najlepszą muzykę filmową.

Zdążyliśmy ochłonąć już po emocjach oscarowej nocy, warto jednak do nich powrócić, bo gdy uwaga w sposób naturalny skupiła się na kategorii głównej i nieoczekiwanym zwycięstwie filmu „Parasite", nieco w cieniu pozostały równie emocjonujące zmagania o statuetkę za najlepszą muzykę filmową. Tym bardziej ciekawe, że do wyścigu w tej kategorii stanęli prawdziwi muzyczni giganci, na czele z oscarowym weteranem Johnem Williamsem.

Faworytami wydawali się wielokrotnie już wcześniej nominowany Thomas Newman za muzykę do „1917" i Alexandre Desplat, autor fenomenalnej ścieżki do filmu „Małe kobietki". Tym razem faworyci musieli jednak obejść się smakiem, bo Akademia postanowiła również w muzycznej kategorii pójść pod prąd. Zamiast postawić na łatwe w odbiorze i chwytające za serce melodie, nagroda przypadła mało jeszcze znanej przed rokiem, islandzkiej kompozytorce i wiolonczelistce Hildur Guðnadóttir za muzykę do obrazu „Joker". Co ciekawe, Hildur Guðnadóttir jest czwartą kobietą (i zaledwie siódmą nominowaną) w stuletniej historii Oscarów, która otrzymała statuetkę w muzycznej kategorii, co biorąc pod uwagę parytetowe zapędy filmowej branży, wydaje się nieco zaskakujące.

Hildur Guðnadóttir, JOKER (Original Motion Picture Soundtrack)

Muzyka „Jokera" nie jest łatwa w odbiorze, choć znakomicie radzi sobie jako autonomiczne, niezależne od filmu dzieło. Minimalizm rozwiązań, niezwykłe wyczucie łączenia muzyki klasycznej z elektroniką i przesycone smutkiem, ciężkie, posępne drony – to cechy charakterystyczne Guðnadóttir, które wypracowała w trakcie wieloletniej współpracy z nieodżałowanym kompozytorem Jóhannem Jóhannssonem.

Jej wiolonczela wzbogacała wiele filmowych produkcji, m.in. muzykę do serialu „W pułapce", filmu „Sicario 2" czy „Maria Magdalena", zawsze jednak pozostawała w cieniu znanego współpracownika. Po śmierci Jóhannssona w 2018 roku, Guðnadóttir stała się niejako naturalną spadkobierczynią ich wspólnego dorobku. Szybko też udowodniła, że kontrakt z prestiżową wytwórnią Deutsche Grammophon nie był dziełem przypadku, a efektem jej niezwykłego talentu i ciężkiej pracy. Niemal równocześnie z muzyką do „Jokera" przygotowywała znakomitą ścieżką dźwiękową do serialu HBO „Czarnobyl". „Czarnobyl" przysporzył jej ogromną popularność, ale to jednak „Joker" przyniósł najważniejsze nagrody – Złoty Glob, BAFTA i Oscara.

Konstrukcja warstwy muzycznej „Jokera" powstała, zanim Todd Phillips ruszył z pierwszymi zdjęciami. Do dźwiękowej kreacji bohatera posłużył Guðnadóttir sam scenariusz. Muzyka towarzyszyła aktorom na planie, a wiele scen powstało pod jej wpływem. Wystarczy jednak odsłuchać album, aby zrozumieć, że dźwiękami udało się nakreślić nie tylko portret psychologiczny „Jokera", lecz także przemiany, które w nim zachodzą. Na początku otrzymujemy jedynie rozciągnięte, melancholijne dźwięki wiolonczeli, uzupełnione drobnymi orkiestracjami. Tajemnica przenika niemal każde pociągnięcie smyczka. Wraz z postępującym szaleństwem głównego bohatera jest coraz głośniej, wiolonczela jest stłumiona, jej dźwięk słabnie, wypierany przez nakładane kolejno warstwy. Te niespodziewanie rosną i znikają, przygniatając słuchacza mrokiem i zaskakując nieoczekiwanymi barwami. Wrażenie pozostaje na długo. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Kamil Goral, ekspert RG SWS

Salvini trafił w sedno. Czy w Brukseli kogoś to obchodzi?

„Albo Unia Europejska się zmieni, albo nie ma sensu, by dalej istniała" – ta wypowiedź Matteo Salviniego wywołała niemały ferment. Lider Ligi Północnej coraz wyraźniej daje przy tym do zrozumienia, że jeśli we Wspólnocie nie zaczną zachodzić zmiany, to Italia może ją opuścić. To stwierdzenie tym bardziej ważne, że partia Salviniego jest bezkonkurencyjna w sondażach poparcia i ma bardzo duże szanse na przejęcie władzy we Włoszech. Nie można jego słów puścić mimo uszu, uznając, że to jakieś aberracje marginalnego polityka bez szans na realizację.

Problem polega jednak na tym, że po brexicie próżno szukać w unijnych elitach refleksji i chociaż namiastki samokrytyki. Wydaje się, że jest zupełnie odwrotnie. Pycha eurokratów i ich liczne wypowiedzi wskazują na to, że szacunek dla suwerenności państw członkowskich nie ma dla nich większego znaczenia. Dokręcanie śruby odbywa się coraz częściej za pośrednictwem unijnego Trybunału, który wyinterpretowuje z europejskich traktatów kompetencje, których nikt mu nie przyznał. Pojemne zapisy prawa pierwotnego dają nieograniczone wręcz możliwości do przypisywania sobie coraz nowszych uprawnień. To droga do pozatraktatowego pozbawiania państw członkowskich UE resztek niezależności, mają zostać z niej wyzute na rzecz unijnych instytucji.

Tu już nie ma miejsca na niuanse. Przykrą egzemplifikacją tej sytuacji jest torturowanie Polski przez Komisję Europejską i kierowanie kolejnych skarg na nasz kraj do TSUE. Teraz unijny trybunał namyśla się, czy zawiesić funkcjonowanie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, decyzję ma podjąć na wniosek KE jako środek zabezpieczający w toczącym się przeciw Polsce postępowaniu – być może Państwo czytając ten tekst, znacie już jej treść. Gdyby trybunał w Luksemburgu się na to zdecydował, byłaby to sytuacja precedensowa, doszłoby do totalnego pogwałcenia prawa UE i pokazania, że TSUE może robić, co chce i jak chce. Sam fakt, że w ogóle taki wniosek tam trafił, już świadczy o skali problemu. Czy następnym krokiem będzie zawieszanie wybranego w demokratycznych wyborach parlamentu? Czemu nie, dla prawniczego woluntaryzmu nie ma ograniczeń. Kolejne kroki są tylko kwestią czasu, kluczowa jest determinacja, której jak widać dygnitarzom z Brukseli nie brakuje. Wszystko to zaś dzieje się pod szczytnymi hasłami „obrony demokracji" czy „zachowania niezależności sądów". Ale to tylko woal, za którym skrywa się prawdziwa intencja: więcej władzy dla eurokratów. Celem jest superpaństwo, w którym poszczególnie kraje, a już na pewno takie jak Polska, mają być tylko prowincjami, rezerwuarem taniej siły roboczej i pojemnym rynkiem zbytu.

To mocna diagnoza, ale trudno o inną w obliczu zachowania takich instytucji jak KE czy TSUE. Czy osiągną to, do czego z taką determinacją dążą? Słowa Salviniego pokazują, że może się im to nie udać. Jeśli liderzy państw narodowych zrozumieją, dokąd to wszystko zmierza, jest szansa na powstrzymanie tych zapędów. Wchodziliśmy przed szesnastoma laty do organizacji o charakterze gospodarczym, mającej ułatwiać wymianę handlową i rozwój ekonomiczny naszego kraju. Mamy prawo wymagać, aby funkcjonował wspólny rynek i aby Unia podejmowała działania wspierające wzrost. Nie potrzebujemy jej nachalnego ingerowania w nasze sprawy, które z integracją gospodarczą nie mają nic wspólnego. Tylko tyle i aż tyle! ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 39be4e0533

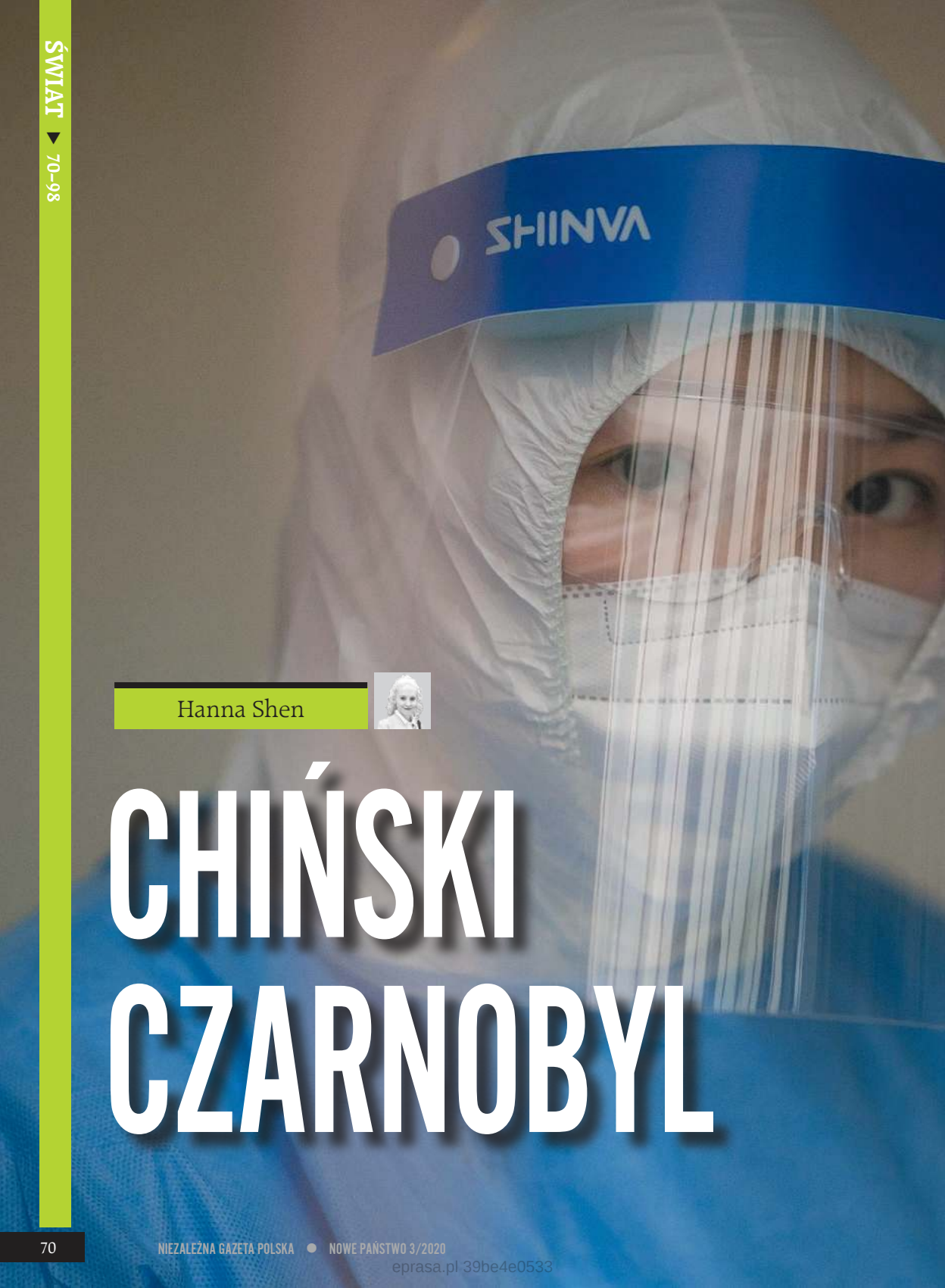

Hanna Shen

CHIŃSKI CZARNOBYL

eprasa.pl 39be4e0533

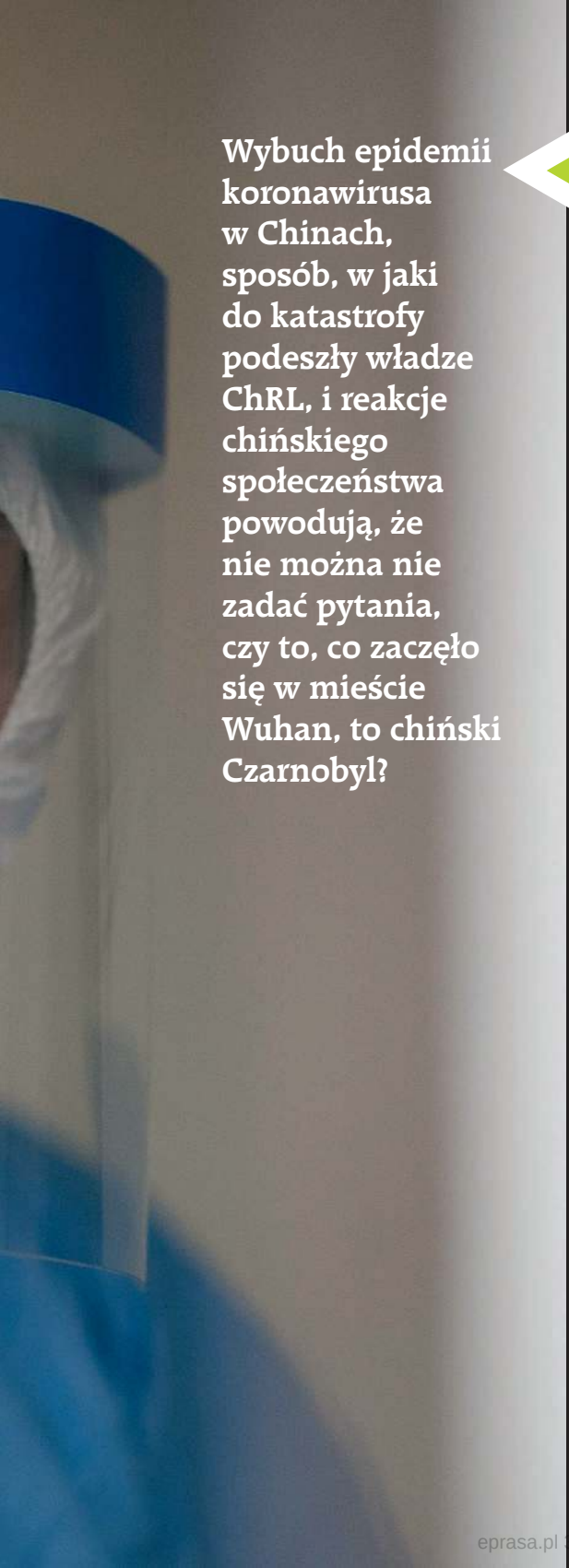

fot. Xiao Yijiu/PAP

Wybuch epidemii koronawirusa w Chinach, sposób, w jaki do katastrofy podeszły władze ChRL, i reakcje chińskiego społeczeństwa powodują, że nie można nie zadać pytania, czy to, co zaczęło się w mieście Wuhan, to chiński Czarnobyl?

28 stycznia na łamach „The Hill", amerykańskiej gazety i strony publikowanej w Waszyngtonie, ukazał się artykuł pt. „Chiński Czarnobyl – inny kraj, te same kłamstwa". Autorzy publikacji, Bradley A. Thayer i Lianchao Han, stwierdzają, że wirus, który rozwinął się prawdopodobnie na początku grudnia ubiegłego roku w chińskim mieście Wuhan i szybko objął swym zasięgiem całe Państwo Środka, a także wiele innych krajów, pokazał, iż dyktatura powoduje, że takie tragedie (również m.in. katastrofa w Czarnobylu), stają się dużo poważniejsze w skutkach, niezależnie od tego, czy przyczyniła się do ich powstania natura czy człowiek.

▶ (Nie)oficjalne dane

W 1986 roku władze ZSRS początkowo kłamały na temat wypadku jądrowego w Czarnobylu. Dopiero fizyczne dowody zmusiły je do ujawnienia prawdy. Tak samo zachowały się komunistyczne władze ChRL w przypadku wybuchu epidemii koronawirusa. Powiadomiły świat o chorobie dopiero 31 grudnia, gdy wykryto już wiele przypadków zachorowań. Media chińskie zaczęły pisać o niej dopiero po wystąpieniu prezydenta Xi Jinpinga 20 stycznia, w którym stwierdził on, że „niezwykle istotne" jest podjęcie wszelkich możliwych środków w celu zwalczania nowego koronawirusa.

Dziś wiemy już, że do pierwszych zachorowań wywołanych koronawirusem COVID-19 w Wuhan doszło co najmniej na początku grudnia ubiegłego roku. Mówi o tym m.in. opublikowany 24 stycznia tego roku w brytyjskim czasopiśmie medycznym „Lancet" artykuł dotyczący epidemii. Autorzy publikacji, chińscy naukowcy, badali 41 przypadków zachorowań, wśród nich jeden z pacjentów był zarażony już 1 grudnia.

Mało też kto wierzy, że dane dotyczące liczby przypadków zachorowań przedstawiane przez chińskie władze są prawdziwe. Od samego początku różniły się od tych, które podawał chiński personel medyczny i zagraniczni eksperci.

W chińskim internecie pojawiło się m.in. nagranie jednej z pielęgniarek, która mówiła o 90 tys. zakażonych, podczas gdy oficjalne dane mówiły wtedy o 1975 chorych. O dużo większej, od tej podawanej przez KPCh, liczbie zakażonych wypowiadali się także eksperci z Uniwersytetu Hongkońskiego. Gdy Pekin donosił o 2800 przypadkach zachorowań, hongkońscy badacze twierdzili, że jest już 44 tys. chorych. Z chińskimi ofi-

eprasa.pl 39be4e0533

cjalnymi danymi nie zgadzają się także zachodni badacze. Raport naukowców z brytyjskich uczelni Uniwersytet w Lancaster i Uniwersytet w Glasgow oraz amerykańskiego Uniwersytetu Florydy stwierdza, że na początku lutego liczba prawdziwa zachorowań mogła już wynosić 250 tys. tylko w samym Wuhan.

Broń z laboratorium?

Pierwsza oficjalna wersja co do źródła wybuchu wirusa też była kłamliwa. Władze twierdziły, że źródłem zakażenia jest targ ryb i owoców morza w Wuhan. Ta teza jednak szybko została obalona. Wspomniany wcześniej artykuł w „Lancet" opisuje m.in. najwcześniejszy jak dotąd przypadek zachorowania wywołanego koronawirusem – z 1 grudnia 2019 roku. „Pacjent zero" nie miał kontaktu ze wymienionym targiem. Nic więc dziwnego, że pojawiły się podejrzenia, iż wirus mógł wydostać się ze znajdującego się około 30 km od targu jedynego w Chinach laboratorium 4. klasy bezpieczeństwa (BSL-4 – najwyższy stopień bezpieczeństwa biologicznego). Już w lutym 2017 roku w artykule, jaki ukazał się w „Nature", jednym z najstarszych i najbardziej prestiżowych czasopism naukowych na świecie, wyrażano wątpliwość co do tego, czy placówka ta może dochować odpowiednich standardów bezpieczeństwa i sugerowano, że może tam dojść do „wycieku" wirusa.

O tym, że wirus powstał w chińskim laboratorium w Wuhan, mówi także chiński miliarder-dysydent Guo Wengui. Guo twierdzi, że jeden z wiodących na świecie ekspertów w dziedzinie broni biochemicznej, który jest także jednym z pierwszych twórców takiej broni, potwierdził w rozmowie z nim, iż ze stuprocentową pewnością można powiedzieć, że koronawirus z Wuhan nie pochodzi od zwierząt, lecz z laboratorium. Guo nie wyjawił nazwiska tego eksperta, ale opisał plan, w jaki komunistyczne władze Chin chciały wykorzystać wirus. Pierwotnym założeniem rządzących według Guo Wenguia było wykorzystanie wirusa do zainfekowania wybranych ludzi w Hongkongu, aby Komunistyczna Partia Chin mogła wykorzystać to jako pretekst do wprowadzenia tam stanu wojennego i ostatecznie zniszczenia hongkońskiego ruchu prodemokratycznego. Jednak sytuacja wymknęła się spod kontroli KPCh, nie wiadomo, czy z powodu sabotażu, czy ludzkiego błędu.

Jedno z kłamstw dotyczących koronawirusa wypowiedział minister spraw zagranicznych Chin Wang Yi w wywiadzie dla agencji Reutersa w połowie lutego tego roku. Mówiąc o działaniach władz Chin w walce z koronawirusem, stwierdził, że „nie tylko bronimy życia, bezpieczeństwa i zdrowia obywateli Chin, lecz także wnosimy wkład na rzecz globalnego zdrowia publicznego i należy to docenić". Słowa te padły w momencie, gdy i Chińczycy, i cały świat nadal nie wiedzieli, jakie są prawdziwe dane dotyczące zachorowań i przypadków śmiertelnych w Chinach i co jest źródłem powstania wirusa, a KPCh nadal nie wyjaśniła, dlaczego tak długo zatajała fakt wybuchu epidemii.

Upadek KPCh?

Katastrofa w Czarnobylu stała się kluczowym czynnikiem ostatecznego rozpadu Związku Radzieckiego w 1991 roku. Nie da się w chwili obecnej powiedzieć, czy koronawirus doprowadzi do upadku rządów komunistów w Chinach. Na pewno jednak widzimy ogromną zmianę w społeczeństwie chińskim – złość wobec władzy i niemalże totalny brak wiary w dostarczany przez nią przekaz dotyczący walki z wirusem.

Wydaje się, że momentem przełomowym dla Chińczyków była śmierć chińskiego lekarza Li Wenlianga. Ten 34-letni okulista z Wuhan już 17 grudnia 2019 roku alarmował władze miasta, że pojawił się niebezpieczny wirus. 30 grudnia ostrzegł innych lekarzy przed epidemią. Na WeChat, chińskim komunikatorze internetowym, napisał do nich: „Potwierdzono siedem przypadków SARS". Li nie wiedział jeszcze wtedy, że chodzi o zupełnie nowy typ koronawirusa. Za te działania spotkały go prześladowania. Został zatrzymany przez przedstawicieli biura bezpieczeństwa publicznego, kazano mu podpisać dokument, w którym zarzucono mu „tworzenie nieprawdziwych uwag", które „poważnie zakłóciły porządek społeczny", i ostrzeżono, że „jeśli będzie uparty i nie zaprzestanie tych nielegalnych działań, zostanie ukarany". Pozwolono mu wrócić do pracy, ale z naganą. Podczas badania jednej z pacjentek zaraził się od niej koronawirusem. Jak twierdził, był kilkakrotnie badany na obecność koronawirusa i za każdym razem testy dawały wynik negatywny. Dopiero 30 stycznia Li ogłosił w sieci społecznościowej, że kolejne badanie wykazało zakażenie i „w końcu postawiono mu diagnozę". Oficjalna data śmierci dr. Li to 7 lutego, ale wiadomo, że zmarł dzień wcześniej, a władze bały się od razu opublikować informacje o jego zgonie.

Śmierć Li Wenlianga stała się emocjonalnym punktem zwrotnym w Chinach, a raczej posłuszni dotąd i bojący się władzy Chińczycy zaczęli zadawać pytania, których nigdy wcześniej nie postawili.

eprasa.pl 39be4e0533

„Oni powinni Cię przeprosić. My winni Ci jesteśmy okazać wdzięczność. Trzymaj się, doktorze Li!", „Dobrzy ludzie nie żyją długo, a zło trwa tysiące lat" – to typowe wpisy chińskich internautów po ogłoszeniu śmierci Li Wenlianga. Blogerzy i internauci zaczęli też pytać, dlaczego ci, którzy od początku chcieli ostrzec własny naród przed niebezpieczeństwem, są karani tak jak dr Li. Pojawiły się stwierdzenia o tym, jak ważna jest wolność wypowiedzi w momentach kryzysowych, takich jak ten, w którym znalazły się teraz Chiny, bo – jak to ujął jeden z internatów – „ci, którzy nie pozwalają nam się wypowiadać, nie pozwolą nam też żyć". Bardzo szybko jednym z najbardziej popularnych hashtagów w internecie stało się zdanie: „Chcę wolności słowa".

Chińczycy zupełnie przestali też wierzyć przekazowi, który płynął z mediów kontrolowanych przez KPCh. Tu dominuje narracja, która ma przekonać Chińczyków, że tylko pod kierownictwem Komunistycznej Partii Chin możliwy jest sukces w walce z epidemią. I tak na przykład jeden z artykułów z 29 stycznia na pierwszej stronie „Dziennika Ludowego" nosił tytuł: „Niech flaga partii wysoko wisi na pierwszej linii walki z epidemią".

Gdy rządowa stacja CCTV opublikowała materiał z pielęgniarką w 9. miesiącu ciąży, która „walczy na pierwszym froncie bitwy z wirusem" w Wuhan, internauci zamiast pisać o bohaterstwie kobiety, przypuścili falę krytyki na media i władze, pisząc, że to nic innego jak materiał propagandowy. „Czy możemy powstrzymać całą tę propagandę? Kto zdecydował, że ten film jest w porządku? Kobiety w ciąży nie powinny być na linii frontu" – pisał jeden z blogerów. „Co to jest? Materiał do celów politycznych? Nie wysyłajcie tam kobiety, która jest w dziewiątym miesiącu ciąży" – czytamy w innym z komentarzy. „Naprawdę uważam, że ta wiadomość... ślepo zalecająca kobietom walkę na linii frontu niezależnie od ich zdrowia... jest naprawdę chora" – dodał inny internauta.

Przez moment, dopóki nie zainterweniowała cenzura, na portalach społecznościowych furorę robiło wideo ze staruszką, która w sklepie krzyczy do obecnych tam klientów: „Obejrzyjcie telewizję. Co tam jest prawdą? Oszukują cały kraj, oszukują cały świat".

Christopher Dickie, dziennikarz portalu Daily Beast, w wypowiedzi dla stacji France24 stwierdził, że wybuch epidemii w Chinach to może jeszcze nie chiński Czarnobyl, lecz z pewnością tzw. zjawisko „czarnego łabędzia" opisane w książce Nassima Nicholasa Taleba „Czarny łabędź. O skutkach nieprzewidywalnych zdarzeń". Owe „czarne łabędzie" to zdarzenia lub zjawiska, które są nieoczekiwane (subiektywnie bardzo mało prawdopodobne), a niosą olbrzymie konsekwencje. Według Dickiego koronawirus COVID-19 „to jest chwila czarnego łabędzia, i od teraz w Chinach i dla Xi Jinpinga nic już nie będzie takie samo".

▶ Chińska walka z Czarnobylem

Tak jak w Czarnobylu, tak w kwestii chińskiego koronawirusa brak transparentności spowodował, że katastrofa stała się niebezpieczna dla całego świata. Codziennie dowiadujemy się o nowych przypadkach zachorowań na różnych kontynentach, w różnych państwach.

Również w obu przypadkach partyjne kierownictwo wyższego szczebla ucieka przed przyjęciem odpowiedzialności. W Związku Radzieckim winę wysokich rangą urzędników przykryto wskazaniem na kozły ofiarne niższego szczebla. To samo dzieje się w Chinach. Xi Jinping przedstawiany jest jako kierujący z sukcesem wojną przeciwko wirusowi, który sam określił demonem. Jak na razie za opóźnioną reakcję i ukrywanie informacji polecieli ze stołków lokalni aparatczycy w Wuhan. A przecież to oni jeszcze w grudniu alarmowali Pekin.

W swoim przemówieniu z maja 1986 roku dotyczącym katastrofy w Czarnobylu Gorbaczow atakował Zachód i mówił o antysowieckiej kampanii. Ta sama retoryka jest widoczna teraz w Chinach. Przedstawiciele chińskich władz i kontrolowane przez komunistów media mówią o tym, że Zachód, a zwłaszcza USA, kreują i sieją panikę, bo pytają o prawdziwe dane dotyczące epidemii albo naciskają na wysłanie własnych ekspertów, by ustalili źródło wybuchu wirusa. Oczywiście ten chiński atak na Zachód, tak samo jak wcześniej atak Gorbaczowa w 1986 roku, to próba odwrócenia uwagi od tego, że komuniści nie poradzili sobie z kryzysem. W przypadku wirusa pozwolili na rozprzestrzenienie się choroby we wczesnych stadiach, a teraz nadrabiają stracony czas, nakładając drakońskie kontrole i... cenzurę. Ta dotknęła nawet komentarzy dotyczących serialu HBO „Czarnobyl". Na chińskim portalu Douban, na którym znajdują się recenzje i opinie na temat filmów, rozgorzała dyskusja o serialu. „W Wuhan tak samo ukryli prawdę", „Nie potrzebujemy kolejnego lotniskowca czy lądowania na Księżycu, lecz wolnego przypływu informacji i niezależnego sądownictwa" – to garstka komentarzy na Douban. Bardzo szybko przyszła odpowiedź chińskiej cenzury – stronę poświęconą serialowi na portalu zablokowano. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Niemcom wolno już (się) zabijać

Olga Doleśniak-Harczuk

Szwajcaria. Kraina serowego fondue, zegarków, książeczek o słodkiej Heidi, referendów, neutralności, bunkrów, bankierów, orkiestr dętych i górskich szlaków. Poza tym kraj liberalnego podejścia do wspomaganego samobójstwa, eutanazji na życzenie, gdzie specjalnie przeszkoleni pomocnicy czuwają nad pomyślnym przebiegiem przejścia na drugą stronę. Liczba chętnych na taką śmierć rośnie z roku na rok. Jeszcze na początku XXI wieku rocznie decydowało się na nią mniej niż 200 osób, w 2017 roku było to już ponad tysiąc. Część z nich stanowili turyści eutanazyjni z Niemiec.

To już pewne, obywatele Niemiec zainteresowani tym, by umrzeć śmiercią samobójczą w asyście wyszkolonych pomocników, nie będą już dłużej musieli jeździć w tym celu do Szwajcarii lub uciekać się do innych wybiegów. 26 lutego 2020 roku Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe uchylił obowiązujący w Niemczech od 2015 roku zakaz komercyjnej pomocy w samobójstwie. Sędziowie uznali, że zakaz narusza wolność wyboru co do odebrania sobie życia, a prof. Andreas Vosskuhle, przewodniczący Trybunału, argumentował, że istnieje prawo do samostanowienia o własnej śmierci i skorzystania przy tym z pomocy osób trzecich, co skutecznie uniemożliwiał wprowadzony w 2015 roku do niemieckiego kodeksu karnego paragraf 217. W całej sprawie najbardziej kluczowe jest to, kto może asystować zazwyczaj ludziom nieuleczalnie chorym, przy zażywaniu śmiertelnej dawki trucizny. Od 2015 roku za komercyjne wspomagane samobójstwo groziła kara więzienia do trzech lat. Dzięki takiemu rozwiązaniu stowarzyszenia oferujące asystę przy samobójstwie nie mogły działać legalnie, co nie oznacza, że zawiesiły działalność. Przemodelowały wyłącznie swój model biznesowy, przenosząc go częściowo do państw, gdzie wspomagane samobójstwo jest legalne, takich jak Szwajcaria. Trybunał analizował zakaz od 2015 roku, kiedy stowarzyszenia eutanazyjne i osoby bliskie osób nieuleczalnie chorych wniosły do niego skargę.

Najczarniejszy Popielec

„Ten dzień przejdzie do historii jako najczarniejsza środa popielcowa powojennych Niemiec" – napisali w wydanym w dniu wyroku komunikacie członkowie grupy „CDU za życiem". „Witamy w państwie świeckim!" – z zadowoleniem przyjął wyrok były senator CDU, Roger Kusch, najsłynniejszy orędownik śmierci na życzenie Niemiec, o którym „Nowe Państwo" jako pierwsze medium pisało już w 2009 roku. Kusch nie próżnował przez ostatnie jedenaście lat. Prowadził działalność w Hamburgu i Zurychu, wykorzystując luki w niemieckim prawie tak, by eutanazja na życzenie mogła być wykonywana również na jego rodakach. W wywiadzie udzielonym ARD na gorąco po ogłoszeniu wyroku z Karlsruhe, Kusch zapewniał: „Oczywiście, że wykorzystamy szansę, która teraz nam się nadarza. Mamy dwa stowarzyszenia, jedno w Hamburgu i jedno w Zurychu, one się uzupełniają i współpracują ze sobą. W ostatnich dwóch latach pomagaliśmy wielu Niemcom na terenie Szwajcarii. Organizowaliśmy wszystko w Zurychu, ale śmierć następowała w Niemczech, nie zajmowaliśmy się turystyką eutanazyjną, ale sprawną organizacją". Fakt, niemieccy pacjenci nie byli uśmiercani w Szwajcarii, lecz przez swoich bliskich w Niemczech, wcześniej instruowanych w Zurychu co do procedury. „Rekrutacja" uprawnionych do procedury odbywała się w drodze telekonferencji. Lekarze zatrudniani w stowarzyszeniu Kuscha oceniali, czy aby chory na pewno chce się zabić, następnie jego bliscy udawali się do Zurychu po odbiór trucizny aplikowanej już później na miejscu. W tym sensie turystyka eutanazyjna nie tyczyła się samych umierających, lecz raczej ich rodzin zaangażowanych w procedurę uśmiercania na życzenie.

Na pytania dziennikarza, czy zarabia na wspomaganym samobójstwie (stawki za taką usługę wahają się od 7 do 8 tys. euro), Kusch odpowiedział, że jego „stowarzyszenie ma duże wydatki i musi mieć wpływy, ale nie jest przecież spółką akcyjną, a te 7–8 tys. euro za śmierć to tylko pokrycie kosztu procedury. a nie zysk. Zwłaszcza że nie wszystkich członków stowarzyszenia stać na zapłacenie, więc ci, których stać, płacą przy okazji za tych mniej zamożnych". Kusch podkreślał, że praca jego stowarzyszenia polega przede wszystkim na pośredniczeniu między tymi, którzy chcą umrzeć, a lekarzami gotowymi asystować, i skrytykował przy okazji pomysł Jensa Spahna, ministra zdrowia Niemiec, który na wieść o wyroku Trybunału absolutnie zaskoczony zaproponował, by w takim razie wprowadzić czas oczekiwania dla chętnych samobójców w celu zweryfikowania, czy ich decyzja jest ostateczna i nie wynika chociażby z presji osób trzecich. Zdaniem Kuscha takie postawienie sprawy jest „nieludzkie".

Początki Pana Gilotyny

Roger Kusch w 2002 roku objął z ramienia CDU posadę senatora sprawiedliwości w Hamburgu. Ze względu na konfliktowy sposób bycia szybko zarobił sobie wśród współpracowników i oponentów na miano „uśmiechniętej gilotyny". Na przełomie 2005 i 2006 roku Kusch zaczął występować z postulatem zalegalizowania eutanazji, co wywołało szok nie tylko w szeregach CDU. W marcu 2006 roku polityk został pozbawiony swojej funkcji, krótko po tym wystąpił

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 39be4e0533

z CDU, do której należał przez ostatnie 34 lata swego życia, i założył nową partię, mającą stanowić alternatywę dla chrześcijańskiej demokracji.

W licznych wywiadach prasowych Kusch swoją decyzję wystąpienia z partii argumentował coraz bardziej socjalistycznym profilem CDU. Nie pochwalał polityki Angeli Merkel i kompromisów zawieranych z SPD w ramach rządowej koalicji. W programie nowej partii znalazły się postulaty zaostrzenia walki z narkotykami, rezygnacja z prawa antydyskryminacyjnego, zlikwidowanie prawa karnego dla młodocianych, zliberalizowanie przepisów dotyczących eutanazji i zniesienie nakazu... wyprowadzania psów na smyczy. Świadomy antyislamskich nastrojów w Niemczech, Kusch z czasem wzbogacił swój program o walkę z muzułmańskim zagrożeniem i młodocianymi przestępcami o imigranckich korzeniach. W wyborach komunalnych w Hamburgu w 2008 roku były senator CDU dostał wsparcie od Jörga Haidera, który częściowo popierał program nowej partii.

Mimo sporych funduszy i zakrojonej na dużą skalę kampanii promocyjnej, Kusch nie uzyskał jednak zadowalającego wyniku w wyborach. Ostatecznie rozwiązał partię i całą uwagę poświęcił liberalizacji prawa do eutanazji. Jego maszyna śmierci, czyli zasilana prądem pompa z dwiema strzykawkami uruchamiana za pomocą przycisku, nie schodziła z pierwszych stron gazet. Kusch występował w talk-show, opowiadał o potrzebie zalegalizowania eutanazji, pokazywał zdjęcia swojej maszyny. Na stronie internetowej ogłosił nawet plan masowej produkcji maszynek do zabijania, które miał sprzedawać z trucizną i instrukcją obsługi. Dodatkowo oferował asystę przy śmierci, a cenę „pomocy" wyceniał do 8 tysięcy euro. 29 czerwca 2008 roku Kusch złamał ostatecznie tabu. Towarzyszył starszej kobiecie podczas samobójstwa. Okazało się, że kobieta nie była nieuleczalnie chora ani niedołężna, ale bała się samotności. Tym razem w sprawę włączyła się prokuratura. W lutym 2009 roku sąd administracyjny w Hamburgu zakazał Kuschowi dalszego „udzielania pomocy". Zdaniem sądu sam fakt towarzyszenia samobójcy nie był karalny, lecz komercjalizowanie śmierci, traktowanie jej jako źródła dochodu zostało uznane za sprzeczne z prawem.

W kwietniu 2009 roku Kusch udzielił wywiadu magazynowi „Hometown". Zapytany, czy nie żałuje metod, jakimi posłużył się w swojej batalii o zalegalizowanie eutanazji, odpowiedział: „Wiem z doświadczenia, że metody mniej rzucające się w oczy, cichsze – nic by mi nie dały. Feministki i homoseksualiści też nie byli szczególnie powściągliwi w dochodzeniu swych praw. To prowokacyjne zachowania umocniły ich pozycję". Ta uwaga Kuscha nie wzięła się z powietrza, były polityk CDU sam wcześniej przyznał się do swojego homoseksualizmu, a hamburski senat w czasie jego urzędowania jako quasi-landowego ministra sprawiedliwości nazywano „różowym" ze względu na liczne coming-outy urzędujących w nim polityków. W sierpniu 2012 roku Kusch założył w Szwajcarii Stworzyszenie Sterbehilfe Deutschland, gdzie mogli się zwracać bliscy chorych zdecydowanych na wspomaganą śmierć, ale siedziba formalnie pozostała w Hamburgu. Pod koniec stycznia 2018 roku media katolickie w Niemczech pisały o tym, że Kusch liczy na pozytywne rozstrzygnięcie w Karlsruhe i jak tylko zapadnie pozytywny dla niego wyrok, wróci do Niemiec z pełnym pakietem usług, który trzeba było zredukować wraz z wejściem w życie zakazu komercyjnego wspomagania samobójstw w grudniu 2015 roku.

Podzielony Bundestag

Wyrok Trybunału w Karlsruhe zadowolił nie tylko Rogera Kuscha i osoby prywatne, które domagały się zalegalizowania wspomaganego samobójstwa. Decyzja sędziów satysfakcjonuje też niemieckich polityków FDP, którzy pięć lat temu sprzeciwiali się wprowadzeniu zakazu i przez kilka ostatnich lat lobbowali na rzecz jego zniesienia. W 19. Kadencji Bundestagu, 10 października 2018 roku do niemieckiego parlamentu wpłynął wniosek członków frakcji FDP podpisany przez Christiana Lindnera, w którym wzywano rząd federalny do przedłożenia projektu ustawy znoszącej paragraf 217, która zezwalałaby osobom nieuleczalnie chorym na zakup środków umożliwiających popełnienie wspomaganego samobójstwa. Reakcją na ten wniosek było zwołanie posiedzenia Komisji Bundestagu ds. Zdrowia, 20 lutego 2019 roku, któremu przewodził Edwin Rüddel z frakcji CDU/CSU. Komisja doszła do wniosku, że z jakąkolwiek decyzją należy się wstrzymać do czasu, aż Trybunał w Karlsruhe wyda długo oczekiwany wyrok. Teraz, kiedy sędziowie zadecydowali, w Bundestagu dojdzie zapewne do gorącej dyskusji. Dodatkową stroną w sporze są Kościoły i Federalna Izba Lekarska (BÄK), która wielokrotnie podkreślała, że lekarze są m.in. po to, by udzielać pomocy umierającym, ale nie w umieraniu. Niemiecka Rada Etyki również stoi na

eprasa.pl 39be4e0533

stanowisku, że zamiast zabijać pacjentów, należałoby jeszcze bardziej rozbudować bazę hospicyjną i opiekę paliatywną, a Sigrid Grauman z Rady Etyki przestrzegała przed zrutynizowaniem śmierci na życzenie na podstawie najbardziej skrajnych przypadków. Politycy CDU i CSU, którzy byli inicjatorami zakazu wspomaganego samobójstwa w 2015 roku, są przerażeni wyrokiem Trybunału.

Michale Brandt, który pięć lat temu uczestniczył w pracach nad nowym prawem, nie ma wątpliwości, że ten wyrok dla wielu osób noszących się z zamiarem samobójstwa, a których decyzja wynika z presji osób trzecich, będzie miał fatalne skutki. Kiedy w 2015 roku politycy zastanawiali się nad najlepszym z możliwych rozwiązań, zdecydowano się na najostrzejszy z czterech wtedy rozważanych wariantów. Pozbawienie wolności do lat trzech za udzielanie pomocy w samobójstwie miało być ciosem w stowarzyszenia czerpiące z tego profity, takie jak Dignitas. Zdaniem przeciwników zakazu, restrykcyjne przepisy tylko przyczyniły się do kryminalizacji środowiska lekarskiego. Argumenty zwolenników wspomaganego samobójstwa przypominały przy tym te środowisk proaborcyjnych. Znowu w centrum znalazło się prawo do odbierania życia i rzekomego samostanowienia. Swoją drogą, sędziowie nieźle wybrali moment na rozpalenie kolejnej debaty o życiu i śmierci. W samym środku paniki związanej z możliwą epidemią koronawirusa w Niemczech. W dzień ogłoszenia wyroku Jens Spahn z posępną miną informował media o tym, że „Niemcy właśnie stanęły na progu epidemii". Paniczny lęk przed śmiercią spotkał się w środę popielcową A.D. 2020 z lękiem przed odmową śmierci. A media liberalne z satysfakcją odkryły, że zakaz z 2015 roku był inspirowany również przez środowiska kościelne. Faktycznie, zaskoczenie. Kościół za życiem. Większym zaskoczeniem jest raczej reakcja Dirka Adamsa, szefa frakcji Zielonych w Turyngii, który z niepokojem zareagował na uchylenie zakazu. Adams absolutnie wbrew zielonemu trendowi by dopuścić wspomagane samobójstwo, wyznał, że jest to dla niego nie do przyjęcia jako dla chrześcijanina. W Turyngii ostatnio sporo się dzieje, jak widać tamtejsi Zieloni są bardziej czarni niż niektórzy chadecy.

▶ Zdesperowany reżyser życia

Ten, kto całe życie jest reżyserem swojego życia, chce nim pozostać nawet w chwili śmierci – to motto wytłuszczone na stronie internetowej stowarzyszenia Sterbehilfe Deutschland. Aby jednak móc skorzystać z usług tego kółka amatorów sztuki filmowej, trzeba wypełnić zgłoszenie i pozyskać członkostwo. Podstawowe dane, przelew na 50 euro za rok członkostwa, koperta wysłana na hamburski adres, wszystko. A potem już tylko czekanie na finał i kilka tysięcy euro na pokrycie kosztów procedury. Roger Kusch już zaczął rekrutację lekarzy chętnych do współpracy. Dzięki Karlsruhe interes ruszy z kopyta. Może już niedługo w Niemczech tak jak w Holandii pojawią się mobilne punkty eutanazyjne, z wolontariuszami przynoszącymi śmierć już za 180 euro od ampułki. Szwajcarzy są jeszcze dalej. Na początku lutego kantony porozumiały się co do umożliwiania wspomaganego samobójstwa więźniom. Nie, niekoniecznie z uwagi na nierokujący poprawy stan zdrowia, lecz ze względu na odczuwany brak sensu życia, niekomfortowe warunki bytowania etc. Na jesieni mają w tej sprawie zapaść ostateczne decyzje. Na razie szwajcarskie tabloidy żyją historią 69-letniego pedofila, Petera Vogta, który zaapelował do stowarzyszenia Exit (jedna z głównych organizacji eutanazyjnych Szwajcarii) o pomoc w zorganizowaniu wspomaganego samobójstwa za kratami. Vogt nie ma szans wyjść z więzienia, jego przypadek jest uznawany za beznadziejny, sprawca nie rokuje poprawy, poza tym cierpi na nieuleczalną chorobę układu oddechowego wymagającą transplantacji płuc, ma problemy z oddychaniem i poruszaniem się, waży około 160 kilo. Czy spełnia wszelkie warunki, by przejść na drugą stronę z Exitem? Zdaniem stowarzyszenia – jak najbardziej. Jego przypadek jest szczególny, ponieważ to od niego zaczęła się debata o wspomaganym samobójstwie w więzieniach, czy aby osoba odsiadująca wyrok ma prawo decydować o swoim życiu, czy przypadkiem do więzień szwajcarskich tylnymi drzwiami nie wprowadza się kary śmierci... Vogt już wie, że umrze 13 sierpnia 2020 roku w godzinę swoich 70. urodzin. Woli, by stało się to w otoczeniu bliskich, a nie na sznurze przy kaloryferze lub z plastikowym workiem na głowie. Tak kończyli jego koledzy. Za kilka miesięcy Vogt umrze, zgodnie z prawem i z pomocą ampułki z trucizną. W kolejce ustawią się kolejni. A licznik Dignitas, Exit i Sterbehilfe Rogera Kuscha bije. W 2019 roku z ostatecznej posługi Exitu skorzystały 862 osoby, z Dignitas opuściło świat 256 pacjentów. Teraz czas na Niemcy i tych, którzy na biznesie z samobójstwem „nie zarabiają ani euro". Taki zwykły wolontariat. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Ostatnio głośno zrobiło się o nich w Libii, gdzie toczy się krwawa wojna domowa. Ale rosyjscy najemnicy obecni są też w innych krajach Afryki. Najwięcej informacji jest o ich działalności wojskowej w Sudanie, Republice Środkowoafrykańskiej i Mozambiku, ale wiadomo też, że to nie są jedyne kraje na Czarnym Lądzie, gdzie pojawiły się rosyjskie „psy wojny".

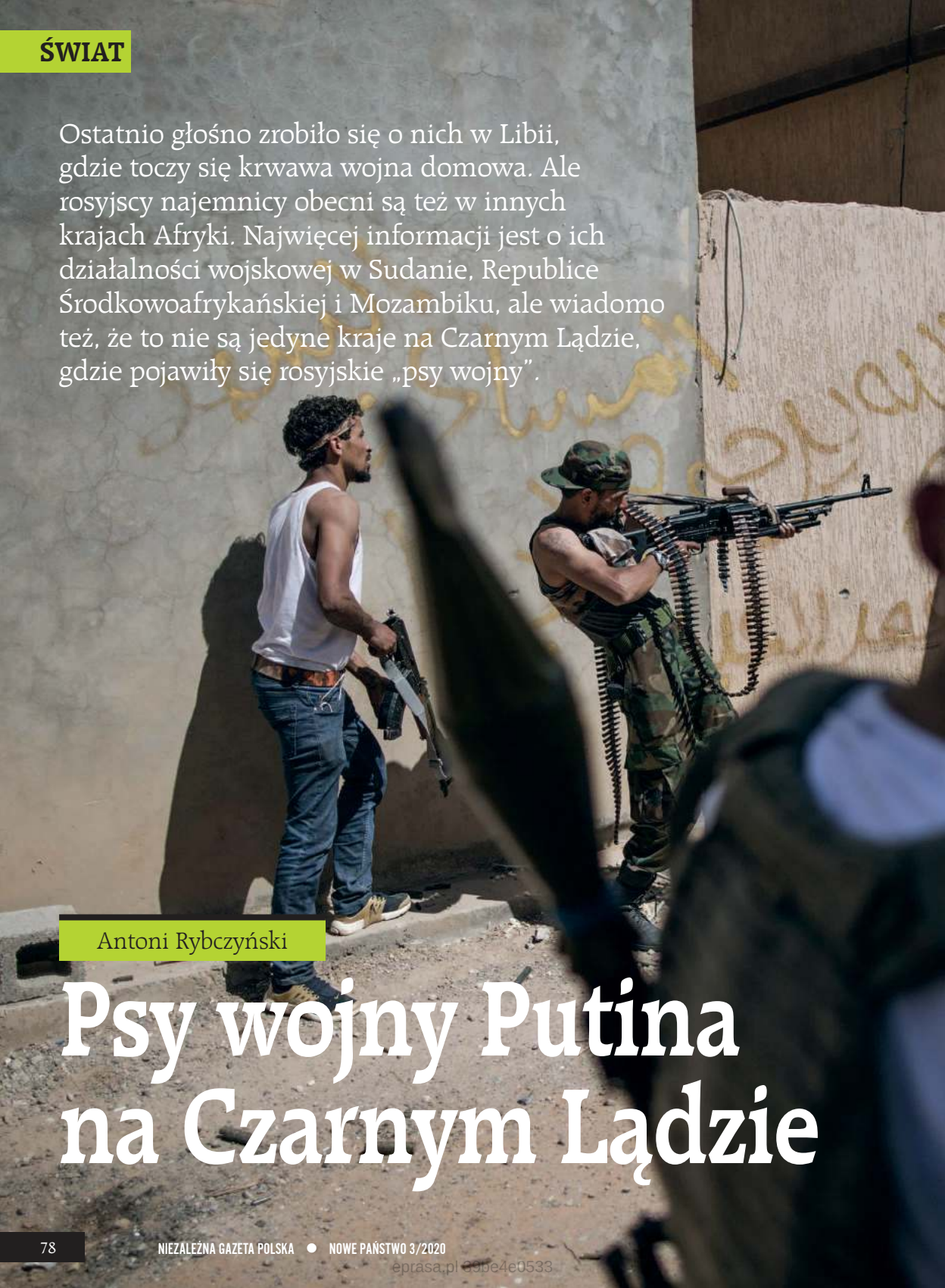

Antoni Rybczyński

Psy wojny Putina na Czarnym Lądzie

eprasa.pl 39be4e0533

fot. Amnu Salahuddien/PAP

Niewątpliwie mówić można o wielkim powrocie Moskwy do Afryki. Związek Sowiecki traktował ten kontynent jako jeden z ważnych frontów walki z Zachodem. Dziś Afryka jest dla Władimira Putina polem rywalizacji z USA. Głównym kuratorem Kremla nad działaniami w Afryce, także tymi dotyczącymi najemników, jest doświadczony dyplomata Michaił Bogdanow. Oficjalnie. Nieoficjalnie najważniejszą postacią jest Jewgienij Prigożin. Jeśli kiedyś Sowieci wysyłali tam broń i swoich doradców wojskowych, dziś Kreml ma więcej narzędzi: nie tylko sprzedaż broni, nie tylko szkolenia wojskowe, lecz także najemnicy, którzy biorą udział w bezpośrednich walkach. W większości są to tzw. wagnerowcy, czyli członkowie prywatnej spółki wojskowej pod nazwą Kompania Wagnera, sponsorowanej przez przyjaciela Putina, Prigożina, wspieranej przez rosyjską armię i służby specjalne. „Eksport bezpieczeństwa" Kreml rozumie w dwóch aspektach. Pierwszy, to sprzedaż broni do Afryki. Rosja jest dziś największym sprzedawcą broni na kontynent afrykański (35 proc. udziałów w rynku). Drugi aspekt to zapewnienie usług doradztwa w kwestiach bezpieczeństwa (szkolenia i wsparcie). Oznacza to tak naprawdę wysyłanie najemników. Prywatne spółki wojskowe, czyli najemnicy, funkcjonują w wielu krajach na świecie. Problem z tymi rosyjskimi polega na tym, że ani nie są one prywatne, ani wojskowe, ani nawet nie są spółkami. Dlatego też nie są wciąż zalegalizowane, choć działają często w interesie państwa i ludzi Kremla, są przez państwowe instytucje (armia, służby) wspierane. Moskwa posługuje się nimi tam, gdzie nie może wystąpić oficjalnie, tam, gdzie nie może wysłać regularnego wojska. Wysyła najemników w strefy wojenne, by wspierali jedną ze stron, czy też w rejony bogate w surowce naturalne, by ochraniali rosyjskie inwestycje i koncesje. Widać to szczególnie w Afryce.

Przyjaciele generała

Przyczółkiem wpływów rosyjskich na Czarnym Lądzie ma być Libia, pogrążona w chaosie od 2011 roku, od czasu popartego przez NATO powstania, w którym zabity został wieloletni dyktator Muammar Kadafi. Ten bogaty w ropę kraj od 2014 roku jest podzielony na konkurujące ze sobą frakcje polityczne i wojskowe z Trypolisu i ze wschodu kraju. Od kilku lat toczy się regularna wojna domowa. Z jednej strony jest rząd jedności narodowej (GNA) Mustafy as-Saradża, urzędujący w Trypolisie i popierany przez ONZ, z drugiej zaś samozwańcze wła-

eprasa.pl 8ebe4e0533

dze w Tobruku na wschodzie Libii. To ci drudzy zyskali przewagę – dzięki Libijskiej Armii Narodowej (LNA), największej dziś formacji zbrojnej w Libii, dowodzonej przez generała Chalifę Haftara. W ciągu kilku lat podporządkował sobie wschód Libii, potem południe. Nie tylko siłą, lecz także przekupując plemienne starszyzny. Wreszcie postanowił wykonać decydujące uderzenie. W kwietniu 2019 roku ruszyła wielka ofensywa na Trypolis. Z mniej lub bardziej widocznym poparciem ZEA, Arabii Saudyjskiej, Egiptu, Francji i Rosji, Haftar szybko zajmował ogromne połacie kraju – wydawało się że upadek stolicy to kwestia dni, góra tygodni. Tymczasem jednak, po początkowych sukcesach, LNA utknęła na przedpolach Trypolisu. Mija niemal rok, a siły najpotężniejszego libijskiego warlorda nie są bliższe wiktorii niż w kwietniu 2019 roku. Pozycyjna wojna wymaga dużych nakładów finansowych i środków militarnych. Haftar w dużym stopniu jest zależny do wsparcia zagranicznych sojuszników/protektorów. W lipcu 2019 roku on i jego ludzie jeździli do ZEA i Arabii Saudyjskiej. Popłynęły petrodolary i Haftar mógł zacząć werbować dodatkowych żołnierzy we wschodniej Libii oraz w sąsiednich Sudanie i Czadzie. Jednak 23 września 2019 roku szef MSW rządu jedności narodowej Fathi Bashagha powiedział telewizji Al-Ahrar, że Haftar najpierw posiłkował się sudańskimi żołnierzami, „ale gdy oni zawiedli, postawił na kompanię Wagnera".

Kreml wspiera przede wszystkim Chalifę Haftara – przywódcę zbuntowanej Libijskiej Armii Narodowej (LNA), będącej zbrojnym ramieniem rządu w Bengazi – „równoległego" do uznawanego przez społeczność międzynarodową rządu jedności narodowej w Trypolisie. Choć z tym drugim też utrzymuje dobre relacje. Choć Rosja próbuje grać na wszystkie strony w wojnie domowej w Libii, to akurat swoich najemników wysyła na pomoc tylko marszałkowi Haftarowi, który od niemal roku usiłuje zdobyć Trypolis, a więc i pełnię władzy w Libii. Pod koniec grudnia prezydent Turcji, wspierającej wrogów Haftara, mówił, że liczba Rosjan walczących w Libii sięgnęła 2000. W strefie walk w Libii znajdują się rosyjscy najemnicy – informował już 27 września 2019 roku Conflict Intelligence Team (CIT), zespół dziennikarzy i ekspertów śledzący poczynania sił zbrojnych Rosji. Według tych ustaleń najemnicy działają po stronie Haftara, walczącego z uznawanym przez społeczność międzynarodową Rządem Jedności Narodowej w Trypolisie. Wszystko wskazywało na to, że są to członkowie tzw. grupy Wagnera, prywatnej spółki najemniczej finansowanej przez Jewgienija Prigożina, biznesmena z bliskiego kręgu Władimira Putina.

Strategia Kremla

Wagnerowcy nie byli pierwszymi rosyjskimi najemnikami, którzy postanowili zarobić na libijskiej wojnie. Już w 2016 roku założona przez byłych oficerów GRU i FSB (jej szef Oleg Krinicyn jest absolwentem Wyższej Szkoły KGB) prywatna spółka wojskowa RSB-Grupp zawarła kontrakt z generałem Haftarem. Na jego mocy około 100 rosyjskich saperów aż do lutego 2017 roku rozminowywało instalacje przemysłowe w Bengazi. W marcu 2019 roku brytyjski „The Telegraph" poinformował, że w mieście Bengazi przebywa około 300 rosyjskich najemników. Wszystkie te doniesienia nie były jednak potwierdzone dowodami i tak szczegółowe, jak to, co udało się ustalić dopiero teraz. Nie tylko na temat wagnerowców, lecz także drugiej części aktywności w Libii „kucharza Putina", jak mówi się o Prigożinie z racji na jego biznesowe dokonania w cateringu. W listopadzie 2018 roku przedsiębiorca pojawił się na oficjalnych rozmowach na Kremlu ministra obrony Rosji Siergieja Szojgu i generała Haftara. Już wtedy stało się jasne, że Prigożin zaangażuje się w Libii, tak jak wcześniej w Syrii, Sudanie i paru innych afrykańskich krajach. I to zaangażowanie wcale nie jest tak jednoznaczne. Kreml w Libii gra bowiem na kilku fortepianach i unika jednoznacznego opowiedzenia się po jednej ze stron. Dlatego choć od paru lat najbardziej demonstracyjnie przyjaźni się z Haftarem i wysyła mu najemników, to jednocześnie zawiera kontrakty z rządem w Trypolisie. A na tym nie koniec. Od kilku lat rosyjskie interesy w Libii wiąże się na ogół z Haftarem. Tymczasem co najmniej od początku

Rosyjscy specjaliści angażują się w pomoc w obszarze informacyjnym i politycznym w różnych krajach Afryki. Prowadzą kampanie w mediach społecznościowych (m.in. budują popularność syna Muammara Kadafiego w Libii) i wspomagają swym know-how różne rządowe media.

eprasa.pl 39be4e0533

2019 roku Kreml bardziej stawia na dywersyfikację swoich wpływów. Moskwa niepokoi się o lojalność Haftara. Jeśli nawet Rosjanie będą chcieli coraz mocniej stawiać na Saifa al-Islama, syna Kadafiego, to jest to pieśń dalekiej przyszłości. Obecnie liczą się tak naprawdę tylko Haftar i rząd w Trypolisie. Moskwa musi sobie jednak w Libii poczynać nadzwyczaj ostrożnie. Ogromne jest ryzyko nadepnięcia na odcisk któremuś z innych obcych graczy. Choćby wspierającej rząd w Trypolisie Turcji, z którą Putin próbuje zacieśniać współpracę w Syrii, energetyce i zbrojeniówce. Ale są też popierający Haftara Egipt, ZEA i Arabia Saudyjska. Z Kairem Moskwa ma obecnie znakomite relacje, a z Saudami próbuje się zbliżyć nie tylko w obszarze polityki naftowej.

Najemnicy rosyjscy są cennym wzmocnieniem sił Haftara ze względu na ich bojowe doświadczenie i specjalistyczne wojskowe umiejętności. Choć rząd w Trypolisie miał stworzyć listę 600–800 rosyjskich najemników walczących w Libii, to jednak wydaje się, że ta liczba jeszcze do początku stycznia 2020 roku była sporo niższa. Dopiero w styczniu zaczęła szybko rosnąć wraz z przyjazdem członków Moran Gropu i Shchit, co jest odpowiedzią na napływające bojówki syryjskie. Przyjazd Moran i Shchit oznacza coraz większą specjalizację usług wojskowych świadczonych przez Rosjan oddziałom Haftara. W przypadku Moran chodzi głównie o ochronę VIP-ów czy działania na morzu (Moran ma własną flotę). Należy pamiętać, że Moran Security Group to właściwie konsorcjum wielu mniejszych grup najemników. I jest powiązane mocno z Kompanią Wagnera. Z kolei druga prywatna spółka wojskowa Schchit (po angielsku Shield) funkcjonuje dopiero od 2018 roku. Ma główną bazę pod Moskwą obok bazy wojsk powietrzno-desantowych. Jest powiązana z armią i działa już w Syrii. Tam ochrania obiekty przemysłowe, więc także w Libii mogła otrzymać takie zadanie: ochrony instalacji naftowych. We wrześniu 2019 roku rosyjscy najemnicy ponieśli ciężkie straty w walkach o Trypolis. Zginęło co najmniej 35 Rosjan. Wagnerowcy na własnej skórze poczuli, że Libia to nie Syria – wszak w Libii nie ma formalnie działających regularnych wojsk rosyjskich. Nie jest wykluczone, że ciężkie straty Rosjan w tym czasie to efekt ataków ze wsparciem tureckich dronów. To byłaby w pewnym sensie powtórka z Syrii, gdzie w lutym 2018 roku w Dolinie Eufratu lotnictwo amerykańskie zdziesiątkowało wagnerowców. Mniej więcej w połowie stycznia rosyjscy najemnicy zostali wycofani z frontu walk pod Trypolisem. Oficjalnie miał być to element porozumienia Putina z Erdoganem dotyczącego Libii i Syrii, ale tak naprawdę wagnerowcy się wycofali, bo dostali krwawą lekcję od sił rządu w Trypolisie wspieranych przez Ankarę.

Afrykańska awantura

Inną nauczkę rosyjscy najemnicy dostali w Mozambiku. W sierpniu 2019 roku w Moskwie prezydent tego kraju Filipe Nyusi spotkał się z Putinem. Zaprosił Rosjan do inwestowania w Mozambiku, obiecując korzystne kontrakty. Sęk w tym, że to kraj nie tylko bogaty w zasoby naturalne, lecz także przedstawiający wiele ryzyk dla zagranicznych inwestorów. Tymczasem Moskwa chciała tu zastosować „model syryjski". W zamian za usługi paramilitarne chciała praw do wydobycia minerałów. Mniej więcej miesiąc po wizycie prezydenta Mozambiku w Moskwie, na lotnisku Nacala wylądowało około 200 rosyjskich najemników. Mieli pomóc rządowi walczyć z islamskimi radykałami w północnym regionie kraju, Cabo Delgado, bogatym w gaz. Rosjanie szczycili się, że wypchnęli z rynku zachodnich konkurentów (głównie z Afryki Południowej), ale już po paru tygodniach mieli straty. W pierwszym starciu z lokalnymi rebeliantami wagnerowcy stracili pięciu ludzi. Pojawiły się doniesienia, że kompania opuściła Mozambik (nie wiadomo jednak, czy na stałe). Nie jest to kraj, który budzi największe pożądanie Rosjan na kontynencie afrykańskim.

Moskwa rozwija swoją obecność w Republice Środkowoafrykańskiej, pogrążonej od kilku lat w wojnie domowej. Poza stolicą kraju Bangi rząd prezydenta Faustin-Archange'a Touadery ma niewiele do powiedzenia. Rebelianci różnej proweniencji kontrolują około 80 procent kraju. Niewiele pomaga obecność sił pokojowych ONZ. Republika Środkowoafrykańska to była kolonia francuska i to Paryż miał tu zawsze najwięcej do powiedzenia. Francuzi byli tak pewni siebie, że w grudniu 2017 roku nie sprzeciwili się decyzji ONZ otwierającej drogę dla dostaw rosyjskiej broni. Moskwa dostarczyła m.in. 5,2 tys. pistoletów automatycznych i 900 pistoletów Makarowa na wyposażenie dwóch batalionów regularnego wojska RŚA. Rosja rozpoczęła swoją ofensywę w centrum Czarnego Lądu na jesieni 2017 roku, gdy w Soczi Siergiej Ławrow przyjął prezydenta Touaderę. Moskwa uzyskała od Rady Bezpieczeństwa wyjątek w embargu na broń. Uznano bowiem rosyjską inicjatywę za element międzynarodowych wysiłków (w tym wojskowej misji szkoleniowej UE) na rzecz podniesienia zdolności bojowych armii i sił bezpieczeństwa RŚA. Rosja poinformowała niedługo później komisję ONZ nadzorującą embargo o swej misji szkoleniowej w Republice Środkowoafrykańskiej. Rosjanie mieli realizować szereg zadań, m.in.: eskortować konwoje materiałów budowlanych dla szpitali, zabezpieczać szpitale wspierane finansowo przez Rosję, szkolić w obsłudze rosyjskiej broni. „Instruktorzy" to w rzeczywistości najemnicy z Kom-

eprasa.pl 39be4e0533

panii Wagnera. Na dodatek oprócz szkolenia miejscowych żołnierzy zajęli się również ochroną osobistą prezydenta Touadery. Rosjanin został także doradcą prezydenta ds. bezpieczeństwa. Rosjanie prowadzą podwójną grę. Oficjalnie pomagają rządowi, a jednocześnie intrygują z liderami rebeliantów. Dwaj z nich, Michel Djotodia, były prezydent RŚA, oraz Noureddine Adam, lider muzułmańskiej formacji Odrodzenie Republiki Środkowoafrykańskiej, są objęci sankcjami USA i ONZ. Rebelianci kontrolują większość kraju, w tym obszary bogate w ropę, uran i diamenty. Moskwa zapewnia, że dąży do przywrócenia pokoju w RŚA. Służyć temu ma właśnie wsparcie sił rządowych bronią i szkoleniami. W 2018 roku zaczął się bowiem proces wydawania koncesji na eksploatację. Lobaye Invest i Sewa Security Services ściśle ze sobą współpracują i są kontrolowane przez tego samego biznesmena – Jewgienija Prigożina, przyjaciela Putina. Ale też – co najważniejsze w tym kontekście – sponsora spółki najemniczej Kompania Wagnera. Lobaye Invest jest spółką zależną M-Invest (działa też w sąsiednim Sudanie), zaś pod szyldem Sewa Security Services działają po prostu wagnerowcy. Zajmują się przewozem sprzętu wydobywczego ze stolicy RŚA Bangi do kopalń oraz jego ochroną. Pracownicy Lobaye Invest kontrolują zaś wydobycie diamentów niedaleko Bernego. Rosjanie są też w kopalni złota Ndassima, która leży około 50 km od Bambari. Wcześniej należała do kanadyjskiej spółki Axmin, w 2013 roku zajęli ją rebelianci, a teraz dopuścili tam nieoficjalnie Rosjan – zapewne za udział w zyskach.

Nie tylko Sudan

Zamach stanu w Sudanie w kwietniu 2019 roku obalił Baszira, ale nie oznaczał końca obecności rosyjskich najemników w tym kraju. Nie tylko okazali lojalność wobec nowych władz, lecz także później pomogli im w likwidacji próby puczu realizowanej przez agentów bezpieki Baszira. Równolegle z ekspansją w Republice Środkowoafrykańskiej Rosjanie mocno weszli do Sudanu. Także tutaj, poza względami geopolitycznymi, kryją się za tym motywy biznesowe. W 2016 roku Sudan zajmował trzecie miejsce w Afryce pod względem poziomu wydobycia złota – ponad 90 ton rocznie. W 2017 roku rząd w Chartumie planował osiągnąć 100 ton i wejść do pierwszej dziesiątki na świecie. Udało się nawet przekroczyć ten pułap. W listopadzie 2017 roku do Soczi (na ogół tutaj właśnie Rosjanie goszczą delegacje z Afryki) przyleciał prezydent Sudanu, Omar Baszir. Najpierw rozmawiał z prezydentem Władimirem Putinem i ministrem obrony Siergiejem Szojgu o możliwości założenia rosyjskiej bazy wojennej na wybrzeżu Morza Czerwonego. Potem Baszir spotkał się z premierem Dmitrijem Miedwiediewem. Wśród podpisanych umów gospodarczych były również te przyznające koncesje na wydobycie złota w Sudanie rosyjskiej spółce M-Invest. Spółka zależna tej firmy w Sudanie, Meroe Gold, już przystąpiła do rozpoznania złóż minerałów. Chodzi o pięć lokalizacji, a w prace zaangażowanych jest około 50 specjalistów. M-Invest została zarejestrowana w lutym 2017 roku w Sankt Petersburgu. Jej szef i właściciel Andriej Mandel wcześniej stał na czele spółki Eurogrup, związanej z Prigożinem. Drugi właściciel M-Invest to Jewgienij Uszakow, związany z właścicielami firmy Megaline – spółki, połowa której do 2011 roku należała do spółki Konkord Management and Consulting Prigożina. Sudan jest więc kolejnym, po Syrii i Republice Środkowoafrykańskiej, krajem, gdzie zyski ze złóż naturalnych chce czerpać przyjaciel Putina. I również tutaj działalność jego spółek ochraniają wagnerowcy. Wyprawili się z geologami do Sudanu już w grudniu 2017 roku. W lutym 2018 roku Baszir ogłosił, że Moskwę i Chartum łączy program rozwoju zdolności bezpieczeństwa Sudanu. W jego ramach najemnicy szkolą żołnierzy sudańskich. Ma tam być teraz oficjalnie 100 wagnerowców. Wydobyciem złota w Sudanie zajmuje się także rosyjska spółka Kush for exploration & production CO.Ltd. – w listopadzie 2017 roku dostała nowe koncesje. Do 2016 roku była kontrolowana przez Gazprombank. Od 2013 roku zainwestowała w rozpoznanie i przygotowanie eksploatacji złóż w Sudanie około 80 mln dolarów, a jej łączne wydobycie wyniosło około 2,5 tony złota. W 2013 roku ta sama spółka, w obecności Ławrowa, otworzyła uroczyście w Chartumie centrum nauki języka rosyjskiego im. Puszkina.

Ale to niejedyny front wojny Rosji z USA. Demokratyczna Republika Konga to kolejny kraj, w którym pojawili się ludzie Prigożina, jednak nie jako specjaliści od walki zbrojnej, lecz od wojny informacyjnej. Wspierali kandydata związanego z dotychczasowym prezydentem Demokratycznej Republiki Konga. Skutecznie, bo Felix Tshisekedi wygrał wybory w styczniu 2019 roku – co otwiera kraj na rosyjskie inwestycje. Zresztą rosyjscy specjaliści angażują się w pomoc w obszarze informacyjnym i politycznym w różnych krajach Afryki. Prowadzą kampanie w mediach społecznościowych (w ten sposób na przykład budują popularność syna Muammara Kadafiego w Libii) i wspomagają swym know-how różne rządowe media. Moskwa dostarcza też swoich spin-doktorów, którzy pomagają afrykańskim liderom utrzymać się u władzy. To drugi, obok wsparcia najemników, kierunek działalności Prigożina na Czarnym Lądzie. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Ryszard Czarnecki

Pasjonujące prawybory, czyli jak to się robi w Ameryce

153 – tyle lat mają razem dwaj główni kandydaci na prezydenta USA! W amerykańskich prawyborach na koniec lutego jak burza idą urzędujący prezydent Donald Trump i pokonany przez Hillary Rodham Clinton i establishment Demokratów w wyborach 2016 roku Bernie Sanders. Pierwszy w czerwcu skończy 74 lata, drugi we wrześniu 79. Jeżeli obecną prawyborczą niemoc przełamie wiceprezydent za Baracka Obamy – Joe Biden, to kandydat Demokratów będzie o rok młodszy – Biden urodził się w 1942 roku. Trawestując Wyspiańskiego z „Wesela" („Chińczyki trzymają się mocno"), można rzecz, że roczniki lat 40. trzymają się w USA wręcz wybornie.

Ostatnie miesiące w amerykańskiej polityce to widomy znak nieba, że Pan Bóg – przynajmniej teraz – jest republikaninem. Najpierw Demokraci z przewodniczącą Izby Reprezentantów Nancy Pelosi (rocznik 1940...) zrobili jeden z największych możliwych prezentów 45. w historii USA prezydentowi, czyli Donaldowi Trumpowi, w postaci impeachmentu. Amerykańska opozycja, czyli – jak w Polsce – liberałowie i lewica, sprawiali od początku wrażenie, że traktują impeachment nie jako wehikuł do zwycięskich wyborów, lecz możliwość dokuczenia znienawidzonemu lokatorowi Białego Domu. Okazało się – uwaga, opozycjo totalna w Polsce! – że negatywne emocje w polityce nie opłacają się, jeśli nie są skalkulowane. Po medialnym fajerwerku impeachmentu Trumpowi wzrosło o 6 proc. i idzie jak burza w prawyborach (to akurat było do przewidzenia).

Co oznacza potencjalne zwycięstwo Sandersa – człowieka o polsko-żydowskich korzeniach – w prawyborach Demokratów? To dla Trumpa prezent jeszcze większy niż impeachment. Sympatyczny, uczciwy i wierzący w swą ideę socjalistycznej Ameryki Sanders jest takim lewicowym ultrasem, że niemała część wyborców Demokratów pozostanie w domach w pierwszy wtorek listopada, gdy tradycyjnie odbywają się wybory prezydenckie, bądź wręcz – to mniejszość – zagłosuje na „tego okropnego" Trumpa.

Bernie Sanders na temat polityki międzynarodowej wypowiada się na szczęście rzadko. To dobrze, bo zapewne elitom wielu krajów, zwłaszcza z naszego regionu Europy, częściej spędzałby sen z powiek. Towarzysz Sanders podoba się szczególnie młodym wyborcom, tak jak Korwin-Mikke budzi, ograniczoną w czasie, sympatię młodych Polaków. Biało-czarna wizja świata, jasne nazywanie „zła" po imieniu – może pozwolić mu wygrać prawybory, lecz wydaje się, że na pewno nie pozwoli wygrać znacznie od nich ważniejszych wyborów do Białego Domu.

Na razie w amerykańskich prawyborach nie zaistniał „Trump Demokratów", czyli miliarder Michel Bloomberg. Eksburmistrz Nowego Jorku (2002–2013) i bogacz, który pozazdrościł Trumpowi zamiany pozycji amerykańskiego „oligarchy" na fotel amerykańskiego prezydenta, też by tak chciał. Na razie jednak w prawyborach jest ilustracją polskiego powiedzenia „siała baba mak – nie wiedziała jak". Większe nadzieje Demokraci zapewne wiązali z senator Elizabeth Warren oraz „wice-Obamą", czyli Joe Bidenem. Pierwsza z postaci to nieco bardziej umiarkowana wersja Sandersa, lecz młodzi Amerykanie wolą wcześniejszy oryginał (Bernie) niż późniejszą podróbkę (Elizabeth).

A Biden? Cóż, śmiertelnie by się na mnie obraził za to, co powiem, ale jest on demokratyczną odmianą republikanina – syna prezydenta George'a Busha i młodszego brata prezydenta George'a Walkera Busha. Gdy przed czterema laty w Maryland, w zimny lutowy dzień, podczas konferencji CPAC (Conservative Political Action Conference) słuchałem Jeffa Busha, zdałem sobie sprawę, że na pewno więcej rozumie z polityki międzynarodowej niż 43. prezydent w historii Ameryki G.W. Bush i zapewne byłby lepszym od niego prezydentem. Tyle że był młodszym, a nie starszym bratem, a to czasem wystarczy, żeby nie otrzymać tronu i nie być królem, a czasem żeby nie zostać prezydentem USA. „Limit Bushów" w polityce amerykańskiej wyczerpał się kilka lat temu, tak jak na naszych oczach mogą zgasnąć polityczne akumulatory niewątpliwie najbardziej doświadczonego i przewidywalnego spośród demokratów – Joe Bidena... ■

eprasa.pl 39be4e0533

Olga Doleśniak-Harczuk

Manifest Extra Mocny

Celebrycki feminizm odkrył bunt. Spot z aktorką Cynthią Nixon promujący magazyn „Girls. Girls. Girls" miał być medialną torpedą. Prowokacją wymierzoną w samo serce stereotypów, gorsetów i kagańców odbierających kobietom wolność i radość istnienia. Gdzieś między nagością, lateksem, botoksem a kilkulatką niezdarnie paradującą w szpilkach matki przemyka w filmiku szelmowsko uśmiechnięty Donald Trump i poirytowany papież Franciszek. Męscy bohaterowie to negatywni bohaterowie. O! I jest jeszcze Melania Trump. Ofiara męskiego despotyzmu. Dowód? Przyjęła nazwisko męża.

Nie ma co ukrywać, Cynthia Nixon, niedoszła kandydatka na gubernatora stanu New York z ramienia Demokratów, miewała w życiu lepsze role. Nie, nie chodzi o rolę prawniczki Mirandy w serialu „Sex and the City", ale te teatralne. Nawet epizod u Miloša Formana (Nixon grała służącą donoszącą Salieriemu na Mozarta) miał swój urok. Przynajmniej grała uczciwie. W spocie wyliczającym, co kobiecie wolno, czego nie, co wypada, co jest pożądane, a czego ma się wystrzegać, uczciwości nie ma. Jest powierzchowność, która prekursorki feminizmu – zdradzające jednak pewną słabość do nauk społecznych, historii, filozofii – wprawiłaby raczej w osłupienia. I jest biznes. Opakowany w doskonałe ciała modelek, podbity luksusowym powiewem wielkiego świata, trafiający w nerw kobiet udostępniających ten filmik w mediach społecznościowych. Kobiet utożsamiających się z przekazem, któremu bliżej do kampanii reklamowej nowych perfum niż realnych problemów, z którymi mierzą się w swoim oddalonym o lata świetlne od nowojorskiej bohemy czy czerwonych dywanów życiu. Skłonność, by z perspektywy kawalerki aspirować do posiadania problemów dziewczyn pijących rano szampana zamiast kawy, wydaje się być już natury psychologicznej, ale można i tak.

eprasa.pl 39be4e0533

Wierszyk dla pensjonarki od pensjonarki

Nixon, gładko zaczesana do tyłu, ascetyczna, ale z mocno podkreślonym okiem, patrząc prosto w kamerę, recytuje manifest amerykańskiej studentki, Camille Rainville: „Twoja spódnica jest za krótka, nie pokazuj tyle ciała, zakryj się, zostaw coś wyobraźni, nie kuś, mężczyźni nie potrafią się kontrolować, mężczyźni mają swoje potrzeby, wyglądaj sexy, bądź gorąca, nie prowokuj, sama się o to prosisz, noś czerń, noś obcasy, jesteś zbyt wystrojona, za mało się postarałaś, wyglądasz, jakbyś odpuściła. Bądź damą, mówili... Nie bądź za gruba, nie bądź za chuda, maluj usta, używaj rozświetlacza, przypudruj się, wyglądaj naturalnie, mężczyźni lubią naturalne [...]. Bądź rozmiarem Zero, podwójnym zero, mniej niż zero, bądź niczym itd". W rytm tej wyliczanki migają zdjęcia z sesji fotograficznych, te same można obejrzeć na stronie internetowej i Instagramie Claire Rothstein, założycielki magazynu „Girls. Girls. Girls" i całkiem dobrego fotografa. Na jednym ze zdjęć widać Rachel McAdams, aktorkę przedstawioną à la luksusowa, zdesperowana „matka karmiąca" odziana w Versace, ale bez dziecka przy piersi, tylko z butelkami podłączonymi do nich na wzór dojarki mechanicznej. To ujęcie miga w chwili, gdy Cynthia Nixon cedzi słowa: „nie chcesz być matką? Kiedyś zmienisz zdanie". Ani słowa o okolicznościach powstania tego zdjęcia. O tym, że McAdams dała się sfotografować sześć miesięcy po urodzeniu swojego synka, a sama Rothstein przedstawiła w mediach społecznościowych sesję jako pochwałę macierzyństwa i karmienia piersią. Wczoraj szacunek, dziś obrazek robiący z matki bezwolną istotę, której macierzyństwo ogranicza się do wypełnienia przykrego obowiązku. Pełna elastyczność.

Gotuj mu obiady!

Tekst Rainville nosi tytuł „Bądź damą, mówili". I miał być mocnym manifestem niezadowolenia z presji, jaką społeczeństwo, branża mody, przemysł kosmetyczny i show-biznes jako taki wywierają na kobiety, narzucając im normy piękna, zachowania, poruszania się, mówienia, odczuwania. Kanon, który sam w sobie jest sprzeczny, daje mylne sygnały, żąda – mówiąc językiem seksuolgów – od kobiety postawy łączącej w sobie ladacznicę i świętą. Tylko że to już wszystko zostało zdiagnozowane, napisane, wyeksploatowane. Dodatkowo w ten sos pielęgnacyjno-odzieżowy wrzucono jeszcze męski szowinizm uosabiany przez strojącego miny Donalda Trumpa. Są i feministyczne wstawki piętnujące wyobrażenia tych pań o tradycyjnym podziale ról: Nixon cedzi: „składaj jego ubrania", „gotuj mu obiady", „przyjmij jego nazwisko! Masz podwójne? – Ty szurnięta feministko!".

Ziarno prawdy

Znalazło się też miejsce na różne dobre rady, jakie faktycznie niejedna kobieta – i to niezależnie od tego, czy mieszka w slumsach pod Paryżem czy kalifornijskiej rezydencji – dostaje w swoim życiu od „życzliwych". Takie średnio użyteczne instrukcje podszyte fałszywą troską o zdrowie, wygląd, nawyki żywieniowe. Ale czy naprawdę trzeba się przejmować każdą głupią uwagą ? Czy fakt, że ma się w życiu do czynienia nie tylko z ludźmi taktownymi, rozsądnymi, jest podstawą do robienia z siebie wiecznej ofiary „werbalnych ataków zatroskanych wujów i ciotek"? Nie. Poziom tego typu nadwrażliwości może być zrozumiały w przypadku dojrzewającej nastolatki, ale nie dorosłej kobiety. A jednak. Ten spot jest skierowany do wszystkich grup wiekowych. I okazuje się, że budowanie napięcia wokół pewnej nadwrażliwości świetnie się sprzedaje. Po tym jak spot trafił do sieci, nastąpił wysyp autorefleksyjnych tekstów dziewczyn i kobiet, które „odnalazły się w mocnym przekazie Nixon i Rainville". Drogie, wrażliwe dziewczyny i kobiety, które czujecie się adresatkami manifestu studentki z USA przemielonego przez marketing kolorowego magazynu walczącego o przeżycie w zalewie innych kolorowych magazynów: prześledźcie sobie listę marek, dla których pracuje autorka zdjęć do filmiku, Claire Rothstein. A potem postawcie sobie pytanie: jak można uczciwie kontestować coś, z czego tak dobrze się żyje? Ten spot to chwytliwa kampania reklamowa stylu życia napędzanego przez pozorną krytykę tego stylu życia. Gdyby kobiety były przekonane o swojej doskonałości i zrezygnowały z tych wszystkich rzekomo narzucanych im szminek, pudrów, fryzjerów i innych kosztownych przyjemności, panie fotograf, makijażystki, redaktorki, projektantki etc. nie miałaby na wino i bagietki. Oni naprawdę nie bawią się w kino moralnego niepokoju, lecz w biznes wart miliardy. Przemysł karmiący się kompleksami.

Przecież można w trapez...

Jeżeli więc jakaś sfrustrowana małżonka nad Wisłą składająca w kostkę koszule męża, patrząc w obrębione czarną kredka oko śmiertelnie poważnej Cyntii Nixon, odniosła wrażenie, że oto amerykańskie celebrytki odgadły jej największe problemy, że walczą o jej wyzwolenie, prawo do samorealizacji czy inne nadcele typu składanie na złość koszuli w trapez, jest w błędzie. To już naprawdę lepiej podołować się prozą Wirginii Woolf czy zasnąć przy kiczu Barbary Cartland. One przynajmniej nie udawały strażniczek kobiecych interesów.

A swoją drogą, ciekawe, gdzie była Cynthia Nixon, jak Asia Bibi siedziała w pakistańskim więzieniu. Już widzę te hasła w spocie: „Nie bądź taka zasadnicza. Daj spokój, to tylko cela śmierci – mówili. Nie ma co tęsknić. Było myśleć, zanim zrobisz – mówili". Cyntio, świat czeka na kolejne spoty. Nie tylko o przymusie bycia fajną. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Japonia

Katastrofa w elektrowni atomowej nr 1 w Fukushimie sprawiła, że w Japonii udział atomu w miksie energetycznym spadł z 30 proc. do zaledwie 3 proc. W rezultacie Japonia musi importować ponad 90 proc. Energii. Aby osiągnąć większą niezależność energetyczną, Kraj Kwitnęcej Wiśni postanowił wrócić do starych rozwiązań i ponownie postawić na węgiel. Mimo że w ramach porozumienia klimatycznego z Paryża Japonia zobowiązała się do redukcji emisji dwutlenku węgla o 26 proc. do 2030 roku w porównaniu z poziomem z roku 2013, to Tokio ogłosiło, że zamierza wybudować 22 nowe elektrownie węglowe w ciągu następnych pięciu lat. Węgiel jest coraz tańszy i dlatego jest atrakcyjny dla japońskiej gospodarki. Strona rządowa twierdzi, że spełnione zostaną normy klimatyczne, gdyż sukcesywnie wyłączane będą stare elektrownie węglowe.

Tajwan–Czechy–Chiny

Pekin groził działaniami odwetowymi czeskim firmom prowadzącym działalność w Chinach, gdyby doszło do wizyty czeskiego parlamentarzysty na Tajwanie.

List datowany na 10 stycznia, który trafił w ręce dziennikarzy agencji Reuters i czeskiego portalu Aktuálně, a został wysłany przez Ambasadę Chin w Pradze do biura prezydenta Czech sugerował, że czeskie firmy działające w Chinach, takie jak spółka zależna Volkswagena Skoda Auto i firma finansowa Home Credit Group, ucierpiałyby, gdyby przewodniczący Senatu Republiki Czeskiej Jaroslav Kubera odwiedził Tajwan (mężczyzna zmarł na atak serca 20 stycznia, zanim jego podróż doszła do skutku). „Czeskie firmy, które prowadzą interesy gospodarcze w Chinach, będą musiały zapłacić cenę za wizytę przewodniczącego Kubery na Tajwanie" – stwierdziła ambasada dodając, że „Chiny są największym rynkiem zagranicznym dla wielu czeskich firm, takich jak Skoda Auto, Home Credit Group, Klaviry Petrof i inne".

Biuro prezydenta Czech potwierdziło fakt otrzymania listu z ambasady Chin, a chiński MSZ stwierdził, że nie wie, skąd pochodzą takie informacje, ale dodał, że Państwo Środka zdecydowanie występuje przeciwko każdemu krajowi, który mając stosunki dyplomatyczne z Chinami, prowadzi oficjalną wymianę z władzami Tajwanu w jakiejkolwiek formie.

MSZ Tajwanu skrytykowało ostrzeżenia Chin wobec Pragi. „Presja Chin na biznes w Czechach dowodzi, że Nowy Jedwabny Szlak to drapieżne narzędzie polityki, przynoszące jedynie negatywne skutki dla gospodarczego porządku na świecie" – powiedziała rzeczniczka ministerstwa Joanne Ou.

Od ponad roku chińsko-czeskie stosunki dyplomatyczne są napięte. W zeszłym roku władze Pragi wyraziły poparcie dla Tybetu i zażądały zmiany umowy o partnerstwie między Pragą a Pekinem w związku z polityką Chin wobec Tajwanu. Umowa została ostatecznie anulowana, a Praga zamiast tego podpisała umowę o współpracy z Tajpej, co doprowadziło Pekin do szału. Decyzja Pragi o podpisaniu umowy o partnerstwie z Tajpej jest też postrzegana jako wyzwanie dla prezydenta Zemana, który często nawoływał do zacieśnienia więzi między Czechami a Chinami.

Pekin nie był też zadowolony, gdy czeski organ nadzoru cyberbezpieczeństwa w grudniu 2018 roku ostrzegł o ryzyku związanym z korzystaniem z technologii sieciowych dostarczanych przez chińskich producentów sprzętu telekomunikacyjnego, m.in. firmy Huawei i ZTE.

W liście podano fałszywą informację, jakoby inne kraje zachodnie, w tym Stany Zjednoczone, „prze-

eprasa.pl 39be4e0533

strzegały politykę jednych Chin" i nie pozwalały najwyższym urzędnikom odwiedzać Tajwanu. W rzeczywistości USA nie zgadzają się z pekińską interpretacją doktryny „polityki jednych Chin" i nigdy nie uznały chińskiej suwerenności nad Tajwanem. Kiedy Stany Zjednoczone nawiązały stosunki z Pekinem w 1979 roku, jedynie przyjęły do wiadomości punkt widzenia ChRL, że Tajwan jest częścią Chin. Waszyngton nie zajął formalnego stanowiska w sprawie suwerenności Tajwanu.

W 2018 roku Kongres Stanów Zjednoczonych jednogłośnie uchwalił Tajwańską ustawę o podróżach (Taiwan Travel Act)., która zaleca, aby rząd USA „zezwolił urzędnikom wszystkich szczebli rządu Stanów Zjednoczonych, w tym urzędnikom ds. bezpieczeństwa narodowego, na podróżowanie na Tajwan, w celu spotykania się ze swoimi tajwańskimi odpowiednikami", a także pozwolił najwyższym urzędnikom Tajwanu na wjazd do Stanów Zjednoczonych. Ustawa została podpisana w marcu tego samego roku przez prezydenta Donalda Trumpa.

Hongkong

21 lutego protestujący w Hongkongu, w tym wielu ubranych na czarno i noszących maski chirurgiczne w obawie przed koronawirusem, zorganizowało strajki okupacyjne, upamiętniając dokonany siedem miesięcy temu atak na stacji Yuen Long. 21 lipca 2019 roku ponad setka ubranych na biało mężczyzn pobiła antyrządowych demonstrantów. Wówczas policja nie zapobiegła atakowi i nie zatrzymała żadnego z napastników, za co spotkała ją fala krytyki.

21 lutego protestujący skandowali hasła: „Wyzwolić Hongkong! Rewolucja naszych czasów " i „Niepodległość Hongkongu to jedyne wyjście!". Wielu z biorących udział w demonstracji podkreślało w wypowiedziach dla mediów, że nigdy nie zapomni, co wydarzyło się 21 lipca 2019 roku i dlatego wzięło udział w strajku. „Nie powinniśmy zapominać, nawet pomimo wybuchu wirusa z Wuhan" – powiedziała gazecie „Epoch Times" jedna z protestujących, odnosząc się do epidemii koronawirusa, która opanowała już całe Chiny, a jej pierwsze przypadki wykryto w mieście Wuhan w prowincji Hubei.

Atak na stacji Yuen Long był jednym z najgłośniejszych wydarzeń w Hongkongu od wybuchu głównych protestów przeciwko ustawie o ekstradycji w czerwcu ubiegłego roku. Ostatecznie władze Hongkongu wycofały ustawę, ale protestujący rozszerzyli swoje żądania, domagając się pełnej demokracji dla byłej kolonii brytyjskiej, która od 1997 roku jest kontrolowana przez Chiny.

W tym roku protesty są mniej intensywne, a wiele osób unika tłumów w gęsto zaludnionym Hongkongu z powodu koronawirusa. Wybuch epidemii wzmógł gniew mieszkańców Hongkongu wobec władz miasta i rządzącej w Chinach partii komunistycznej. W szczególności odmowa szefowej administracji Hongkongu, Carrie Lam, zamknięcia granicy z Chinami postrzegana przez wielu jako próba udobruchania Pekinu. Lam powiedziała, że zamknięcie granicy byłoby niepraktyczne, nieodpowiednie i „dyskryminujące", a reakcja rządu na kryzys opiera się na opiniach naukowych, a nie na „względach politycznych".

Od czasu, gdy w Hongkongu pojawił się pierwszy przypadek zakażenia koronawirusem, Hongkończycy domagają się całkowitego zamknięcia granicy i sprzeciwiają się przekształceniu niektórych budynków w centra kwarantanny.

Korea Północna

67-stronicowy raport ONZ dotyczący Korei Północnej, który nie został jeszcze oficjalnie opublikowany, ale dotarli do niego dziennikarze agencji Reuters, stwierdza, że w 2019 roku KRLD kontynuowała udoskonalanie swoich programów zbrojeń nuklearnych i balistycznych, naruszając tym samym rezolucje Rady Bezpieczeństwa.

Dokument stwierdza też, że Pjongjang nielegalnie importował ropę naftową po rafinacji i eksportował węgiel wart około 370 mln dolarów z wykorzystaniem chińskich barek, mimo że Pekin wielokrotnie zapewniał, iż przestrzega sankcji nałożonych przez ONZ. Niewymienione w raporcie z nazwy państwo poinformowało kontrolerów, że barki dostarczały węgiel do trzech portów w chińskiej zatoce Hangzhou i do ośrodków wzdłuż rzeki Jangcy. Według informatora KRLD wyeksportowała do chińskich portów również około miliona ton piasku o wartości 22 mln dolarów.

ONZ nałożyła na Koreę Północną sankcje w 2006 roku, a trzy lata temu Rada Bezpieczeństwa ONZ ograniczyła roczny import rafinowanej ropy naftowej przez Pjongjang do 500 tys. baryłek. Z raportu wynika, że import od 1 stycznia do 31 października 2019 roku wielokrotnie przekroczył tę ilość.

Po ujawnieniu treści raportu ONZ przez agencję Reuters głos zabrała misja Chin przy ONZ i określiła wszelkie oskarżenia zawarte w dokumencie przeciwko Chinom jako „bezpodstawne". „W kwestii wdrażania rezolucji Rady Bezpieczeństwa dotyczących KRLD Chiny zawsze wiernie i poważnie wypełniały swoje zobowiązania międzynarodowe oraz poniosły ogromne straty i były pod ogromną presją w tym procesie" – powiedział przedstawiciel chińskiej misji ONZ Reutersowi. ■

eprasa.pl 39be4e0533

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Ilu jest w Rosji siłowików i ile zarabiają

Wyczerpujące odpowiedzi na tytułowe pytania znajdują się w analizie opublikowanej 19 lutego 2020 roku na portalu Proekt.media, który zamieszcza teksty niezależnych rosyjskich dziennikarzy. Autorką artykułu o siłowikach jest Sofia Sawina.

„Siłowarchia" – tak łącząc słowa „siłowicy" i „oligarchia", amerykański politolog Daniel Treisman w 2006 roku proponował nazywać nowy ekonomiczny i polityczny porządek powstały wraz z dojściem do władzy Władimira Putina. Według tej definicji jest to państwo, w którym politykę i biznes kontrolują weterani specsłużb i byli wojskowi. Półtora dekady później pojęcie „siłowicy" już nie łączy się wyłącznie z elitą putinowską. Siłowe pacyfikacje demonstracji latem 2019 roku, gwałtowny wzrost liczby postępowań karnych z artykułów o terroryzm i ekstremizm, głośne przeszukania u znanych biznesmenów, doniesienia o torturach – wszystko to pokazało zwiększenie wpływu szeregowych siłowików i nadało pojęciu „siłowarchii" nowe znaczenie. Proekt.media zbadał dane o liczebności i zarobkach siłowików w ciągu siedmiu lat od czasu pierwszych masowych ulicznych protestów, które wstrząsnęły Moskwą po wyborach 2011 roku. Główny wniosek: w kraju rośnie liczba siłowików pełniących funkcje represyjne, a zarabiają oni dużo więcej niż zwykli obywatele.

Co 57. Rosjanin to siłowik

W Rosji żyje około 2,6 mln ludzi pracujących w instytucjach siłowych. To oznaczy, że mniej więcej co 57. Rosjanin jest siłowikiem w państwowych strukturach. Jeśli dodać do tego pracowników ochrony spółek państwowych, prywatnych agencji ochrony i korporacyjnych służb bezpieczeństwa, udział będzie jeszcze większy. Najliczniejszą instytucją siłową w Rosji pozostaje armia. Z danych o ubezpieczeniach wynika, że w 2018 roku w ministerstwie obrony było 793,5 tys. wojskowych w służbie czynnej. Więcej wojska mają Chiny, Indie, USA i Korea Północna. Ale jeśli wziąć stosunek liczby wojskowych do całej populacji, to Rosja (62 wojskowych na 10 tys. ludzi) ląduje na drugim miejscu za Koreą Północną (501 na 10 tys.). Jeszcze bardziej liczne są wojska wewnętrzne i powstała na ich bazie Rosgwardia – łącznie to nawet o 30 proc. więcej niż regularne wojsko. Zajmujących się więźniami jest w Rosji niemal dwa razy więcej niż tych, którzy ratują ludzi przed katastrofami. Jeśli w Ministerstwie ds. Sytuacji Nadzwyczajnych służy 118 tys. ludzi, to w służbie więziennej pracuje 211 tys. osób. Podobna liczba pracowników – na poziomie 200 tys. – jest w Federalnej Służbie Bezpieczeństwa. Liczba pracowników Federalnej Służby Ochrony, która zajmuje się bezpieczeństwem wysoko postawionych urzędników, jest porównywalna z liczbą tych, którzy pilnują w sądach podejrzanych i wykonują polecenia sądowe. Liczebność FSO, według ocen ekspertów, wynosi około 50 tys. ludzi, a Federalna Służba Sądowych Komorników – 55 tys. Federalna Służba Celna to około 49 tys. ludzi. W prokuraturze generalnej pracuje zaś 33 tys. ludzi. Jeszcze mniej w kraju jest tych, którzy zajmują się badaniem prze-

eprasa.pl 39be4e0533

stępstw: w Komitecie Śledczym pracuje 19 tys. ludzi. Danych o niektórych instytucjach siłowych nie podaje się publicznie i dotyczy to nie tylko utajnionych organów w rodzaju FSO czy FSB. Od dwóch lat władze nie podają liczebności Rosgwardii. W pierwszym roku istnienia nowej struktury było w niej 340 tys. ludzi – mówił o tym dyrektor Rosgwardii Wiktor Zołotow. W listopadzie 2017 roku Zołotow obiecał, że do 2021 roku liczebność wojsk Rosgwardii zwiększy się o jedną trzecią. Jednak zdaniem ekspertów obecnie jest to poziom 300–400 tys. ludzi. Liczebność FSB eksperci szacują na 200 tys., zaś Służby Wywiadu Zagranicznego (SWR) – 12–14 tys.

Siłowików wciąż przybywa. Od 2014 roku ich łączna liczba wzrosła o 10 proc. Od początku trzeciej kadencji prezydenckiej Putina najwięcej przybyło prokuratorów (o 25 proc.) i śledczych (o 23 proc.). Choć przybyło etatów, wskaźniki ich pracy się nie poprawiły: poziom wykrywalności przestępstw w 2018 roku wzrósł od 2012 roku o zaledwie 1 proc. Oprócz prokuratorów i śledczych, od 2012 roku rozrosło się tylko ministerstwo obrony – o 19 proc. Liczebność armii zwiększała się co rok, ale w 2018 roku mocno się zmniejszyła, niemal o 22 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem. Liczebność pozostałych instytucji siłowych zmniejszyła się w porównaniu z 2012 rokiem. Najbardziej dotyczy to Ministerstwa ds. Sytuacji Nadzwyczajnych (MCzS), gdzie jest o 32 proc. mniej personelu. To jedyna siłowa struktura w Rosji, która przeszła tak duże redukcje. Liczba pracowników Federalnej Służby Celnej zmalała o 18 proc. od 2012 roku. Z kolei o 14 proc. w porównaniu z 2015 rokiem jest mniej pracowników w MSW – choć to wynikało głównie z przejścia części personelu do nowo utworzonej Rosgwardii.

▶ Jedna trzecia budżetu dla siłowików

Wydatki budżetu na siłowików są klasyfikowane na różne sposoby: z pozycji celowych (na przykład „Bezpieczeństwo narodowe i działalność ochrony prawa" z rozdziałem „System egzekucji wyroków") i na konkretne instytucje (na przykład Federalna Służba Więzienna). [...] Niemal jedna trzecia całego budżetu federalnego co roku idzie na siłowików. Wydatki z pozycji „Obrona narodowa" i „Bezpieczeństwo narodowe i działalność ochrony prawa" do 2018 roku sięgnęły 29 proc. łącznych wydatków (w 2012 roku było 21 proc.). W badanym okresie największe wydatki procentowo na siłowików były w budżecie na 2016 rok: 35 proc. Choć „wewnętrzne siły" są liczniejsze, główna część wydatków na siłowików idzie na obronę kraju przed zewnętrznymi wrogami. Siły zbrojne są dla państwa najdroższe – 2,1 bln rubli. Przez ostatnie sześć lat wydatki na nie zwiększyły się trzykrotnie w liczbach bezwzględnych, zaś udział w budżecie wzrósł z 7 proc. do 13 proc. Dwa razy mniej budżet federalny wydaje na wojska wewnętrzne – organy spraw wewnętrznych i wojska Gwardii Narodowej – na nie w 2018 roku poszło 900 mld rubli. Z kolei na organy bezpieczeństwa razem z pogranicznikami w 2018 roku wydano 451 mld rubli. Kolejny priorytet państwa to zabezpieczenie systemu egzekucji wyroków: na tę pozycję budżetową przeznaczono w 2018 roku 227 mld rubli. [...] Na ochronę ludności przed katastrofami i klęskami żywiołowymi przeznaczono 182 mld rubli. Najmniej państwo kosztują – jeśli mowa o siłowikach – organy prokuratury i śledcze. Na tę pozycję budżetową wydano 105,5 mld rubli. [...]. Wzrost liczby prokuratorów i śledczych doprowadził do zwiększenia wydatków na Prokuraturę Generalną i Komitet Śledczy: odpowiednio o 68 proc. i 65 proc. w porównaniu z 2012 rokiem.

Jednak najbardziej wśród siłowików wzrosły wydatki na FSB. Jeśli w latach 2012–2013 udział wydatków budżetowych z pozycji „organy bezpieczeństwa" nie wynosił nawet 0,1 proc. łącznych wydatków na siłowików w budżecie federalnym, to do 2018 roku wskaźnik ten wzrósł do 7 proc. Sytuacja gwałtownie zaczęła się zmieniać od 2014 roku. Wtedy nagle wzrosły wydatki na organy służby ochrony pogranicza, które wchodzą w skład struktury FSB. Przyrost otwartej części budżetu FSB zapewniło zwiększenie wydatków na emerytury siłowików: właśnie ta pozycja zajmuje do 95 proc. otwartego budżetu, a od 2012 roku wydatki z nią związane wzrosły niemal dwukrotnie. To może świadczyć o zwiększeniu liczebności personelu instytucji z utajnioną liczbą etatów. Ogólnie otwarta część budżetu FSB w porównaniu z 2012 rokiem wzrosła o 70 proc., ale nie wynika to tylko ze zmian w strukturze budżetu 2014 roku. FSB to bowiem jedyna siłowa instytucja, na którą wydatki w ciągu sześciu lat stabilnie rosły co roku. W tym czasie o 54 proc. wzrosły jawne wydatki na jeszcze jedną tajną instytucję: Służbę Wywiadu Zagranicznego. Od początku trzeciej kadencji Putina wzbogaciła się większość organów siłowych – choć już nie w takim tempie jak FSB i SWR. O 20–30 proc. wzrosły wydatki służby więziennej i służby komorników sądowych, ministerstwa obrony, a także Państwowej Służby Kurierów. Straciły finansowo w porównaniu z 2012 rokiem tylko FSO (o 14 proc.), MSW (12 proc.) i MCzS (2 proc.). Przy

eprasa.pl 39be4e0533

czym zmniejszenie wydatków na MSW związane jest z wydzieleniem z resortu wojsk wewnętrznych i budowy na ich bazie Rosgwardii. W 2018 roku wszystkie siłowe instytucje zwiększyły budżet w porównaniu z poprzednim rokiem z wyjątkiem FSO, jednak o tym świadczy tylko otwarta część budżetu, jaki udział wydatków na instytucje przechodzi na podstawie tajnych pozycji budżetu – nie wiadomo.

Wygodnie jest pracować dla państwa jako siłowik. We wszystkich analizowanych instytucjach średnia płaca przewyższa średni poziom płacy w kraju. Szczególnie opłacalne jest być siłowikiem w federalnych aparatach instytucji: tam można zarobić dwa, trzy razy więcej niż zarabiają średnio Rosjanie. Największa różnica wobec średniej pensji w kraju jest u pracowników Ministerstwa ds. Sytuacji Nadzwyczajnych. Ich średnia płaca na poziomie federalnym wynosi 157 tys. rubli, czyli 3,6 razy więcej niż zarabia średni statystyczny Rosjanin. Na drugim miejscu pod tym względem są pracownicy więziennej FSIN z płacą 149 tys., a więc 3,4 razy więcej niż wynosi średnia pensja. Trzy razy więcej niż średni statystyczny Rosjanin zarabiają prokuratorzy, policjanci, żołnierze Rosgwardii i celnicy. Wojskowi, komornicy i kurierzy mają średnie pensje 2,4–2,7 razy większe niż średnia płaca w Rosji. Średnia płaca w dowolnej instytucji siłowej, ale nie w centrum, lecz w regionach, także przewyższa krajową średnią, ale najbardziej dotyczy to śledczych (2,2 razy więcej, przy pensji 94,5 tys. rubli) i prokuratorów (1,8 razy więcej przy pensji 79 tys. rubli).

Płace siłowików są wysokie, ale głównie dotyczy to tych z wyższego szczebla, a nie dotyczy to szeregowych pracowników – zauważają sami przedstawiciele takich instytucji. – Dodatek pieniężny statystycznego średniego pracownika MSW na poziomie federalnym to około 70 tys. rubli, a w regionach około 40 tys. rubli – mówi szef Moskiewskiego Związku Zawodowego Policji i Rosgwardii, Michaił Paszkin. Jego zdaniem zawyżone liczby przedstawiane przez Rosstat wynikają z tego, że „płace szefów razem z premiami mogą wynosić miliony" – zarówno w MSW, jak i w Rosgwardii. Słowa Paszkina potwierdzają dane: wśród wyższych urzędników MSW Proekt.media znalazł 13 osób, których dochód miesięczny przekracza milion rubli, wśród szefów Rosgwardii takich nie znaleziono. – Pomyślcie, jak w Moskwie można przeżyć za 40 tys.! – tak Paszkin mówi o prawdziwym położeniu szeregowych pracowników. Dodaje on, że są problemy i z socjalnymi dodatkami. – Na przykład, jednorazową socjalną wypłatę na remont lub budowę pomieszczenia mieszkalnego w 2018 roku przyznano 1168 pracownikom, a potrzebujących jest 34 784 ludzi. Wychodzi na to, że na mieszkanie trzeba czekać ponad 30 lat! – mówi szef związku zawodowego.

▶ Wzrost wynagrodzeń w całym kraju

W ciągu sześciu lat wypłaty dla wszystkich federalnych siłowików wzrosły o 1,5–2 razy. Najbardziej w porównaniu z 2012 rokiem zwiększyły się płace pracowników systemu karno-wykonawczego: w służbie więziennej (FSIN) zaczęli zarabiać 2,2 razy więcej, pracownicy Prokuratury Generalnej i Komitetu Śledczego – 2,1 razy więcej, w takim samym tempie wzrosło wynagrodzenie celników. Wśród regionalnych siłowików najbardziej zyskali pracownicy MSW: ich średnie wynagrodzenie wzrosło 2,3 razy. We wszystkich regionach przez ostatnie pięć lat wzrosła płaca pracowników MSW, Komitetu Śledczego, prokuratury i Federalnej Służby Komorników Sądowych. Przy tym wzrost dodatku pieniężnego siłowików nie jest równy poziomowi wzrostu średniej płacy w regionie. W Rosji w tym czasie, w zależności od regionu, płaca mieszkańców średnio wzrosła o 20–200 proc., a pracowników MSW od 40 do 363 proc., komorników sądowych od 18 do 106 proc. Płace prokuratorów i śledczych wzrosły mocniej niż średnich statystycznych mieszkańców nie we wszystkich regionach, ale w niektórych wzrost płacy wyniósł 53–55 proc. Wzrost wypłat śledczych nie zatrzyma się i w nadchodzących latach: do 2022 roku mogą one wzrosnąć jeszcze o 20 proc. w wyniku tajnego dekretu prezydenta.

Praktycznie w dowolnym miejscu kraju siłowicy zarabiają więcej niż wynosi średnia płaca w regionie: niemal wszędzie płaca policjantów, rosgwardzistów, śledczych, prokuratorów, ratowników, celników i kurierów jest większa niż średnia w regionie. Gorzej wiedzie się sądowym komornikom – ich płace są wyższe od średniej tylko w 50 z 85 regionów. Najlepiej jest, z finansowego punktu widzenia, pracować jako siłowik w regionach kaukaskich. Niemal we wszystkich siłowych organach właśnie w Północnokaukaskim Okręgu Federalnym pracownicy MSW zarabiają więcej niż przeciętni mieszkańcy regionu. W Karaczajo-Czerkiesji, Kabardyno-Bałkarii, Czeczenii, Inguszetii, Dagestanie i Osetii Północnej – dwa razy więcej. Pracownicy Rosgwardii w tych samych regionach zarabiają więcej niż średnio statystycznie mieszkańcy – trzy razy więcej. – Na Kaukazie często wprowadzają reżim kontrterrorystyczny, tam zabi-

eprasa.pl 39be4e0533

jają, ranią pracowników, tam funkcjonariusze pracują praktycznie bez urlopu, dlatego im naliczają dopłaty – mówi o specyfice pracy siłowików w kaukaskich republikach Federacji Rosyjskiej lider związkowy Paszkin. Jednakże taka różnica w zarobkach jest charakterystyczna nie tylko dla tych, którzy uczestniczą w operacjach siłowych. W tych regionach wygodnie żyje się też śledczym: zarabiają oni cztery razy więcej niż średnio mieszkańcy. Prokuratorzy też zarabiają 3,5–4 razy więcej niż średnia płaca. Inny obraz jest w regionach stołecznych. W Moskwie na większości stanowisk, gdzie płace są jawne, wynagrodzenie jest niższe niż regionalna średnia. Średnio funkcjonariusz Rosgwardii w stolicy ma wynagrodzenie niższe od średniego w regionie o 26 proc., pracownik MSW – o 21 proc., prokurator – o 24 proc., śledczy – o 11 proc., pracownik MCzS – o 14 proc., komornik – o 58 proc., kurier – o 36 proc., celnik – o 34 proc. Nieco lepiej dla siłowików wygląda sytuacja w Sankt Petersburgu: tam wynagrodzenie pracowników MSW i Rosgwardii jest zbliżone do średniej regionalnej. Płace komorników, kurierów i celników są jednak poniżej średniej. Na przykład komornicy sądowi zarabiają niemal dwa razy mniej niż wynosi średnia płaca w Sankt Petersburgu.

Jednak położenie stołecznych siłowików może się poprawić. W styczniu nowy premier Michaił Miszustin wprowadził dla pracowników MSW i Rosgwardii dodatek do wynagrodzenia „za złożoność wykonywanych zadań" w wielkości do 100 proc. miesięcznej pensji. Dodatek ten dotyczy tylko funkcjonariuszy, którzy służą w Moskwie, Sankt Petersburgu, obwodzie moskiewskim i obwodzie leningradzkim. Decyzja o tej faktycznej podwyżce zarobków zapewne związana jest z brakami kadrowymi na niższych szczeblach policji, a to ci funkcjonariusze głównie zabezpieczają masowe imprezy. – W Rosji w całości poziom obsady etatów w policji to 92 proc., a w takich miastach jak Moskwa i Sankt Petersburg braki kadrowe są dużo większe: w regionach trudniej znaleźć pracę, więc i braki kadrowe są tam mniejsze – mówi Paszkin. Do pierwszej dziesiątki regionów pod względem liczby pracowników MSW przypadającej na populację regionu wchodzą rzadko zaludnione obszary Dalekiej Północy i Dalekiego Wschodu, trzy regiony Północnokaukaskiego Okręgu Federalnego – Północna Osetia, Czeczenia i Inguszetia, a także Kałmucja. Na czele zestawienia regionów z najmniejszą liczbą pracowników MSW przypadającą na 100 tys. mieszkańców znajduje się Baszkortostan. Największa koncentracja prokuratorów również jest w rzadko zaludnionych regionach, ale w pierwszej dziesiątce jest też Kraj Chabarowski. Najmniej prokuratorów przypada na mieszkańców Czeczenii i Dagestanu. Również w przypadku śledczych najlepiej sytuacja wygląda w mało zaludnionych regionach, ale do pierwszej dziesiątki zalicza się też obwód amurski z populacją 800 tys. ludzi. Najmniej śledczych na mieszkańców wypada w obwodzie biełgorodzkim i Kraju Krasnodarskim.

▶ Armii ufają bardziej niż prezydentowi

Podczas gdy siłowe struktury w Rosji rozrastają się i bogacą, zmienia się stosunek do nich społeczeństwa – nie zawsze w dobrą stronę. Badania opinii społecznej pokazują, że najbardziej wśród siłowików Rosjanie ufają armii i służbom specjalnym. 63 procent pytanych przez Centrum Lewady w 2019 roku uznało, że najbardziej godna zaufania jest armia, zaś 48 proc. – FSB i inne specsłużby. Armii ufa więcej ludzi niż prezydentowi, zaufanie do którego wyraziło 60 proc. ankietowanych, zaś służbom specjalnym ufa się bardziej niż Cerkwi (40 proc.). Nie zawsze tak było: jeszcze 10 lat temu większość uważała, że ani armia, ani służby specjalne nie są godne zaufania (tak odpowiedziało 49 proc. i 46 proc.). Co się tyczy innych siłowików, większość Rosjan nie ufa policji i prokuraturze, zarówno 10 lat temu, jak i obecnie – choć poziom zaufania do nich się podniósł. Jeśli w 2009 roku 72 proc. respondentów nie ufało policji, zaś 58 proc. prokuraturze, to teraz te wskaźniki wynoszą 62 proc. i 55 proc. Wydarzenia ubiegłego roku, wśród których była sprawa dziennikarza Iwana Gołunowa, obniżyły zaufanie średniej klasy do siłowików i powodują, że postrzega ona organy ochrony prawa i porządku jako zagrożenie. Siłowicy stali się tak naturalną częścią codziennego rosyjskiego życia, że ich obraz wykorzystuje się już i w codziennej powszechnej kulturze. W ostatnich latach pojawiają się spółki komercyjne, które proponują inscenizacje z udziałem „siłowików" – aktorów w mundurach Rosgwardii, MSW czy FSB. Często te role odgrywają byli pracownicy organów ochrony prawa. Za umiarkowaną zapłatę można poprosić „policjantów" o podrzucenie dziewczynie narkotyków – a potem oświadczyć się jej, wyciągając pierścionek ukryty w tych „narkotykach". Można też zainscenizować rewizję w biurze i nawet zamówić „specnaz" na urodzinowe przyjęcie. Oferujący takie usługi zapewniają, że „zatrzymania" i „przesłuchania" są uzgodnione z prawdziwymi siłowikami. ■

eprasa.pl 39be4e0533

eprasa.pl 39be4e0583

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

MANILA – czy było warto?

Ulica Felixa Huertasa. Prowadząca wprost na chiński cmentarz. Wzdłuż mało ruchliwej drogi widać pojedyncze domy. Co pewien czas wśród nich pojawi się przypominająca wenezuelskie favele zrujnowana chata z zakratowanymi oknami. Jednak w odróżnieniu od miasta Maduro tym razem nie czuję strachu. W Caracas dzielnice nędzy skupione są w zwarty, pulsujący organizm. Tutaj zaś wszystko jest przetasowane. Może przez to bardziej oswojone. Niebudzące takiej grozy i strachu. Nikt nie zwraca na mnie większej uwagi. Można spacerować dalej.

eprasa.pl 39be4e0533

Biedne dzielnice filipińskiej stolicy rozrastają się bez jakiegokolwiek planu

Pisk opon i znów to samo. Wioząca mnie taksówka z hurgotem zatrzymuje się przed wymuszającą pierwszeństwo zdezelowaną toyotą. Stoimy zderzak w zderzak w gigantycznym korku w wąskiej manilskiej ulicy Antonio Arnaiza.

Autobus pancerny

Z pobliskiej pętli odjeżdża właśnie kolejny blaszanoczerwony autobus. Przednie nadwozie ma usiane drobnymi lampkami, przez co bardziej przypomina bogato przystrojoną bożonarodzeniową choinkę niż miejski środek transportu. Pozostałe jeepneye – tutejsze „ogórki" – stoją w kolejce. W trzech rzędach. Jeden za drugim. Z potężnymi zderzakami. Pojazdy są niskie i przysadziste. Z rozbudowaną do granic możliwości klapą silnika. Jak u dobrych amerykańskich ciężarówek mknących po arizońskiej prerii. Z niewielką, wąską szybką kierowcy. W dodatku przyozdobioną jeszcze mnóstwem naklejek, wisiorków, breloczków, proporczyków. Zwykle także z jakimś chrześcijańskim odniesieniem. Jest więc Pan Jezus w komiksowej wersji. Jest Maryja. Są święci.

Jeepneye to filipińska wizytówka ruchu przewozowego. Nie da się przyjechać do Manili, smakować miasto od podszewki i nie poznać przy okazji – i do dość namacalnie – czym są najsłynniejsi bohaterowie dróg filipińskiej stolicy. Czym pachną. Jak hałasują. W jaki sposób smakuje jazda nimi. Stare, zużyte, lecz sprawdzone w ruchu już od ponad pół wieku stanowią bezcenne uzupełnienie filipińskiej rzeczywistości. Tej prawdziwej, prozaicznej, nie schowanej pod podszewką komercji, nie podkoloryzowanej.

Historia adaptacji pancernych półciężarówek do przewozu ludzi zaczyna się na Filipinach z końcem II wojny światowej. Stacjonujące na archipelagu Filipin jednostki armii amerykańskiej po zakończonych działaniach pozostawiły przestarzałą, a więc i zbędną część wyposażenia. Po prostu nie było sensu wozić tego z powrotem za ocean. Wśród pozostałego sprzętu znalazły się również setki wojskowych ciężarówek. Niskich, przysadzistych, z owymi wąskimi okienkami (wówczas służyły raczej do włożenia weń lufy karabinu bądź działa). Tak powstały jeepneye.

Zza szyby

Wciąż jedziemy taksówką przez zatłoczone ulice prawie 2-milionowej Manili. Z prawej mijamy w tej chwili przeszklone wejścia do kolejnych filii banków. Przy każdym z nich widać ubranego w mundur strażnika. Wszyscy klienci zanim wejdą do środka, są poddawani drobiazgowej kontroli osobistej.

Z drugiej strony ulicy ciągnie się paskudne ogrodzenie z blachy falistej. Obklejone w każdy możliwy sposób plakatami. Zarówno wyborczymi – nawet z ubiegłego roku, gdy stronnicy Rodrigo Duterte zdobyli większość do senatu – jak i rozrywkowymi. Gwiazdy lokalnej sce-

eprasa.pl 39be4e0533

Kolorowe autobusy typu jeepney to wizytówka Filipin, a w szczególności Manili

ny muzycznej królują na kolejnych posterach zapraszających na zbliżający się koncert. Wszystko bez ładu i składu. Nikt tego nie zedrze. Co najwyżej naklei nowy plakat. I tak od lat.

Mijamy niską chatkę. Przed wejściem leży mężczyzna. Nie rusza się. W mroku ciężko dostrzec, czy śpi. Naraz widok przesłania mi zatrzymujący się obok samochód. Młoda para wiezie na tylnym siedzeniu córeczkę. Rodzice namawiają dwulatkę, aby mi odmachała. Nie chce. Odpuszczam.

Nad kolejnymi mijanymi skrzyżowaniami widać kłębowisko kabli wysokiego napięcia. Nie mam pojęcia, w jaki sposób tutejsi specjaliści usuwają ewentualne awarie. Dostanie się do konkretnego kabla graniczy tutaj z cudem. Ale znów: jakoś się to wszystko toczy. Od lat.

Za cytadelą Fortu Santiago nad rzeką Pasig rozpoczynają się portowe zabudowania. Zacumowane barki. Kontenery na brzegu oczekujące cierpliwie na rozładunek. Zabiedzone domy. Widzę pięciu młodzieńców kąpiących się w rzece. Brudnej i przegniłej. Z setkami kilogramów śmieci pływających na jej powierzchni. I surowców wtórnych wyławianych dla zarobku przez biedniejszych mieszkańców. Tak tu jest. Tak się to toczy. Od lat.

Ulica Felixa Huertasa. Ta prowadząca wprost na chiński cmentarz. Wzdłuż mało ruchliwej drogi widać pojedyncze domy. Co pewien czas wśród nich pojawia się przypominająca wenezuelskie favele zrujnowana chata z zakratowanymi oknami. Jednak w odróżnieniu od miasta Maduro tym razem nie czuję strachu. W Caracas dzielnice nędzy skupione są w zwarty, pulsujący organizm. Tutaj wszystko jest przetasowane. Może przez to bardziej oswojone. Niebudzące takiej grozy i strachu. Nikt nie zwraca na mnie większej uwagi. Można ruszać dalej.

▶ Po pracę

– Sampaloc, Sampaloc! – chłopak drze się, ile sił w płucach. Nie ma innego sposobu, aby przekrzyczeć ryk rozgrzanych do czerwoności silników. W dodatku takich, które ostatni przegląd techniczny miały prawdopodobnie kilkanaście lat temu.

– Doña Aurora? – do wychylonego przez otwarte drzwi jeepneya nastolatka podbiega starsza kobieta. Pytającym wzrokiem usiłuje odnaleźć właściwy dla siebie autobus.

– Hindi ito... – chłopak odpowiada troszkę zawiedziony. Jego trasa niestety mija Doña Aurora. A tak miałby już prawie komplet na pokładzie. Ubrany w wytarty T-shirt nastolatek decyduje się wyskoczyć ze ślamazarnie toczącego się autobusu. Będzie szukał pasażerów na pobliskim chodniku. Może go nie słyszeli. Będzie szukał do skutku. I wcale nie będą go obchodzić klaksony stojących za jego jeepneyem autobusów.

Trudno się dziwić nachalności biegających między przystankami autobusowych naganiaczy. To ich praca.

eprasa.pl 39be4e0533

Manila, dzień jak co dzień

eprasa.pl 39be4e0533

Najbardziej szczere ze spotkań na manilskiej ulicy

Od ich skuteczności zależy wysokość dzisiejszej dniówki. Każdy z nich za wypełniony jeepney otrzyma 20 filipińskich peso (php). To odpowiednik 1,5 złotych. Dla Filipińczyka kwota nie do pogardzenia.

O ile bowiem oficjalne bezrobocie w liczącym 104 mln ludzi państwie waha się dziś między 6 a 8 proc., co piąty Filipińczyk pracuje znacznie poniżej swoich kwalifikacji. Młodzi i mający mocny głos oraz werwę zatrudnią się u kierowców wspomnianych wyżej jeepneów. Ktoś, kto miał szczęście i odziedziczył po dziadku motor, zacznie wozić turystów jako rikszarz. Są też tacy, którzy wybierają nieco spokojniejszy sposób zarabiania na życie.

Podobne miejsce w Polsce nazwalibyśmy najprawdopodobniej skupem złomu. Miejsce, do którego nie zachodzi się codziennie. Usytuowanym raczej na peryferiach miasta. Tutaj jest inaczej. Tutaj bowiem to zwyczajny sklep. Bardzo licznie reprezentowany na manilskiej ulicy. Lokalni mieszkańcy nazywają je „junk shopami". To niewielkie punkty, w których handluje się niepotrzebnymi częściami. Do wszystkiego. Do samochodu, zużytej sokowirówki czy starego radia. Dla przeciętnego mieszkańca Manili junk shop to szansa. Dla właściciela na zarobek od marży. Dla przynoszącego do sklepu własny bądź znaleziony gdzieś nad rzeką towar to zwykle kilkanaście pesos.

▶ 3 miliony bezdomnych

Stacja metra. W Manili przewrotnie ulokowana akurat na wiadukcie. Wysoko. W bezpiecznym dystansie. Stąd widać lepiej. Pode mną iście miejski pejzaż udekorowany ściśle przylegającymi do siebie przegniłymi od wilgoci dachami.

„Hej, ty tam! Chodź tu do mnie!" – dwudziestokilkuletnia Filipinka dostrzega, jak robię zdjęcia jej podwórza. Macha przyjaźnie ręką. Schodzę drugą stroną wiaduktu, mocno się ociągając. Mając jednocześnie cichą nadzieję, że nie spotkam nikogo, kto będzie chciał akurat „pokazać mi coś ciekawego". Takie wizyty mogą się bardzo różnie kończyć. Zmyślone oskarżenia o gwałt. Wymuszane prezenty. Grożenie i szantaż. Nie inaczej może skończyć się też odmowa skorzystania z „usługi" bądź oferowanej „pomocy". Lepiej zatem uważać.

Manila nie jest bezpiecznym miastem. To najbardziej gęsto zaludniona aglomeracja na świecie. Średnia gęstość zaludnienia wynosi dla stolicy Filipin 43 tys. ludzi na 1 kilometr kwadratowy (dla porównania: w Warszawie, najgęściej zaludnionym mieście Polski, analogiczny współczynnik wynosi 3,5 tys.). Trudno, aby w aglomeracji, w której obok 1,7 mln zarejestrowanych mieszkańców żyło niemal dwa razy tyle (ostrożne szacunki mówią nawet o liczbie 3 mln!) bezdomnych, było spokojnie.

eprasa.pl 39be4e0533

Wolno mijający czas w jednej z biedniejszych dzielnic Manili

Siłą rzeczy w Manili biały spacerowicz musi uważać. Nie będzie czuł się zupełnie swobodnie. I ciężko mu będzie ze spokojem patrzeć na całą tę sytuację na filipińskiej ulicy. Zwłaszcza gdy dowie się, że wśród wspomnianych 3 mln bezdomnych aż 1,2 mln stanowią dzieci. A tego podczas naszych beztroskich spacerów po mieście nie sposób będzie nie zauważyć.

Nie jest jednak również tak, iż człowiek na ulicach Manili będzie odczuwać nieustająco paraliżujące uczucie strachu. Prawda jest taka, że nawet w nieco biedniejszych dzielnicach prędzej zobaczymy uśmiech i życzliwość na twarzy miejscowych niż złowrogi grymas niechęci. Ludzie pozują do zdjęć. Machają przyjaźnie rękami. Wypytują. Trzeba odnaleźć środek. I nie dać się zwariować.

▶ Pytanie

„Nie jedźcie tam. W mieście nic nie ma. Lepiej od razu jechać dalej" – to jedna z częściej powtarzanych rad od tych, którzy odwiedzili stolicę Filipin. I rzeczywiście. Spragnionym bezpiecznego wypoczynku i wakacyjnych widokówek turystom Manila ma prawo się nie podobać. Nie znajdą tu wielu zabytków. Próżno też szukać jakiejś ujmującej atmosfery, sprawiającej, że do Manili chce się wracać. Z klimatem także nie jest tu za ciekawie. Wilgotne powietrze przesycone jest smrodem spalin wydobywających się z rozhuczanych silników. Co więcej, prędzej czy później natkniemy się na całe rodziny koczujące w śpiworach i kocach nocą na bulwarze nad Zatoką Manilską. Bezdomnych, którym życie nie ułożyło się wedle ich scenariusza. Również przez to spacer po filipińskiej stolicy będzie wymagał podwyższonych środków ostrożności.

Z drugiej strony wizyta w tym chaotycznym i rozedrganym od smutnych emocji i walki o przetrwanie mieście to przygoda na całe życie. To przywilej widoku, który pozwoli na spojrzenie na naszą rodzimą rzeczywistość z zupełnie innej perspektywy. Pozwoli docenić. Podziękować. Manila atakuje szybko i gwałtownie. Chcąc jakby zatkać naraz wszystkie receptory. Nie dając widzowi żadnych szans na uspokojenie pulsu. Na refleksję. Na tę przyjdzie czas dopiero po odebraniu paszportu od pani celnik na lotnisku Ninoy Aquino. ■

eprasa.pl 39be4e0533

Tomasz Sakiewicz

Powrót publicznej medycyny

Przy epidemiach stan naszego zdrowia wpływa po prostu bezpośrednio na zdrowie i życie innych. Państwo musi więc oferować darmowe leczenie i jednocześnie zmuszać do tego leczenia. Nie tylko dla naszego dobra, lecz także wszystkich pozostałych. Dotyczy to bezpośredniej terapii oraz profilaktyki, czyli na przykład szczepień.

Początek lat 90. obfitował w pomysły prywatyzacji służby zdrowia, a szczególnie prywatnych ubezpieczeń. Państwowa służba zdrowia, tak jak wszystkie instytucje pochodzące w Polsce z okresu socjalizmu, była pokazywana jako coś skrajnie nieefektywnego, anachronicznego i nadającego się do likwidacji. Reforma za czasów Jerzego Buzka zakończyła się katastrofą. Nie wprowadzono realnej konkurencji ubezpieczalni, a podział na kasy chorych tylko namnożył koszty. Oczywiście były wyjątki, jak Śląska Kasa Chorych, którą kierował Andrzej Sośnierz. Miała niezłe wyniki ekonomiczne, ale po przejęciu władzy przez SLD akurat Sośnierz miał z tego powodu najwięcej kłopotów.

Zła kampania informacyjna i błędy w samej organizacji doprowadziły do tego, że ta reforma ostatecznie została bardzo mocno zmieniona. Jej skutki były jednak opłakane i dla pacjentów (reformę wprowadzano w szczycie zachorowań na grypę), i dla późniejszego nastawienia do wszelkich zmian w służbie zdrowia. Sprawę jakichkolwiek polepszeń w tej dziedzinie dobiła afera Beaty Sawickiej. Wyszło na jaw, że w PO są siły, które zamierzają doprowadzić do bankructwa szpitali i przejmowania ich za grosze. Po tym jakakolwiek sensowna dyskusja o ustaleniach, co powinno znaleźć się w publicznym lecznictwie, a co w ramach dodatkowych ubezpieczeń oraz jakie ośrodki służby zdrowia powinny być prywatne – straciła rację bytu. Nikt nie chciał wpisywać się w ten kontekst.

Wybuch epidemii koronawirusa jeszcze raz przetestował efektywność systemów opieki zdrowotnej. Chiny przez całe lata tak naprawdę nie miały powszechnej służby zdrowia. Ta, która ostatnio była dostępna, po prostu się nie sprawdziła. Z epidemiami skutecznie musi walczyć całe państwo, które ma swoje służby, ale ściśle współpracuje też ze wszystkimi ośrodkami bez względu na stan własności i rodzaj ubezpieczeń. Samo „zmilitaryzowanie" podmiotów medycznych niewiele pomaga, jeżeli pacjenci i lekarze nie mają wyrobionych pewnych zachowań i po prostu nie umieją ze sobą współpracować. Można powiedzieć, że masowe epidemie wyznaczają zakres zaangażowania państwa w służbę zdrowia również w czasie, gdy ich nie ma. Niestety, ten zakres musi być niemały. Teza liberałów, że to, czy ktoś ma lepsze czy gorsze ubezpieczenie, jest jego prywatną sprawą, upada, gdy zaraza roznosi się w postępie geometrycznym. Nawet jeżeli sami mamy prawo wybrać sobie swój los, to nie może to dotyczyć osób na naszym utrzymaniu. Ale przy epidemiach stan naszego zdrowia wpływa po prostu bezpośrednio na zdrowie i życie innych. Państwo musi więc oferować darmowe leczenie i jednocześnie zmuszać do tego leczenia. Nie tylko dla naszego dobra, lecz także wszystkich pozostałych. Dotyczy to bezpośredniej terapii oraz profilaktyki, czyli na przykład szczepień (o ile szczepionka istnieje).

Jaki byłby skutek pomysłów liberalnych? Bogaci byliby leczeni, ale biedni i tak by ich zarażali. Próba izolacji jednych od drugich zakończyłaby się użyciem siły i pewnie masakrą. Nikt by na tym nie zyskał.

Służba zdrowia jest jedną ze służb państwowych, tak jak wojsko oraz policja, i w pewnych sprawach musi działać poza rynkiem. Czy w związku z tym powinna być wyłącznie państwowa? Oczywiście nie. Jednak państwo ma obowiązek zapewnić jej powszechną dostępność. Ta zasada jest najważniejsza.

Nie ma idealnych systemów służby zdrowia. Jednak takie kryzysy jak światowe epidemie pokazują nam, że od ideologii nawet najbardziej rynkowej ważniejszy jest zdrowy rozsądek. Na koniec najważniejsze są jednak pieniądze. Łatwiej ratować ludzi, gdy ma się nowoczesne szpitale i odpowiednią liczbę personelu medycznego. Po prostu sprawne i zamożne państwo działa zawsze lepiej, a w czasach kryzysu w ogóle działa. ■

eprasa.pl 39be4e0533

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce

niezalezna.pl

eprasa.pl 39be4e0533